

ZATRUTE OWOCE „CZWARTEJ WŁADZY”

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 7 (224) • ROK XIX • LIPIEC 2014



_____ Szopienice: degradacja czy rewitalizacja?

_____ **ZBIGNIEW PIETRZYKOWSKI** – dżentelmen na ringu

_____ Pogwarki artystyczne HENRYKA BZDOKA: **ALEKSANDER SPYRA**

_____ Mikołowskie Dni Muzyki

Poezja i proza: **ANTONIO MACHADO**, ks. **JERZY SZYMIK**, **MICHAŁ WRÓŃSKI**



13 czerwca w Sosnowieckim Centrum Sztuki – Zamek Sielecki w Sosnowcu miał miejsce vernisaż – pokłosa I Ogólnopolskiego Konkursu Fotograficznego „Portret artysty”, zorganizowanego przez SCS-ZS oraz Portal Internetowy www.Luslawice.pl. Na wystawie można oglądać nagrodzone zdjęcia oraz wszystkie prace zakwalifikowane do drugiego etapu konkursu. To ponad sto fotografii autorstwa 80 artystów. Laureatem Grand Prix został Mikołaj Mikołajczyk, autor zdjęcia zatytułowanego „Jest temat” z wizerunkiem Andrzeja Mleczki. Patronat honorowy nad konkursem objął Krzysztof Penderecki. Wystawę w Zamku Sieleckim można podziwiać do 24 sierpnia.



Fot. Tomasz Pełka

Fot. Arkadiusz Ławrywianiec



25 czerwca w Studiu Koncertowym Polskiego Radia w Katowicach odbyła się promocja „44 sonetów brynowskich”, nowego tomu poezji Tadeusza Kijonki, poety, publicysty, założyciela i wieloletniego redaktora naczelnego miesięcznika „Śląsk”. „44 sonety brynowskie” są wspaniałym zwieńczeniem twórczości śląskiego poety. Dojrzałe, przemyślane, wyczelowane w każdym najdrobniejszym szczególe są tyleż osobiste co uniwersalne. Pięknie ilustrowany obrazami Jerzego Dudy-Gracza tomik, ukazał się w Wydawnictwie Sonia Draga i jest edytorskim rarytasem. Spotkanie prowadził red. Maciej Szczawiński. „Sonetom...” towarzyszyła muzyka Fryderyka Chopina, za fortepianem zasiadał Jakub Czekierda.

(Więcej o wieczorze autorskim z Tadeuszem Kijonką pisze Krystyna Heska-Kwaśniewicz na str. 32)

Kapituła dziewiątej edycji Konkursu o Zagłębiowską Nagrodę „Humanitas” w tym roku po raz pierwszy wyróżniła w kategorii honorowej dwie nominowane osoby: prof. Czesława Kupisiewicza i prof. Dariusza Rotta. Laureatem w kategorii promocyjnej został Młodzieżowy Dom Pracy Twórczej w Dąbrowie Górniczej. Prof. Czesław Kupisiewicz jest wybitnym polskim humanistą, specjalizującym się w dziedzinie pedagogiki. Jest byłym prorektorem Uniwersytetu Warszawskiego i dziekanem Wydziału Psychologii i Pedagogiki tej uczelni. Prof. Dariusz Rott jest pracownikiem naukowym Wyższej Szkoły Humanitas w Sosnowcu i Uniwersytetu Śląskiego. Został doceniony za wszechstronną działalność naukową i popularyzatorską, przyczyniającą się do promocji Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego oraz popularyzowanie wiedzy o Zagłębiu Dąbrowskim wśród Ślązaków. Od 1 maja 2014 roku jest redaktorem naczelnym miesięcznika „Śląsk”. Uroczystość wręczenia nagród odbyła się 27 czerwca w auli Wyższej Szkoły Humanitas w Sosnowcu, a galę uświetnił recital Magdy Umer.

Na zdjęciu: Nagrodę „Humanitas” z rąk prof. nadzw. dr. Jerzego Kopla, rektora WS Humanitas odbiera laureat – prof. dr hab. Dariusz Rott, a towarzyszy im prowadzący galę dr hab. Michał Kaczmarczyk, prorektor tej uczelni.



Fot. WS „Humanitas”

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

ks. JERZY SZYMIK

Pradziadek Teodor

To było sto lat temu.
W Eigen, dzielnicy Bottrop,
w Zagłębiu Ruhry, w Westfalii,
mój pradziadek Teodor idzie z

białoczerwoną flagą, 3 maja,
na czele pochodu-procesji.
Das Bergwerk Prosper-Haniel
in Bottrop jest wydajna jak nigdy,

Herz-Iesu-Kirche przepelniony,
rozmodlony. Teodor i Anna
mają ośmioro dzieci. Czworu
dożywa starości: trzy córki i syn –

– mój dziadek, Teodor junior.
Ja też noszę to imię jako drugie,
chrzcielne, z pamięcią po nich.
Tamtego 3 maja do Teodora nikt

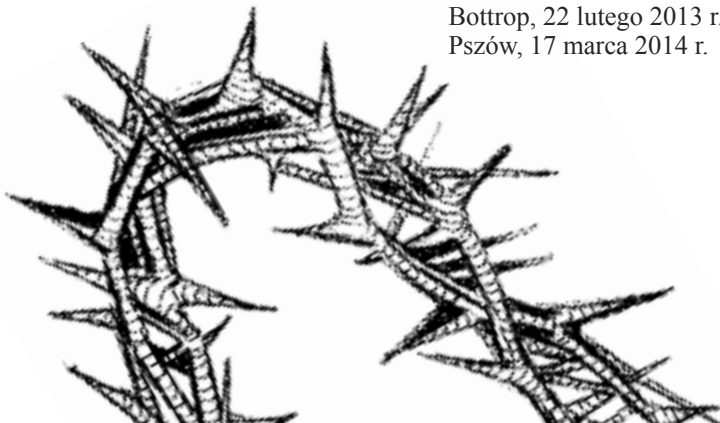
nie strzela, ale wiadomo, wtedy i
dziś, że iść w procesji Polaków i
katolików znaczy iść drogą donikąd.
Wraca na Śląsk. Całuje ziemię w

Czernicy, zamieszkuje w Pszowie,
zawsze *kumorom*. *Piynćioraki fach*,
siedmiorako biyda – tak będzie
opisywała jego życie synowa Matylda.

Rozminęliśmy się na tym świecie o rok:
+1952 on, *1953 ja. Przyglądamy się sobie z
dwóch stron czasu, z rosnącym zrozumieniem.
Wiele mamy sobie do opowiedzenia.

Przyjdzie na to pora

Bottrop, 22 lutego 2013 r.
Pszów, 17 marca 2014 r.



Rys. Wojtek Łuka

Jerzy Szymik, ur. 1953 r. w Pszowie na Górnym Śląsku, kapłan Archidiecezji Katowickiej, teolog i poeta. Jest profesorem nauk teologicznych, wykłada teologię dogmatyczną. W latach 1986-2008 związany z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, gdzie był m.in. kierownikiem Katedry Chrystologii (97-05). Od 2005 r. pracownik Zakładu Teologii Dogmatycznej WTL Uniwersytetu Śląskiego, od 2007 r. jako profesor zwyczajny. Od 2004 roku członek watykańskiej Międzynarodowej Komisji Teologicznej. Stały współpracownik „Gościa Niedzielnego”.

Autor przeszło 50 książek naukowych, poetyckich, eseistycznych (ostatnio m.in.: „Teologia na usługach wiary, bliższa życiu... w 30 lat później”, Lublin 2011; „Chodzi o Boga”, Katowice 2012; „Theologia benedicta”, t. I-II, Katowice 2010-2012; „Poezja i teologia”, t. I-II, Katowice 2009-2013; „Hilasterion”, Katowice 2014; „Teologia i my”, Katowice 2014). Promotor 20 doktoratów, 181 magisteriów. Specjalizuje się w chrystologii, metodologii teologii, teologii kultury, teologii J. Ratzingera/Benedykta XVI. Mieszka w Katowicach i Pszowie.

Nr 7 (224). Rok XIX. LIPIEC 2014 r.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNYprezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl
gtl@gtl.home.pl
www.gtl.org.plWSPÓŁWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
Tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.plRedaguje zespół:
DARIUSZ ROTT
redaktor naczelny
WIESŁAWA KONOPELSKA
p.o. zastępcy redaktora naczelnego,
sekretarz redakcjiKATARZYNA BERETA
dział krytyki literackiejMARIA SZTUKA
dział kulturalnyBOGDAN WIDERA
dział społeczno-historycznyWOJCIECH ŁUKA
dział graficznyMIROSLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.plIRENA FALKIN-SIBIGA
korektaADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcja.slask@onet.pl, msk.slask@gmail.comDTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
Tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja
zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian ty-
tułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji.Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury
„RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio –
w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych.
Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja mie-
sięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92
102023130000330200202176. Prenumerata roczna – 60 zł,
półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane
pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ
pod adresem:<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

5. *Michał Kaczmarczyk* ZATRUTE OWOCE „CZWARTEJ WŁADZY”
6. *Grzegorz Sztolcer* OSTATNI SPACER Z KSIĘDZEM PIOTREM
10. *Rozmowa z dr. hab. n. med. Jarosławem Markowskim* STREŚ POZYTYWNY
12. *Tomasz Kurpierz* SPRAWIEDLIWY WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA. HENRYK SŁAWIK W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ (cz. III)
16. *Elżbieta Maj* LOS
18. *Agnieszka Sikora* OD DEGRADACJI DO REWITALIZACJI
24. *Maria Szuka* ZDERZENIE DWÓCH ŚWIATÓW. „GDZIEŚ OBOK NAS” – AUDYCJA BEATY TOMANEK ŚWIĘTUJE SREBRNY JUBILEUSZ
26. *Jerzy Machura* DZENTELMEN NA RINGU. WSPOMNIENIE O ZBIGNIEWIE PIETRZYKOWSKIM
32. *Krzyszyna Heska-Kwaśniewicz* POETYCKI BRYNÓW PRZY ULICY LIGONIA
33. *Magdalena Boczkowska* PIĘKNY JUBILEUSZ
34. *Jan F. Lewandowski* DWAJ OPERATORZY: HOFFMAN I RITTAU
38. *POGWARKI ARTYSTYCZNE HENRYKA BZDOKA. SPACER PO PSZCZYNIĘ Z LESZKIEM SPYRĄ*
40. *Katarzyna Bereta* TWÓRCZE OKNO
41. *Katarzyna Bereta* W DUCHU PATRONA
41. *Katarzyna Wyrwas* ODMIENIAMY NAZWISKA
42. *Marek Brzeźniak* Z ANDRZEJEM PANUFNIKIEM, BEZ RYSZARDA STRAUSSA
44. *Henryk Szczepański* KAMIENICA POD SOKOŁAMI

FELIETONY

21. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański CNOTA LOJALNOŚCI (I)
47. KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO
Wojciech Grabowski OLGA BOZNAŃSKA
54. Z MOICH GOREK
Witold Turant CISZA PRZED BURZĄ
55. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA
Jan Miodek POTOMKOWIE TYMOTEUZA – TYCHA
59. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek PROFESOR JÓZEF ŚWIDER (1930-2014). DNI POLSKO-CZESKIE W „SILESII”
65. *Henryk Bzdok* ANEGDOTY
75. ARTJARMARK

PLASTYKA

48. *Ryszard Będarczyk* NA WYMODLONEJ WOJNIE
49. I WOJNA ŚWIATOWA I CZYN LEGIONÓW. Muzeum Górnośląskie w Bytomiu
50. PRACA ROKU 2013
51. *Wiesława Konopelska* A KRÓLIKA ŻAL...
76. *Witold Kociński* TU WSZYSTKO JEST DOZWOLONE
77. MIĘDZYKRAJOWY FESTIWAL ART. NAIF. Galeria Szyb Wilson w Katowicach.

TEATR

56. *Agnieszka Grzywaczewska-Kurpierz* JAK DZIECI RATOWAŁY MIASTO
57. *Magdalena Figzał* AMERYKAŃSKI SEN JASIA
58. *Danuta Lubina-Cipińska* DOKTOR, KTÓRY LECZYŁ SIĘ TEATREM

KSIĄŻKI

60. *Aleksandra Pethe* „KOCHAM MÓJ ŚWIAT I MÓJ CZAS” – KS. JERZY SZYMIK O CHRZEŚCIJAŃSTWIE I WSPÓŁCZESNOŚCI
61. *Adriana Urgacz-Kuźniak* NA SPACER Z MICHAŁEM WROŃSKIM
62. *Edyta Antoniak-Kiedos* DLA DYLETANTA – MIŁOŚNIKA
63. *Michał Paweł Urbaniak* POZORNIE PROSTE HISTORIE
64. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

1. *ks. Jerzy Szymik* PRADZIADEK TEODOR
22. *ks. Jerzy Szymik* WIERSZE
28. *Michał Wroński* LUSTRO

EKOLOGIA

52. *Jolanta Matiakowska* „PRZEZ EKOLOGIĘ DO WOLNOŚCI”

STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Anna Grzegorska BIBLIOTEKA – LUBIĘ TO!
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
PAMIĘCI HENRYKA SŁAWIKA I JOZSEFA ANTALLA
68. OPOLSKIE

NOTATNIKI KULTURALNE

69. *Janusz Wójcik* OPOLE
70. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
72. *Maria Szuka* ZAGŁĘBIE
73. *Jan Picheta* BIELSKO
74. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA

NA OKŁADCE:

Praca Marie Jönsson-Harrison (Australia) prezentowana na VII Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Najnowej w Polsce (Galeria Szyb Wilson).
Fot. z materiałów galerii

Drodzy Czytelnicy

w ostatnich tygodniach dość gwałtownie ożywiła się dyskusja o wolności mediów, konstytucyjnie gwarantowanej wolności słowa, pojęciu interesu publicznego, odpowiedzialności dziennikarskiej, kontrolowaniu poczynań przedstawicieli elity władzy (choć obserwowaliśmy raczej kompromitację i mizerność niektórych przedstawicieli tej grupy), o dziennikarskich źródłach informacji i ich ochronie oraz o podsłuchach. W tym kontekście zwracam Państwa szczególną uwagę na tekst medioznawcy Michała Kaczmarczyka, który – już z pewnego dystansu czasowego – skupił się zwłaszcza na społecznej odpowiedzialności mediów, zwracając uwagę, że podsłuchy nie wiązały się z dziennikarstwem śledczym oraz na sposób ujawnienia wypowiedzi nagranych poza wiedzą i zgodą osób nagrywanych. Z pewnością każdy dziennikarz powinien po tej lekturze dokonać swoistego rachunku sumienia, a w sprawie tej z pewnością jeszcze nie powiedziano ostatniego słowa i nie udostępniono wszystkich nagrań.

Czy rzeczywiście prokuratura liczyła, że w redakcji znajdują się oryginalne nośniki? Czy sama akcja przeprowadzona była sprawnie i czy nie można było zastosować innych prawnie dozwolonych środków poza nieudolnymi i całkowicie nieskutecznymi próbami przymusu bezpośredniego, które mieliśmy okazję oglądać dzięki kamerom filmującym przebieg całego zdarzenia. Te sprawy na pewno jeszcze przez wiele miesięcy będą wyjaśniane i interpretowane, wszak redakcja złożyła zażalenie na działania prokuratury. Rodzi się także kolejne pytanie – i tutaj chyba odpowiedź jest stosunkowo prosta – czy dziennikarze winni są niefrasobliwości polityków, którzy w ogóle nie przewidują, że ich wypowiedzi mogą zostać nagrane.

Lista pytań jest znacznie dłuższa. Czy redakcja, działając pod presją i czy utrudniano jej pracę, próbując przejąć nośniki i uzyskać dane informatorów, co z kolei mogło mieć wpływ na dziennikarską rzetelność? Czy urząd skarbowy skontrolował dochody żony jednego z parlamentarzystów, a we wszystkich ministerstwach rozpoczęto kontrolę sposobu wykorzystania służbowych kart płatniczych? Jest też pytanie fundamentalne – czy interes publiczny zawsze jest równoznaczny z interesem władzy, niezależnie od tego, kto ją sprawuje. Jakie są wreszcie granice działań dziennikarskich i realizacji celów rynkowych czy zabiegów mających na celu pozyskanie odbiorców? Warto tutaj zacytować fragment książki socjologa profesora Stanisława Mocka *Dziennikarze po komunizmie. Elita mediów w świecie badań społecznych* (Warszawa 2006), którą kończy ważna konkluzja, że „to właśnie swoiście pojęty idealizm i pewna zdrowa dawka irracjonalizmu tkwi u podstaw oddania się temu zajęciu. I w tych przymiotach, niezależnie od wszelkich uwarunkowań – pieniędzy, komercji, konkurencji i rywalizacji, cynizmu i egoizmu – tkwi natura tego, co w dziennikarstwie określa się mianem pasji. I tylko związek tych przeciwieństw i sprzeczności może stworzyć obraz dziennikarzy jako wykształcającej się w toku globalizacji, demokratyzacji i mediatyzacji nowej elity życia publicznego”. Dziś już wiadomo, że po taśmach „Wprost” środowisko dziennikarskie jest jeszcze bardziej zróżnicowane i podzielone, a kwestia udziału dziennikarzy w życiu publicznym i realizowanych przez nich form kontroli społecznej wymaga dzisiaj zdecydowanej redefinicji. Trudno bowiem jest jeszcze stwierdzić, jaki w dłuższej perspektywie czasowej może być wpływ afery taśmowej na przestrzeń dyskursu publicznego i społeczeństwo obywatelskie. Wszystkie te pytania zadają sobie nie tylko jako redaktor, ale również jako nauczyciel akademicki prowadzący zajęcia na kierunku dziennikarstwo i komunikacja społeczna. I wcale niełatwo mi na nie dzisiaj odpowiedzieć, a sprawę taśm „Wprost” widzę zdecydowanie mniej jednoznacznie niż M. Kaczmarczyk.

Stosunkowo rzadko w ostatnich tygodnia zwracano uwagę na temat bezzwłocznego podjęcia prac nad nowoczesną, odpowiadającą potrzebom i wyzwaniom mediów XXI wieku i oczekiwaniom społecznym ustawą prawo prasowe. Wszak obowiązujące regulacje prawne, mimo nowelizacji, pochodzą z całkowicie odmiennej rzeczywistości społeczno-politycznej i medialnej, z... 1984 roku.

■ OSOBY deklarujące narodowość śląską mieszkają nie tylko na Górnym Śląsku, ale również w Poznaniu (505 przypadków), Łodzi (490), Częstochowie (407), Dąbrowie Górniczej (486), Sosnowcu (aż 1434 Ślązaków), Krakowie (2089). Najwięcej jednak prawdziwych Ślązaków – biorąc pod uwagę teren poza „ojcowizną” – żyje (i pracuje) w Warszawie (3048 osób), co czyni tamtejszą mniejszość ślązką liczącą od... chińskiej i wietnamskiej razem wziętej (w sumie prawie 2,8 tys. osób).

■ ILE osób go do piosenki? Według GUS-u pół miliona na pewno i to nie tylko na Górnym Śląsku.

Śląską mową posługują się też mieszkańcy woj. mazowieckiego, pomorskiego, czy krakowskiego. To obrazuje kierunki śląskiej migracji „za chlebem”. Kto się posługuje śląszczyzną? To ciekawe i obiecujące – głównie ludzie młodzi i w średnim wieku.

■ POTOP kontra Wesele – tak rozpoczęły się tegoroczne egzaminy maturalne (zawsze pierwszy jest język polski). Pytanie dotyczące „Wesela” Wypiańskiego związane było z rozmową Gospodarza i Poety, na podstawie której trzeba było porównać ich poglądy na temat Polaków i poezji. Jeśli chodzi o Sienkiewiczowski „Potop”, na postawie rozmowy Kmicica z księciem Radziwiłłem należało opisać żołnierskie postawy bojowe. Tematy nie zaskoczyły maturzystów.

■ KOMPANIA Węglowa płonie (od 28 kwietnia do 5 maja miała przymusowy, zapowiedziany przestój produkcyjny), więc do Katowic – sprzedając ewentualną wizytę górników w stolicy – przybył premier Donald Tusk, który spotkał się m.in. ze stroną związkową. Premier udobruchał górników. Jeden z pomysłów na ratowanie KW – odroczenie spółce spłaty zaległego ZUS-u w kwocie 280 mln zł o półtora roku. Odpowiedni projekt zmian w ustawie o funkcjonowaniu węgla kamiennego w latach 2008-2015 trafił już do Sejmu.

■ EUROPEJSKI Kongres Gospodarczy zawiązał od 7 do 9 maja po raz kolejny do Katowic. Wzięło w nim udział sześć tysięcy osób m.in. polityków, przedstawicieli świata gospodarki, nauki i mediów. Wśród tematów dominowała polityka energetyczna, przemysłowa i klimatyczna Unii Europejskiej.

■ SIEMIANOWICKIE Wojskowe Zakłady Mechaniczne przedłużyły do 2018 roku kontrakt z Ministerstwem Obrony Narodo-

wej na produkcję kolejnych 307 pojazdów opancerzonych Rosomaków dla wojska (obecnie polskie wojsko ma ich ponad pół tysiąca). Za kilka lat przestaną go jednak produkować. Rozpoczną za to produkcję zupełnie nowego, całkowicie polskiego pojazdu nazwanego roboczo Rosomak II.

■ WSZECHWŁADNY ten monitoring. Kamery są już dosłownie wszędzie. NIK skontrolowała miejskie systemy monitoringu – w samych Katowicach w służbie magistratu pracuje 137 kamer. Wydatki na ich obsługę są ogromne (za lata 2010-12 to w wypadku Katowic niemal 2 mln zł), nie zawsze efektywne. Według NIK ponad połowa skontrolowanych miast nie zapewniła całodobowej obserwacji obrazu z kamer. Połowa z miast prowadzących miejski monitoring nielegalnie przetwarzała dane osobowe.

■ ZAGINIONA Biblia Lutra i to z drzeworymami samego Lucasa Cranacha Starszego z 1522 roku odnalazła się niespodziewanie w zbiorach Książnicy Cieszyńskiej. Jest to pierwsze, unikatowe wydanie Nowego Testamentu w tłumaczeniu niemieckiego reformatora. Biblię można było zobaczyć 12 maja na wystawie w cieszyńskiej Książnicy.

■ NASZ pierwszy redaktor naczelny i długoletni prezes Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego, poeta, publicysta i krytyk, Tadeusz Kijonka został laureatem Nagrody Specjalnej Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bogdana Zdrojewskiego w uznaniu „nieocenionych zasług dla kultury polskiej (...) wraz z serdecznymi gratulacjami i słowami podziękowania za ponad 50-letnią twórczość literacką oraz działalność na rzecz upowszechniania kultury”.

■ DIECEZJA Katowicka Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego ma nowego biskupa, następcę zmarłego w styczniu ks. Tadeusza Szurmana – został nim ks. dr Marian Niemiec, proboszcz parafii w Opolu, wywodzący się z Kobielic koło Pszczyny.

■ PREZYDENT RP Bronisław Komorowski podpisał w Bielsku-Białej nowelizację prawa wodnego. Teraz rowerzyści mogą poruszać się legalnie na rzecznych wałach.

■ METROPOLITA katowicki abp Wiktor Skworc gościł w Wielkiej Brytanii, gdzie pojechał na zaproszenie śląskich księży (jedenastu z nich pełni posługę duszpasterską wśród emigrantów). W programie wizyty dostojnika znalazły się: Londyn, Sheffield oraz Leeds, gdzie znajdują się największe skupiska Polaków.

■ TYTUŁ doktora honoris causa krakowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego trafił 13 maja do prof. Wiesława Banysia, rektora Uniwersytetu Śląskiego. Wcześniej krakowska uczelnia wyróżniła tymi tytułami m.in. ks. prof. Józefa Tischnera, ks. kardynała Stanisława Dziwisza, ks. bp. Tadeusza Pieronka.

■ TRWAJA przygotowania do rozpoczęcia beatyfikacji Ofki Piastówny, księżniczki z Raciborza, córki księcia Przemysła, która 9 kwietnia 1313 roku wstąpiła do klasztoru dominikanek. Jej kult trwa w Raciborzu do dziś. Jej imię nosi m.in. Technikum nr 1 w raciborskim Zespole Szkół Ekonomicznych.

■ BRAKUJĄCY 15-kilometrowy odcinek drogi ekspresowej z Bielska-Białej do Żywca, porzucony przez konsorcjum

z plajtującym Polimexem Mostostalem, dokończy krakowska firma Mota, która złożyła najniższą ofertę cenową – dokładnie 260,91 mln zł.

■ ODSZEDŁ mistrz, jeden z najwybitniejszych polskich pięściarzy, trzykrotny medalista olimpijski. 19 maja zmarł w Bielsku-Białej w wieku 79 lat Zbigniew Pietrzykowski.

■ NOWY model opla astry trafi do gliwickiej fabryki szybciej niż się spodziewano. Jak donosi niemiecki dziennik gospodarczy „Handelsblatt”, już na początku roku 2015 produkcja aktualnego i najważniejszego modelu Opla zostanie przeniesiona z Rüsselsheim do Gliwicy, co – wedle szacunków – będzie kosztować niemieckiego producenta 150 mln euro.

■ NOWOCZESNA siedziba przeznaczona dla Archiwum Państwowego powstaje w Bielsku-Białej. Gmach ma być gotowy do końca przyszłego roku i pomieści ok. 10 km akt z trzech oddziałów zamiejscowych: Bielska-Białej, Oświęcimia i Żywca. Prace rozpoczęto w 2013 r. Budynek składa się będzie z części magazynowej i ogólnodostępnej dla użytkowników – pasjonatów historii i naukowców.

■ HISTORYCY IPN-u podjęli się zliczenia ofiar wywózek mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy w Związku Sowieckim. Dolicyli się 27 imiennych ofiar, choć ich zdaniem lista powinna objąć ok. 60 tys. nazwisk. 25 lat badań nad tym tragicznym epizodem śląskiej historii podsumowuje publikacja dr. Sebastiana Rosenbauma i dr. Dariusza Węgrzyna pt. „Wywózka. Deportacja mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy przymusowej w Związku Sowieckim w 1945 r. Faktografia – konteksty – pamięć”.

■ ODESZŁY dwie ważne postacie związane z redakcją „Dziennika Zachodniego”: 15 maja zmarł po długiej walce z ciężką chorobą wieloletni, słynny fotoreporter Władysław Morawski, rocznik 1943 (związany wcześniej z redakcjami „Trybuny Robotniczej” i „Trybuny Śląskiej”), znany wszystkim jako niezapomniany „Otek”, mistrz niebanalnych zdjęć i celnych ripost. Natomiast 21 maja odszedł, w wieku 70 lat, redaktor naczelny „DZ” w latach 1986-1990, Antoni Faron, któremu zespół redakcyjny zawdzięcza to, iż przez transformację ustrojową przeprowadził gazetę bez niepotrzebnych wstrząsów.

■ WRESZCIE otwarto legendarny most na A1 w Mszanie. Ta historyczna chwila – przypomnijmy, że po 7 latach budowlanych zmaganiach – nastąpiła 23 maja. Most jest efektowny, robi wrażenie na podróżujących do Ostrawy, pytanie tylko czy jak na te 100 mln zł, nie zbudowano go na wyrost?

■ EUROWYBORY miały miejsce 25 maja. Europosłami z naszego regionu zostali: Jerzy Buzek z PO (262 354 głosy), Bolesław Piecha z PiS (116 381 głosów), Janusz Korwin-Mikke z NP (73 676 głosów), Adam Gierek z SLD-UP (57 993 głosy), Jan Olbrycht z PO (38 199 głosów), Jadwiga Wiśniewska z PiS (28 916 głosów), Marek Plura z PO (11 110 głosów). Największym przegrany był Kazimierz Kutz, który ogłosił, że wycofuje się z wyborów. Wygranym – Marek Plura. Niespodzianką – Janusz Korwin-Mikke. Frekwencja była nadzwyczaj niska ok. 23 procent.

Obowiązująca w amerykańskim systemie prawnym doktryna „owoców zatrutego drzewa” głosi, że dowody zdobyte w wyniku nielegalnych działań śledczych nie mogą być podstawą do wydania wyroku skazującego w procesie karnym. Gdyby podobna zasada, będąca przecież fundamentem praworządności nie tylko w USA, obowiązywała media na etapie gromadzenia i weryfikowania informacji, wiele redakcji znalazłoby się w tarapatkach. Na czele z tygodnikiem „Wprost”, publikującym stenogramy i pliki dźwiękowe z nielegalnych, kelnerskich podsłuchów.

Zatrute owoce „czwartej władzy”

Termin „fruit of the poisonoustree” stał użyty po raz pierwszy w 1939 roku przez amerykańskiego sędziego Felixa Frankfurtera w sprawie *Nardone v. Stany Zjednoczone*. Zasada „owoców zatrutego drzewa”, wywodząca się wprost z gwarancji konstytucyjnych, nakazuje odrzucenie dowodów uzyskanych nielegalnie. Z tego powodu ława przysięgłych uniewinniła m.in. znanego amerykańskiego sportowca i aktora O.J. Simpсона, mimo że zebrane przeciw niemu dowody świadczyły bezsprzecznie, że zamordował swoją żonę. Niestety, „święta” reguła, która nie pozwala skazać człowieka w procesie karnym, nie przeszkadza ferować wyroków medialnych – wyroków o nierzadko równie poważnych konsekwencjach, zwłaszcza dla osób publicznych. Media coraz częściej nie zważają na to, w jaki sposób pozyskano informacje będące podstawą formułowania w domenie publicznej zarzutów i oskarżeń, nie wyłączając zarzutów najcięższego kalibru. Makiaweliczne przekonanie, iż cel uświęca środki jest wygodnym usprawiedliwieniem choćby dla permanentnego naruszania przez tabloidy prywatności osób publicznych poprzez publikowanie nielegalnie wykonanych, prywatnych zdjęć czy – jak ostatnio – ujawniania informacji pochodzących z przestępstwa, w postaci podsłuchanych rozmów funkcjonariuszy państwa. Dziennikarze, stawiający się zwykle w roli szeryfów sprawiedliwości i pierwszych obrońców praworządności, coraz częściej praworządność tę depczą, kryjąc się za rozciągniętą do granic absurdu kurtyną ważnego interesu publicznego i stanu wyższej konieczności. Ważny interes społeczny rzeczywiście może usprawiedliwiać publikację informacji pochodzących z nielegalnego źródła czy zdobytych dzięki działaniom na granicy prawa (naturalnych dla warsztatu dziennikarza śledczego). Tyle tylko, że – po pierwsze – fundamentalne w tym kontekście kategorie interesu społecznego oraz stanu wyższej koniecz-

ności nie są rozciągliwe jak guma arabska, o czym wielu dziennikarzy i wydawców zdaje się zapominać.

Ważnym interesie publicznym z pewnością działali dziennikarze „Washington Post” Bob Woodward i Carl Bernstein, opisując kulisy afery Watergate. Nie wiem natomiast, jaki ważny interes społeczny leżał u podstaw ujawnienia przez „Wprost” pełnej treści knajpianej, alkoholowej pogawędki Bartłomieja Sienkiewicza i Marka Belki (upublicznienie fragmentów dotyczących przyrodzenia Jerzego Hausnera przyniosło jakkolwiek korzyść państwu lub społeczeństwu?) czy rozmowy Jacka Rostowskiego i Radosława Sikorskiego. Po drugie, działanie w ważnym interesie państwa nie może jednocześnie prowadzić do dewastowania i ośmieszenia tegoż państwa, a mam wrażenie, że z taką właśnie sytuacją mamy do czynienia w przypadku publikacji przynajmniej części słynnych „taśm kelnerów”. Po trzecie wreszcie, ważny interes publiczny nie zwalnia dziennikarzy z obowiązku przestrzegania rudymenarnych reguł prawa prasowego i etyki mediów, a zwłaszcza dochowania szczególnej staranności i rzetelności dziennikarskiej. Co więcej, w sytuacji, gdy przeznaczone do publikacji informacje pochodzą ze źródła o wątpliwej proveniencji prawnej i moralnej, ich wszechstronna weryfikacja, zgodnie z kanonami sztuki dziennikarskiej i w oparciu o szerokie instrumentarium żurnalistyki śledczej, powinna stanowić priorytet. W sprawie „taśm kelnerów” takiej weryfikacji zabrakło, a jeśli była – czytelnik „Wprost” nie został o tym należycie poinformowany. Spisywanie dostarczonych nielegalnych podsłuchów nie jest śledztwem dziennikarskim. Byłaby nim próba odpowiedzi na pytania, kto nagrywał i jakie przyświecały mu intencje, czy Andrzej Parafianowicz rzeczywiście ingerował w przebieg postępowania skarbowego wobec żony Sławomira

Nowaka, czy *deal* między Bartłomiejem Sienkiewiczem i Markiem Belką ma charakter pozakonstytucyjny etc. W ramach śledztwa dziennikarskiego konieczne byłoby także skontaktowanie się z „bohaterami” nagrań i uzyskanie od nich komentarza, wszak stara, rzymska zasada „audiatur et altera pars” stanowi jeden z fundamentów prawa prasowego, nakazując autorowi publikacji wysłuchanie wszystkich stron zaangażowanych w sprawę, w tym zwłaszcza najbardziej zainteresowanych – podsłuchanych polityków. Niepodjęcie wskazanych tu działań powoduje, iż autor tekstu prasowego – jak trafnie określił to Tomasz Lis, komentując aferę taśmową – przestaje być dziennikarzem, a staje się paserem złodzieja treści prywatnych rozmów. A przy okazji odbiera osobom podsłuchiwanym godność osobistą, nie tylko bowiem publikuje treść ich prywatnych konwersacji, ale także pozbawia inwigilowanych prawa do obrony, komentarza, złożenia wyjaśnień, ustosunkowania się do treści zarejestrowanych wypowiedzi. Jeden ze znanych polskich publicystów przyrównuje publikowanie treści podsłuchów do rozbierania do naga ofiar przed gazowaniem. To bardzo drastyczne porównanie, ale nie do końca pozbawione sensu, jeśli chcieć za jego pomocą opisać jedną z „ludzkich” konsekwencji afery taśmowej – stan odarcia z prywatności „bohaterów” ujawnionych rozmów. Ale nawet jeśli odrzucimy tak daleko idące porównania, musimy przynajmniej przyznać, że publikowanie informacji pochodzących z przestępstwa jest sprzeczne z zasadami Kodeksu Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy, nie mówiąc już o polskim Kodeksie karnym.

Wiceprezes Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka Adam Bodnar wylicza cztery kryteria, według których można ocenić upublicznianie nagrań z podsłuchów: interes publiczny, brak innych możliwości zwrócenia uwagi na problem, autentyczność ujawnionych informacji oraz motywacja dziennikarza. To bardzo trafna diagnoza dowodząca jednocześnie, iż z punktu widzenia wierności zasadom etyki i prawa prasowego decyzji o ujawnieniu stenogramów z przestępczych podsłuchów w takim kształcie, w jakim dokonał tego tygodnik „Wprost”, nie daje się obronić.

MICHAŁ KACZMARCZYK

Autor jest medioznawcą, biegłym sądowym z zakresu dziennikarstwa i komunikacji społecznej, profesorem w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Wyższej Szkoły Humanitas w Sosnowcu i prorektorem tej uczelni. W latach 2002-2010 pracował jako dziennikarz i wydawca mediów lokalnych.



Tekst i zdjęcia:
GRZEGORZ SZTOLER

Ostatni spacer z księdzem Piotrem

**Nie spodziewałem się,
że moja publicystyczna
rozmowa z księdzem
Piotrem Zegrodzkiem,
kronikarzem i dziejopisem
Góry koło Pszczyny,
będzie ostatnią, jakiej udzielił
– ksiądz Piotr zmarł nagle
12 czerwca,
zaledwie kilka dni
po naszym spotkaniu.
Ksiądz Piotr odszedł...
Wyobrażam sobie jednak,
że ten nasz wspólny spacer
po Górze i jej historii
wciąż trwa...**

Góra, wieś księdza Piotra

Aniol Pański pobrzmiewa w Górze dwukrotnie. Najpierw biją dzwo-ny wiekowego kościółka św. Barbary, a potem młodsze, murowanego pw. św. Jana Pawła II. – Moja dusza jest tu, w tej drewnianej świątyni – podkreśla ksiądz Piotr Zegrodzki, emerytowany proboszcz tutejszej parafii (lata 1980-2004) i jej wytrwały kronikarz (jego kronika liczy 32 tomy).

Trzeba być człowiekiem. Po prostu

Ksiądz Piotr przyjął święcenia w 1964 roku z rąk biskupa Herber-ta Bednorza. Zanim trafił do Góry ja-

ko wikariusz ekonom a następnie pro-boszcz, pracował jako wikary na para-fiach w Zabrze-Makoszowach, Ly-skach koło Rybnika, w Pszczynie, Rudzicy koło Bielska Białej i Michał-kowicach koło Siemianowic. Z każdym tym miejscem księdza Piotra wiązą cie-płe wspomnienia i serdeczne kontakty. Potrafi o nich długo opowiadać.

Ksiądz Piotr: – Czego mnie ta Góra nauczyła? Że żeby dobrze duszpasterzo-wać, to trzeba ludzi poznać. I wtedy ta więź następuje, żyć się... I wtedy ta praca owocuje, ma sens. A naprawdę odkrywałem przez te wszystkie lata wspaniałe rzeczy – zwłaszcza przez te miejscowe organizacje, kontaktując się ze strażakami, sportowcami, gospo-dyniami wiejskimi, szkołą, biblioteką, emerytami, tutejszym chórem. I to człowiek jednak widział, że trzeba do drugiego z takim szacunkiem pod-chodzić i odkrywać go – a naprawdę du-

żo w tej Górze odkryłem. Fachowcy wspaniali – choć tacy niepozorni, niewiele mówiący. A jak potem wszedłem w temat, jak mi zaczęli pokazywać książki, skarby, jakie mają... Ooo to wtedy – to wtedy inaczej patrzyłem. A ta Góra... To było moje życie całe... Wiadomo, że człowiek się doświadczał, bez błędów niczego nie ma, praca duszpasterska nie jest łatwa...

Może łatwiej mi było dotrzeć do tych ludzi, bo sam mieszkałem na wsi pszczyńskiej? Pochodzę z Kryr, mój ojciec Jan Zegrodzki wywodzi się z Kleszczowa spod Żor, a mama, Joanna z domu Myszor, z Wrocławia. Mama przyszła do bezdzietnej ciotki pomagać w gospodarstwie. Mój tata pracował na kopalni, potem po wojnie był piekarzem w miejscowej spółdzielni (tylko drogę przechodził i już był w robocie). Rodzice pobrali się w 1927 roku, a ja urodziłem się „bez wojna”, w 1939 roku, jako piąty i najmłodszy.

Moje dzieciństwo było piękne i pracowite. Wiadomo, na wsi dzieci musiały krowy paść. Tato był jeszcze taki, że posyłał mnie do pomocy do sąsiada. I przy tym pasieniu krów myśmy poznawali okolicę, środowisko – pola, lasy, stawy. I my, chłopcy, chodziliśmy tam, szperali. Wiedziałem, przy jakiej przykopce rośnie drzewo owocowe, gdzie w lesie ptaki mają gniazda. I wszystko się szanowało. Niczego żeśmy nie niszczyli – gniazda zostały, bo ptaki musiały wychować pisklęta.

Jako licealista lubiłem sam do lasu chodzić. Jeszcze dziś widzę te paprocie, jak słońko świeci w tym kryrskim lesie. Tam gdzieś sarenka przeleciała. Człowiek był tak związany z tą przyrodą...

Mieszkałem w środku Kryrów, przy kościele. Pamiętam, jak front przechodził przez naszą miejscowość, a Niemcy uciekali przed nacierającymi Rosjanami przez pola i lasy, a tam były torfowiska – wjechali w nie czołgami i nie mogli się ruszyć, więc je porzucili. Uciekali, kilku zginęło. Ludzie ze wsi zrobili później ładne nagrobki tym prowizorycznym, żołnierskim mogiłom. Chodziliśmy tam na Wszystkich Świętych zapalać świeczki. To było ogromne przeżycie, dla nas chłopców, tym bardziej że widzieliśmy jak uciekają. I na naszych oczach zostali zastrzeleni. I tak nas rodzice uczyli, żeby te groby – chociaż niemieckie – szanować.

Jak powiększono drewnianą Barbarę

Wchodzimy do kościółka św. Barbary. W przedśionku moją uwagę zwraca kamienna kropielnica z wy-

bitą datą 1826. A ks. Zegrodzki raczej mnie opowieścią o przeszłości tej świątyni, której początki są znacznie, znacznie starsze niż powstałej tu w 1957 roku parafii.

– Mieszkańcy Góry powołali komitet budowy i sami, we własnym zakresie rozbudowali w latach 50. drewnianą kaplicę, której początki sięgają jeszcze XV wieku – słyszę. Z jednej strony była skarpa, więc trzeba było nadwieźć ziemi, tu też, jak powiadali starsi parafianie, było cudowne źródło.

Książd Zegrodzki pokazuje, o ile dawna kaplica-kościółek została powiększona, a jej wieża przesunięta. – Dokładnie o tą całą nawę – wskazuje. I wylicza: – Za moich czasów wymieniono niemal wszystko z konstrukcji tego kościółka: podłogi, ściany, gonty, dach, przybudowaną wieżę kościoła, przeprowadzono dwukrotne malowanie wnętrza, remont chóru, bo wiadomo, że drewno szybko niszczeje – wylicza. – Górzanie zrobili wszystko najlepiej jak umieli, po swojemu, to w większości cięśle górniczy przecież. Wzbudziło to też uznanie konserwatorów, podziwiali precyzyjne wykonanie, choć mieli zastrzeżenia do zwieńczenia wieży, która dawniej była półokrągła, blaszana, a po remoncie stała się kryta gontem i namiotowa (zdaniem konserwatorów powinna być cebulasta). Zresztą, tak dawniej stawiano te kościółki – we własnym zakresie, wedle własnych umiejętności, jak ludzie najlepiej potrafili.

Powiększony kościółek był dalej niewielki – a sama Góra bardzo się rozrosła, w ciągu ostatniej dekady tej dwutysięcznej parafii przybyło niemal pięćset dusz – więc trzeba było wystawić nową świątynię, czego dokonał już następca ks. Zegrodzkiego, obecny proboszcz Góry, ks. Romuald Adamski. I teraz stary kościółek św. Barbary i ten nowy, poświęcony papieżowi sąsiadują ze sobą. Wieże, dominujące w górskim krajobrazie – papieska i patronki górników – nabierają z odłali symbolicznego znaczenia.

– Architekt był dumny, kiedy uświadomiłem mu, że jego praca jest bardzo ważna, bo pozostanie tu na zawsze – dobiegają do mnie słowa księdza Piotra.

Pod prezbiterium drewnianego kościółka zachowały się doczesne szczątki jego fundatorki, możnej Elżbiety Gołębiowskiej, XVII-wiecznej właścicielki Góry. – Z zapisów historycznych wynika, że miała tu mieć swoje miejsce pochówku – objaśnia ks. Piotr. – Jeszcze w czasie wojny, co poświadczają starsi parafianie, były tu groby jej i jej córki. Jednak do naszych

czasów niewiele się zachowało. Zajązeliśmy tam w 2003 roku przy okazji remontu kościelnej podłogi. Żadnego grobowca nie było. Zachowała się jedynie czaszka, a reszta – i trumny, i szkielety – już dawno zamieniły się w proch.

Dzwony za pastwisko

Z historią Góry i sąsiednich Brzeszcz, położonych już za Wisłą, w Małopolsce, związana jest historia dzwonów św. Otylii, która swój cudowny finał miała jeszcze za życia prof. Kazimierza Bielenina, historyka sztuki, uczonego z Krakowa, który wytrwale tropił ich ślady i... nieoczekiwanie je odnalazł. – To właśnie wspomniana już pani Gołębiowska, właścicielka Góry, otrzymała od mieszkańców Brzeszcz w XVII wieku dzwony z kościółka św. Otylii w Brzeszczach – mówi ks. Zegrodzki.

Prof. K. Bielenin w książce o dzwonach z kościoła św. Otylii w Brzeszczach dopowiada: „Wisła, widocznie po jakimś wyjątkowo poważnym wylewie, zmieniła swoje pokręcone na odcinku brzeszczańskim koryto i część terenów, z dużym obszarem łąk pastwiskowych (tzw. Łężnik) znalazła się po stronie brzeszczańskiej, będąc oczywiście nadal własnością Dworu w Górze. Brzeszczanie wówczas nie byli w możności wypłacić właścicielce Góry całej żądanej sumy przeto dali w zastaw swoje dzwony... Uczynili to z bólem serca, czuli bowiem, że rozstają się z cennym skarbem związanym z historią ich wioski”. Zdaniem historyków stało się to ok. 1693 roku, bo wtedy pojawia się w źródłach wzmianka o dzwonniku przy kaplicy św. Barbary w Górze.

Oczywiście, brzeszczanie ubolewali nad tym faktem i rozmyślali nawet w połowie XIX stulecia – kiedy należeli do Austro-Węgier, a Góra do wrogich im Prus – nad odebraniem dzwonów siłą. Nieoczekiwanie, sto lat później, pojawiła się okazja do ich zwrotu. Ale najpierw, w 1942 r., górskie dzwony – tak jak większość śląskich – rekwirują hitlerowcy. Na szczęście, nie trafiły na przetopienie jako zbyt cenne. Jeden z nich, większy, XV-wieczny, trafił do niemieckiej parafii w Wiesbaden. Ale do tego doszedł prof. Bielenin dopiero w 2005 roku, i to dzięki swojemu uporowi (przy wsparciu i pomocy księdza Piotra, z którym się zaprzyjaźnił). Po kilkuletnich staraniach, zaangażowaniu administracji państwowej i kościelnej, dzwon ten wrócił w 2008 roku do parafii św. Urbana

w Brzesczczach. I tak koło historii się zamknęło.

Sanktuarium nie tylko na Barbórkę

Choć Góra oficjalnie nie jest żadnym wielkim ośrodkiem kultu, to jednak – za sprawą patronki parafii św. Barbary – pielgrzymów tu ciągle przybywa.

– Początkowo, po 1989 roku, wszyscy chętniej jeździli, z przewodnikami turystycznymi, do cenniejszego, zabytkowego kościółka w Grzawie, najlepiej zachowanego, ale od lat obserwuję jak wzrasta liczba osób przybywających tu nie tylko na odpust św. Barbary. Wśród nich są zarówno indywidualni pielgrzymi, jak też zorganizowane grupy emerytów, szkolne, a także rowerowe. Naliczyłem za te ostatnie dwie i pół dekady z 90 takich grup. Zawsze ich przyjmowałem, opowiadałem o kościele. Właściwie to z wszystkich kontynentów przyjeżdżają – i z Australii, i z Sri Lanki nawet, pamiętam, pewien Japończyk z przedstawicielstwa handlowego z Warszawy przyjechał taksówką specjalnie, żeby zdjęcia porobić. Zresztą ta parafia – a wcześniej kaplica – nosi najstarsze w naszej diecezji wezwanie św. Barbary, patronki górników.

Głaz na cmentarzu

Koło nowej, drewnianej dzwonnicy głaz z tablicą poświęconą tragicznie zmarłemu w Tatrach salezjaninowi z Góry, 35-letniemu ks. Bolesławowi Rozmusowi. Inskrypcja streszcza chyba wszystko: „Zapierzony w Boga / zakochany w muzyce i górach / przyjaciel brat / przewodnik młodzieży / po ścieżkach wiary / człowiek modlitwy / nadziei i miłości / urodzony 6 10 1961 / zginął tragicznie / na zboczach Gerlach 10 11 1996”. Ks. Piotr zamyśla się chwilę.

Góra zawsze miała dobre kontakty ze zgromadzeniem salezjanów, kilku górzan tam odnalazło swoje powołanie. Nie brakowało tu również wizyt misjonarzy, którzy – jak wspomina ks. Zegrodzki – na przykład wspaniale wyluszczyli istotę sakramentu namaszczenia chorych, że to „nie o przekreślenie” człowieka chodzi, bo nie ma już dla niego ratunku, nadziei przed śmiercią, ale przeciwnie – chodzi o wzmocnienie jego sił duchowych. Parafianie w Górze sporo pielgrzymowali po Eu-

ropie, po sanktuariach maryjnych, wyprawiali się do Watykanu. Nawiązali też partnerskie kontakty z włoskimi parafiami archidiecezji mediolańskiej, parafią węgierską i szwedzką.

– A tu spoczywa pierwszy duszpasterz Góry – ks. Zegrodzki wskazuje na mogiłę pierwszego proboszcza Góry, ks. Erwina Muchy (lata 1952-1968).

Na niewielkim cmentarzu zwraca uwagę odnowiona mogiła żołnierzy września 1939 roku, teraz z okazałym pomnikiem, dawniej, co ks. Piotr jeszcze pamięta, z dwoma drewnianymi krzyżami i spoczywającymi na nich hełmami – które gdzieś jednak się zapodziały.

Kiedy stoimy przy cmentarnej bramie, mijają nas kobieta, na rowerze, z bukietem. Ksiądz Piotr natychmiast ją rozpoznaje – i to mimo przecież słabego wzroku. Nawiązuje się rozmowa, z której przebija prawdziwa, duszpasterska troska. Ks. Piotr: – Szczęść Boże pani Krysiu! Ja jeszcze poznałem panią i cieszę się ze spotkania! A ta siostrzyczka układa te wiersze? Śpiewa jeszcze? Kobieta (zwalniając nieco): Ano, czasami... Ksiądz: Proszę ją pozdrowić i powiedzieć, że ja pamiętam, jak śpiewała, i że mo dali śpiewać! Chociaż tam zdrowie troszkę szwankuje... Kobieta: – Dziękuję, dziękuję. Wzajemnie!

Idziemy dalej, drogą prowadzącą na Zapadź, ks. Piotr wskazuje mi na zabudowania dawnego górskiego folwarku i streszcza historię spotkania z wnuczką właściciela folwarku, Juliana Obrockiego, panią Elżbietą z Tarnowa, która w dzieciństwie mieszkała w pałacyku – zbyt dumnie to powiedziane – w okazalszym domu, zachowanym do teraz. – Cieszyła się jak dziecko, że to wszystko się tu zachowało – wspomina ks. Piotr. Teraz w folwarcznych zabudowaniach mieści się sklep, i kwaciarnia, a po wojnie była tuczarnia. – Przypadkowo ją spotkałem – wspomina. – Na przykościelnym parkingu stał terenowy samochód, przy nim dwoje ludzi. Coś się do nich odezwałem, że są pewnie „z dalekiego świata”, a oni na to, że wcale nie, bo ich dziadek, wspomniany Julian Obrocki, był właścicielem tutejszego folwarku i napisał rodzinną kronikę. Wielce mnie to zaciekawiło.

Jak zatrzymać czas? Na papierze

Ksiądz Piotr mieszka w Zawadce, Części Góry. Z jego zadbanego ogrodu widać dwa szyby górni-

cze – ten nieczynny w Woli, w dawnej kopalni „Czczott” i ten w jeszcze ferującym „Brzesczczach”, gdzie pracują również górzanie. I szeroki pas niezabudowanych jeszcze pól, lasu. Jest perspektywa, oddech.

Siedzimy na tarasie po sutym obiedzie. Kropi. A, niech sobie siąpi. Dopijam czarną kawę słodzoną brązowym cukrem. Pani Teresa podaje mi kawałek ciasta. – Ostatni, ksiądz już zjadł – mówi do księdza Piotra. Po czym dyskretnie znika, a my filozofujemy...

Kronika księdza Piotra – na którą schodzi temat każdej naszej pogawędki – liczy aż 32 tomiska, które leżą karnie szeregiem na półce tuż koło łóżka. Kroniki to świętość – rzecz zrozumiała – stanowią bogaty materiał dokumentacyjny zebrany przez Zegrodzkiego-kronikarza, z którego Zegrodzki-pisarz czerpie wspomagając się własną, niezawodną jak dotąd, pamięcią. I tak powstają publikacje – o historii Góry koło Pszczyny, kolejna – jej krzyżach i kapliczkach, następne – o działających tu organizacjach, życiu misyjnym w górskiej parafii, a także o papieskich spotkaniach górzan – i ostatnia, siódma – którą otrzymuję z dedykacją – o roku jubileuszowym 2000 w Górze, Polsce i na świecie. Wszystkie te dzieła powstały niemal wyłącznie w oparciu o kronikę tutejszej parafii. Pod wrażeniem jej ogromu i zawartości był m.in. Remigiusz Lis, koordynator Śląskiej Biblioteki Cyfrowej. Za niedługo, jeszcze w tym roku, wszyscy użytkownicy ŚBC będą się mogli o tym przekonać naocznie (pod adresem www.sbc.org.pl). W ten sposób Góra, jej historia, i dzieło życia księdza Piotra, trafią pod śląskie strzechy – drogą wirtualną.

– Jak to się stało, że ksiądz zaczął pisać kronikę... i to z takim rozmachem jeszcze? – dociekam. Pani Teresa żartuje: – Bo wszystko chciał mieć idealne. Ksiądz Piotr, oponuje: – Niy, niy... To jest moje usposobienie [plącze się, a pani Teresa się śmieje]. Jak przyszedłem do Góry na parafię, to wszystkie sprawy administracyjne, piśmienne trzeba było nadrabiać. Mój poprzednik był muzykiem, nie każdy ma rękę do pisanie – objaśnia. – A w protokole wizytacyjnym, zalecono prowadzenie kroniki parafii. Sił i czasu nie miałem, żeby grzebać w przeszłości. I tylko zacząłem spisywać bieżące wydarzenia na początku w brudnopisie. Nie miałem żadnego wzoru. Po rozmowach z innymi proboszczami doszedłem do wniosku, że nie mogę brulionu po sobie zostawić, no bo jakby to wyglądało, więc na-

byłem odpowiedni format, taki duży, prawdziwie kronikarski i w nim zacząłem to moje pisanie. Wiedziałem tylko, że muszę marginesy robić i stronicę numerować. A reszta już poszła sama. Nie stać mnie było żeby na brudno, a potem na czysto, albo jeszcze na maszynie do pisania coś skrobać, więc siadałem i od razu przelewałem wszystko na papier, nieraz na gorąco, z biegiem czasu tych wydarzeń przybywało, a potem dotarło jeszcze, że nie wystarczy tylko relacjonowanie, trzeba jeszcze zamieścić coś z naszego, lokalnego życia. Każda moja rozmowa z parafianami, kolęda wpływała na to moje pisanie. Jak coś usłyszałem, siadałem wieczorami i zapisywałem. Ze zdjęciami był problem w tamtych czasach, bo raz, że drogo, a dwa, że nie mogłem wszystkich zdjęć wykonywać sam, skoro odprawiałem. A tych, co prosiłem dostarczali mi zdjęcia, czasem po trzech miesiącach, a zdarzało się, że i po dwóch latach. A ja już zdążyłem sporo od tego czasu napisać i miejsca w kronice brakowało...

Początkowo te moje zapisy były ogólne, bo mnie strofowano, że zapisy powinny być ogólne, ale mnie to nie zadowalało, chciałem zawsze więcej o tej mojej Górze i górzanach utrwalić. Starałem się tutejszych ludzi poznać bliżej, bo przy każdej rozmowie, bliższym poznaniu się wychodziły ciekawe rzeczy, zainteresowania, pasje.

A kiedy już po trzeciej wizytacji złożono te moje kroniki, a było ich z dwadzieścia tomów, wizytator nie mógł wyjść z podziwu jak można o tak małej wspólnocie tyle nakreślić. I – przez moich współbraci – dotarła do mnie informacja, że w seminarium stawia się mnie i moje kroniki za przykład. To miłe.

Ta estetyka mojej kroniki jest może nie za bardzo, ale jest ona na żywo pisana, własnoręcznie. Jest w niej moja dusza i serce – dobiega do mnie głos księdza Piotra.

Jedyne miejsce na ziemi. Najpiękniejsze

Górze i jej mieszkańcom księdza Piotr poświęcił kawał życia, wielotomową kronikę i kilka książek. Żył jej sprawami, problemami mieszkających tu ludzi. Wrósł w nią mocno. O niej opowiadał na spotkaniach autorskich, a nawet radiowym – że jest piękna, wspaniała, z tymi rozlewiskami nad Wisłą, niepowtarzalnym klimatem, rodzinną serdecznością kraja-



nów. A ludzie to odwzajemniali – tą bliskość i serdeczność księdza.

75-letni ksiądz Piotr Zegrodzki z Góry, bohater tego reportażu zmarł tydzień po naszym spotkaniu, 12 czerwca. Jego pogrzeb przypadł w niedzielę 15 czerwca – wtedy właśnie miał obchodzić swój jubileusz 50-lecia kapłaństwa. Wszyscy na to czekali. Bóg jednak chciał inaczej.

W ostatniej drodze towarzyszyły księdzu Piotrowi tłumy – pogoda też dopisała: mimo chmur pojawiło się popołudniem słońce. Zgodnie z jego wolą, każdy mógł bezpłatnie zabrać na pamiątkę jego ostatnią, i siódmą z kolei, książkę pt. „Kronika Roku Jubileuszu 2000 parafii św. Barbary w Górze koło Pszczyzny”, a także pamiątkowy obrazek. Ksiądz Piotr spoczął w malowniczym miejscu, na cmentarzu na wzgórzu skąd roztacza się wspaniała panorama na jego ukochaną Górę.

Na koniec refleksja – zawsze, kiedy się żegnaliśmy ksiądz Piotr nieustannie za wszystko dziękował (zwłaszcza za tą, ostatnią jak się oka-

zało, „publicystyczną spowiedź”). Kłopotliwe było to trochę dla mnie, więc zwróciłem delikatnie uwagę, że już mi „naddziękował” wystarczająco, że ma abonament, że „rychty styknie”, bo mnie nawet tą serdecznością zawstydza. – Ale mnie uczone w domu, panie Grzesiu, by za wszystko dobro dziękować – mówi z powagą. – Za każde z osobna...

Bo ksiądz Piotr cieszył się z każdego spotkania z każdym człowiekiem. Zawsze go ugaszczał, darzył serdecznością, chwilą rozmowy. A na koniec starał się dać jakąś pamiątkę wspólnego, radosnego spotkania – obrazek, książkę, medalik...

Ten dom, księdza emeryta Piotra Zegrodzkiego, którym opiekowała się pani Teresa Malcher był zawsze otwarty, gościnny dla wszystkich bez wyjątku – to wiem, i to usłyszałem na jego ostatnim pożegnaniu...

Jak to ujął trafnie biskup senior Damian Zimoń – ksiądz Piotr był przepełniony duchem papieża Franciszka.



Stres pozytywny

– Przybywa ofiar wypadków komunikacyjnych. Wielu pacjentów oczekuje nowoczesnych rozwiązań, które nie tylko przedłużą ich życie ale także podniosą jego komfort. Szczególnie dotyczy to rekonstrukcji krtani i tchawicy, najczęściej uszkodzonych w wypadkach samochodowych narządów.

– Uwaga naukowców od lat skupiona jest na rozwiązaniu tego problemu. Uszkodzenia krtani i tchawicy są następstwem stale rosnącej liczby wypadków komunikacyjnych, podczas których uderzenie w kierownicę powoduje najczęściej obrażenia narządów szyi, na przykład rozerwanie krtani. Rekonstrukcja jest także niezbędna po rozległych zabiegach onkologicznych i urazach innego typu. Od kilku lat uczestniczymy w projekcie dotyczącym regeneracji tkanek kostnych w ramach kości twarzoczaszki, jak również chrząst-

ki krtani i tchawicy po stanach nowotworowych i urazowych. Projekt realizujemy wspólnie z Wydziałem Inżynierii Materiałów i Ceramiki z AGH w Krakowie, który pracuje nad wytworzeniem nowych biomateriałów, dostosowanych do rekonstrukcji krtani i tchawicy.

– Pozwoli to na wyeliminowanie rurek tracheotomijnych, których widok – trzeba przyznać – nie jest zbyt estetyczny?

– Tracheotomia w wielu przypadkach ratuje życie pacjenta, wykonuje się ją u osób, których drogi oddechowe z różnych powodów – urazu czy guza – są niedrożne i oddychanie przez usta i nos jest niemożliwe. Bywa, że rurki są zakładane pacjentom tymczasowo, ale jeśli na przykład szpara głosni czyli przestrzeń między fałdami głosowymi jest zbyt wąska i nie pozwala pacjentowi swobodnie oddychać, rurka musi pozostać. Dzięki polimerom, które opra-

cowujemy wspólnie z krakowskimi naukowcami z Katedry Biomateriałów będą one wszczepiane w celu zrekonstruowania światła krtani bądź tchawicy. Materiał ten pokrywa się prawidłowym nabłonkiem, dzięki czemu będzie on kompatybilny z organizmem, co z kolei pozwoli na usunięcie owej rurki tracheotomijnej. To są długie i żmudne badania, właściwości fizyczne i biologiczne biomateriałów powinny być podobne do właściwości żywych tkanek i posiadać zdolność do przejęcia w pełni ich funkcji – w tym przypadku normalnego oddychania i jedzenia. Jesteśmy już po udanych próbach *in vitro*, dokonaliśmy oceny cytotoksyczności i genotoksyczności, czyli wpływu biomateriału na komórki w organizmie i ich oddziaływania rakotwórczego. Obecnie przystępujemy do prób na zwierzętach, mamy już zgodę Komisji Bioetycznej na próby na ludziach. Myślę, że jeszcze w tym roku będziemy mogli mówić o konkretnych rezultatach.

– Co stanowi największą trudność w stworzeniu odpowiedniego biomateriału, czy decyduje o tym specyfika obu narządów?

– Ich podstawową funkcją jest zapewnienie prawidłowego oddychania, pełnią także bardzo ważną rolę ochronną, tchawica wychwytyją unoszące się w powietrzu mikroorganizmy oraz pyły, zabezpiecza także oskrzela i płuca, wyrzucając resztki pokarmu przy pomocy naturalnego odruchu, jakim jest wykrztuszanie. Trzecia, równie ważna, jest funkcja głosotwórcza. Materiał użyty do rekonstrukcji musi więc umożliwiać prawidłowe funkcjonowanie narządu i zapewnić właściwą biokompatybilność z całym organizmem. Pacjent nie powinien odczuwać jakiegokolwiek dyskomfortu, ma on normalnie oddychać i spożywać pokarmy a jego fałdy głosowe muszą generować głos, nie różniący się od głosu ludzi zdrowych.

– Oddział kliniczny, którym pan kieruje jest jedynym w południowej Polsce, gdzie wykonuje się protezowania niedosłuchów...

– Są to wszczepy aparatów zakotwiczonych w kości skroniowej, czyli protezowanie niedosłuchów przewodzeniowych i przypadków jednostronnej głuchoty. Metodę tę stosuje się u osób z chronicznymi infekcjami uszu, brakiem słuchu od urodzenia i jednostronną głuchotą. Dzięki tym protezom dźwięk dociera do ucha środkowego nie poprzez drgania powietrza, ale bezpośrednio kością skroniową, w którą wkręcany jest tytanowy implant połączony z zewnętrznym, kilkunastogramowym procesorem dźwięku, wszczepianym za uchem.

– Jak długie jest oczekiwanie na wszczępienie implantu?

– Kolejka nie jest kłopotliwa dla pacjentów, w najgorszym wypadku może się wydłużyć do paru miesięcy.

– W otolaryngologii pojawiła się nowa specjalizacja: audiologia i foniatrya, czym się zajmuje?

– Najogólniej można powiedzieć, że jest to specjalizacja zajmująca się zaburzeniami procesu komunikatywnego, czyli pra-

widłowego porozumienia przy pomocy głosu, słuchu, mowy i języka. Zapotrzebowanie na tę specjalizację jest ogromne. Jednym z największych niebezpieczeństw naszej społeczności jest wszechobecny hałas, który stanowi jeden z najgroźniejszych czynników ototoksycznych, czyli uszkadzających narząd słuchu. Niedosłuch, podobnie jak cukrzyca, choroba wieńcowa czy nadciśnienie stał się chorobą społeczną. W Polsce cierpi na niego około 15 proc. ludzi. Wracając do audiologii i foniatrii, pierwsza – bada procesy odbioru dźwięków, natomiast foniatria ich wydawanie, w obu przypadkach specjalści zajmują się zaburzeniami i ich leczeniem. Nasza klinika jako jedyna w południowej Polsce posiada akredytację na prowadzenie tej specjalizacji. Obecnie przygotowujemy sześciu lekarzy, którzy za kilka lat będą specjalistami w zakresie audiologii i foniatrii.

– Według danych Instytutu Onkologii w Warszawie około 10 milionów Polaków pali regularnie 15–20 papierosów dziennie...

– To zatrzważające dane, zwłaszcza że należy także do czołówek w spożywaniu alkoholi wysokoprocentowych. A jest to mieszanek wyjątkowa. Palenie papierosów jest najczęstszym czynnikiem etiologicznym raka a w połączeniu z alkoholem znacznie przyspiesza proces nowotworowy. Kancerogeny zawarte w dymie tytoniowym (a jest ich około czterech tysięcy) znakomicie rozpuszczają się w alkoholu, na skutek czego ich penetracja do nabłonka czy śluzówki jamy ustnej jest znacznie ułatwiona i powoduje transformację prawidłowego nabłonka w metaplastyczne nowotwory, które atakują nos, zatoki, wargi, gardło, krtani, gruczoły ślinowe, tarczycę... a właśnie te zaliczają się do sześciu najliczniej występujących w Polsce nowotworów złośliwych. Najczęstszym jest rak płaskonabłonkowy, który stanowi siódmy pod względem częstości występowania rodzaj nowotworów u mężczyzn, u kobiet jest dopiero na dwudziestym trzecim miejscu.

– Dlaczego mężczyźni są bardziej narażeni?

– Początkowo uznano, że mężczyźni palą znacznie więcej papierosów i częściej piją wysokoprocentowy alkohol. Niestety teorię tę należało zmodyfikować, ponieważ panie dorównują już w tym względzie mężczyznom a mimo to statystyki nadal utrzymują się na podobnym poziomie. Rocznie u około 3 000 osób zostaje zdiagnozowany rak krtani, z czego aż 2.700 stanowią mężczyźni. To zapewne hormony żeńskie ochronią przed zachorowaniem na tego typu nowotwory.

– Narkotyki i dopalacze zniknęły z legalnej sprzedaży, papierosy są ogólnodostępne...

– To oczywiście niekonsekwencja, wystarczy porównać dochody ze sprzedaży wyrobów tytoniowych ze środkami, które wydaje się na leczenie skutków palenia. Stąd tyle akcji profilaktycznych, przestroż i kampanii antynikotynowych. Rok 2013 został ogłoszony „Rokiem walki z nowotworami głowy i szyi”. Zorganizowano

wiele szkoleń, konferencji i akcji mających na celu doprowadzenie do zmniejszenia liczby zachorowań, poprzez działania ukierunkowane na edukację, profilaktykę i badania przesiewowe. Jeden z projektów pod hasłem „1 przez 3” skierowany był do lekarzy rodzinnych. Przygotowali go eksperci z dziedziny nowotworów głowy i szyi. Są to wskazówki dla lekarzy pierwszego kontaktu, którzy powinni niezwłocznie skierować do laryngologa pacjenta, u którego przez trzy tygodnie utrzymuje się choćby jeden z takich objawów, jak: bolesne lub utrudnione przelknięcie, ból gardła, chrypka, ból języka, nieogojące się rany w jamie ustnej, białe lub czerwone plamy na błonie śluzowej jamy ustnej, obrzęk szyi, guz szyi, jednostronne upośledzenie drożności nosa czy krwista wydzielina z nosa. Najważniejsze, aby pacjent trafił do nas w odpowiednim momencie.

– Chorują także ludzie niepalący...

– To prawda, ale głównymi czynnikami etiologicznymi nowotworów głowy i szyi są kancerogeny zawarte w dymie tytoniowym i wysokoprocentowych alkoholach, pozostałe, ale w znacznie mniejszym stopniu, to obciążenia genetyczne i różnego typu wirusy, między innymi HPV.

– Nałogowi palacze unikają wizyt u laryngologów, obawiając się odmowy leczenia.

– Nie mamy prawa odmówić leczenia, wynika to zarówno z poczucia etyki każdego lekarza, jak i z racji zawodowego obowiązku. Oczywiście pytania o ilość wypalanych dziennie papierosów nie da się uniknąć, ale drogą perswazji staramy się przekonać pacjenta do porzucenia nałogu. To są trudne rozmowy, ale konieczne, ponieważ musimy eliminować czynnik etiologiczny choroby. Zdarza się, że spotkanie z pacjentem, który do końca życia jest skazany na oddychanie przez rurkę tracheotomijną odnosi pożądany skutek. Taki widok wprawdzie wywołuje strach i przerażenie, ale to stres pożyteczny.

– Czy zamiana papierosów na fajkę obniża zagrożenie?

– Absolutnie nie. Fajka zawiera taki sam tytoń, tak więc i kancerogeny są takie same.

– Jakie wyzwania stoją przed współczesną laryngologią?

– Najważniejszym zadaniem jest przeszczep krtani. To rozwiązałoby wiele problemów nowotworowych. Na trzy tysiące pacjentów rocznie, u których wykryto zaawansowanego raka krtani, u połowy konieczna jest laryngektomia, czyli całkowite usunięcie narządu. To jak na razie nasza jedyna skuteczna broń przeciwko tej chorobie. Przeszczep serca czy nerek, narządów niezwykle skomplikowanych i wielofunkcyjnych jest już obecnie zabiegiem wręcz rutynowym natomiast przeszczepy krtani czy tchawicy nadal pozostają w sferze eksperymentalnej.

– W czym tkwi trudność?

– W skomplikowanym unerwieniu krtani. Na świecie już wielokrotnie podejmowano próby, które niestety zakończyły się niepowodzeniem z powodu braku możliwości odtworzenia funkcji nerwowej krtani:

ni: głosotwórczej, oddechowej i obronnej. Udane przeszczepy mogłyby całkowicie zastąpić laryngektomie. Drugim wyzwaniem, które stoi przed nami jest leczenie uszkodzenia słuchu, które jest na przykład następstwem pracy w uporczywym hałasie. Dotyczy to bardzo licznej grupy pacjentów, którzy nie kwalifikują się jeszcze do przeszczepu ślimakowego ale cierpią z powodu niedosłuchu. Jedynie co mamy obecnie im do zaoferowania, to aparaty słuchowe. Problem ten mogą rozwiązać dowolnie komórek słuchowych. Sukcesem zakończyło się zastosowanie tej metody u ptaków, przyjdzie więc czas i na człowieka. Kolejne zadanie, jakie stoi przed współczesną laryngologią to uzyskanie skutecznej chemioterapii w leczeniu raka płaskonabłonkowego głowy i szyi. Dzisiaj go operujemy lub naświetlamy. Rak płaskonabłonkowy jest bardzo trudnym do badania laboratoryjnego nowotworem, ponieważ komórki prawidłowe są poprzerastane tkanką rakową. Lek musiałby więc działać na receptory konkretnych komórek a takiego jeszcze nie wynaleziono.

– Często i z łatwością sięgamy po leki bez recepty, czego powinniśmy się strzec?

– Przede wszystkim nadużywanie antybiotyków, które są wręcz wymuszane na lekarzach, nawet w przypadkach banalnych przeziębień. To jest oczywiście podyktowane lękiem przed nieobecnością w pracy a tym samym groźbą jej utraty, pamiętajmy jednak, że częste stosowanie antybiotyków powoduje narastanie odporności szczepów bakteryjnych i powstawanie lekoopornych bakterii, tak więc w sytuacji, kiedy antybiotyk jest rzeczywiście niezbędny, okazuje się, że leczenie nie przynosi efektu. Kolejnym niebezpieczeństwem jest nadużywanie środków przeciwbólowych i przeciwzapalnych. Szczególnie groźne w skutkach są leki zawierające pseudoefedrynę, która bardzo niekorzystnie wpływa na serce. Przeziębienie, któremu towarzyszy gorączka to jeszcze nie powód, aby sięgać po leki. Przede wszystkim należy pozostać w domu i unikać wysiłku fizycznego, a nie zwiłokrotniać dawki leków.

– Reklamą kuszą kolorowymi, wielosmakowymi witaminami.

– Pamiętajmy, że nasz organizm potrzebuje mikroilości poszczególnych witamin, codzienna porcja warzyw i owoców w zupełności zaspokaja nasze potrzeby. Faszzerowanie się niekontrolowanymi porcjami różnorodnych witamin, minerałów i suplementów diety nie przynosi korzyści, a bywa, że wręcz odwrotnie szkodzi zdrowiu organizmowi.

– Jest środek lata, zaczął się sezon lodów...

– Lody w niektórych przypadkach mają nawet lecznicze zalety, są bardzo wskazane na przykład w tzw. suchym nieżycie gardła, ponieważ nawilżają błonę śluzową, a zdrowa śluzówka, to wilgotna śluzówka. Na pewno niedostateczna ilość spożywanych płynów częściej jest przyczyną przeziębienia, niż dobra porcja lodów.

Diękuję za rozmowę.

Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Henryk Sławik w czasie

drugiej wojny światowej (cz. III)

TOMASZ
KURPIERZ



Henryk Sławik

„G

eneralny »sąd« był w komplecie. Przed nim stał storturowany i spoliczkowany, ale śmiały i odważny z pełną nieugiętością duszy Henryk Sławik. Postawili nas wprost przed sobą i przeczytali oskarżenie przeciwko mnie. Potem zadawali pytania, na które odpowiadałem. Henryk Sławik według stawianych punktów obalał im te zarzuty, świadcząc tym samym, że ja nie miałem o tym pojęcia. Obiecali mu, że jak powie prawdę, to go natychmiast zwolnią. Ale on był niezłomny. Przerwali rozprawę. Odprawdzili mnie do sąsiedniego pokoju. Po jakimś czasie przesłuchanie zaczęło się znowu. Obraz był ten sam, tylko Sławik się zmienił. Jego twarz i głowa były pokrwawione od bicia. Ale z oczu biło zdecydowanie. Popatrzył się na mnie z przyjacielskim oddaniem i od razu wyprostował się i powiedział: «Sprzeciwiam się – w imieniu prawa międzynarodowego, moralności i sprawiedliwości. Nie oskarżajcie Go!». Przewodniczący przerwał przesłuchanie. Na aktach Sławika napisali coś czerwonym ołówkiem. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że czerwone pismo oznacza krew i śmierć. Ze Svábhegy [aresztu gestapo – T.K.] zabrano nas z powrotem do więzienia. W czasie podróży siedzieliśmy obok siebie w ciemnym czarnym samochodzie. Poszukałem jego ręki, by podziękować mu za uratowanie mego życia. [Z] uściskiem dłoni tak mi szepnął – «Tak płaci Polska». W ten sposób ostatnie spotkanie z polskim przyjacielem wspominał József Antall. Do dramatycznej konfrontacji doszło w lipcu 1944 r., kil-

ka miesięcy po zajęciu Węgier przez wojska niemieckie. Oficerowie gestapo, dysponując bogatym dossier na temat działalności Sławika jako prezesa Polskiego Komitetu Obywatelskiego, szukali przede wszystkim dowodów na udział obu mężczyzn w akcji ratowania ludności żydowskiej. Los Polaka był niestety przesądzony, z czego on sam zdawał sobie sprawę, gra toczyła się więc o życie Węgra.

**Bemowie, Mickiewiczowie,
Kościuszkowie**

U

derzenie hitlerowców było celne, ponieważ Antall już od pierwszych tygodni wojny pospieszył z pomocą polskim Żydom, którzy szukali schronienia w kraju nad Dunajem. Jesienią 1939 r. i na początku 1940 r. dotarło ich tam około 10 tysięcy. Jako pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych sprawujący nadzór nad pomocą dla uchodźców, József pod koniec września nieoficjalnie polecił podległym sobie urzędnikom, aby nie odnotowywali faktycznej narodowości uciekinierów, wszystkich określając jedynie jako polskich obywateli. Jeżeli była taka konieczność – wpisywano fałszywe imiona i nazwiska. W ten sposób wśród żydowskich uchodźców pojawiło się wiele osób z nazwiskami najbardziej znanych w Polsce (i na Węgrzech) postaci z historii, literatury, sztuki – Bemowie, Mickiewiczowie, Chopinowie, Kościuszkowie i inni. „Niech Bóg wybaczy

nam historyczną i literacką nietaktowość, ale musieliśmy działać szybko, przecież rozpoczął się już wtedy proces wywiadowczy strzałokrzyżowców [węgierskich faszystów – T.K.] i niemieckich sprzymierzeńców” – wspominał Antall. Na przełomie 1939/1940 r. w działania te włączył się Henryk Sławik. Podstawową sprawą było wystawienie niebudzących podejrzeń fałszywych dowodów tożsamości. Do wkroczenia na Węgry hitlerowców w marcu 1944 r. dokumenty te stanowiły dla żydowskich uchodźców niemal ubezpieczenie na życie. Na tym polu nieoceniona okazała się pomoc polskich księży, którzy w ścisłej współpracy z Antallem i Sławikiem, na niemal masową skalę, zaczęli wystawiać fałszywe metryki chrztu, tym razem wybierając już polskie imiona i nazwiska z listy najbardziej popularnych. Na podstawie tych dokumentów żydowscy uchodźcy wpisywani byli do polskich i węgierskich ewidencji jako katolicy. „Spytałem raz – wspominał dalej Antall – szefa Polskiego Urzędu Duszpasterskiego, franciszkanina [Piotra] Wilka-Witosławskiego, czy to śmiertelny grzech, że nadajemy Żydom polskie nazwiska i wydajemy im polskie dokumenty. Ojciec [...] bardzo poważnie, z przekonaniem odpowiedział, że jest to – w danych okolicznościach – zadanie bezwarunkowo miłe Bogu, gdyż Bóg nie chciał stworzyć imion, ani obrządków, lecz człowieka, żeby na ziemi było życie. Więc, jeśli tymi dokumentami możemy uratować komuś życie, niewinne oszustwo (*pia fraus*) jest czynem

zawsze dozwolonym”. W siedzibie kierowanego przez Sławika Komitetu, w biurze Antalla i Polskim Katolickim Duszpasterstwie nad Uchodźcami drukowane były w języku polskim, niemieckim i francuskim teksty najważniejszych modlitw, których musieli się nauczyć żydowscy uchodźcy. Poza *Ojciec Nasz*, konieczna była znajomość siedmiu sakramentów i innych katolickich praktyk religijnych. Wszystko to mogło zwiększyć szanse na wyjście obronną ręką podczas przesłuchań prowadzonych na przykład przez śledczych z węgierskiego kontrwywiadu. Z biegiem czasu uchodźcy żydowscy, jak i osoby im pomagające były bowiem pod coraz ściślejszą obserwacją tych służb węgierskich (między innymi wspomnianego kontrwywiadu), którymi kierowali politycy i wojskowi o nastawieniu proniemieckim. Swoje macki rozszerzał także wywiad hitlerowski, zdobywający coraz więcej agentów rozlokowanych w wielu instytucjach i urzędach, nie wyłączając z tego nawet ministerstw. W tej sytuacji i Sławik, i Antall od początku narażeni byli na duże niebezpieczeństwo.

Od połowy 1942 r., kiedy w Polsce trwała już masowa zagłada ludności żydowskiej, na Węgry zaczęła docierać druga fala uchodźców. Przełożony Antalla, minister Ferenc Keresztes-Fischer zlecił wówczas podległym mu władzom pogranicznym, aby żadnego z uciekinierów, bez względu na pochodzenie i wyznanie, nie odstawać za granicę, co równało się wyrokowi śmierci. Władza szefa MSW, bardzo przychylnego Polakom, stawiała się jednak coraz bardziej ograniczona. W sierpniu 1941 r., na Węgrzech wprowadzona została tzw. trzecia ustawa antyżydowska i chociaż Żydów węgierskich nie dotknęły jeszcze wówczas masowe represje, to jednak wielu uciekinierów z Polski zostało schwytych przez proniemiecko nastawione służby i deportowanych z powrotem do kraju. Niemniej jednak w 1942 i 1943 r. na Węgry dotarło około 5 tys. polskich Żydów, w tym wiele dzieci, które niejednokrotnie, po najstraszliwszych przeżyciach, cudem same przedostawały się nad Dunaj.

Dla tych właśnie najmłodszych ofiar Sławik wraz z Antallem, przy współpracy kilku innych uchodźców żydowskich (m.in. Icchaka Bretlera vel Bratkowskiego), zorganizowa-



József Antall

wali w położonym około 30 km na północ od Budapesztu miasteczku Vac sierociniec. Było to wyjątkowe przedsięwzięcie. Otwarty pod koniec lipca 1943 r. zakład oficjalnie nazwany został Domem Sierot Polskich Oficerów. W rzeczywistości wraz z polskimi i żydowskimi opiekunami przebywało tam około stu żydowskich dzieci zaopatrzonych w „aryjskie” papiery ze zmienionymi nazwiskami. Funkcjonowało przedszkole i szkoła powszechna, w której realizowano polski program nauczania. Jednocześnie jednak nie pozbawiano dzieci ich tożsamości – po oficjalnym udziale w mszy św., potajemnie uczono je hebrajskiego i objaśniano Stary Testament. W kamuflaż włączył się też Kościół katolicki. Dla zwiększenia bezpieczeństwa dzieci, dzięki pomocy hrabiny Erzsébet Szapáry, wielkiej przyjaciółki Polaków, wiceprezeski Węgiersko-Polskiego Komitetu Pomocy Uchodźcom, sierociniec odwiedził wtajemniczony w całą sprawę nuncjusz apostolski na Węgrzech arcybiskup Angello Rotta. Wtedy to bliskim współpracownikiem Sławika stał się m.in. Henryk Zvi Zimmermann, prawnik z Krakowa, członek żydowskiego ruchu oporu, który uciekł z krakowskiego getta w 1943 r., dotarł na Węgry i pod fałszywym nazwiskiem został jednym z pracowników Komitetu Obywatelskiego, a faktycznie łącznikiem między prezesem a różnymi grupami ukrywających się nad Dunajem polskich Żydów. Dzięki szczęściu, poświęceniu i determinacji wielu ludzi umieszczone w Vacu dzieci udało się ocalić. W maju 1944 r., a więc już podczas okupacji Węgier, zostały one potajem-

nie przewiezione do Budapesztu i tam, ukryte w kilku miejscach, wszystkie dotrwały do końca wojny.

Precyzyjne określenie liczby wszystkich osób uratowanych przez Sławika i jego przyjaciół jest bardzo trudne, o ile nie wręcz niemożliwe. Najbliżsi współpracownicy Henryka i Józsefa wspominali, że wielu uchodźcom żydowskim pomogli oni osobiście, nie odnotowując tego w ogóle w żadnych dokumentach. Ścisłe przestrzeganie zasad konspiracji przyniosło znakomite rezultaty. Według ostrożnych szacunków, kierowany przez byłego redaktora „Gazety Robotniczej” Komitet wraz z pomocą węgierskich przyjaciół przyczynił się do uratowania co najmniej 5 tys. polskich Żydów. Dobrze zorientowany w tej sprawie Henryk Zvi Zimmermann uważał, że liczba ta jest zaniżona, co potwierdzałyby wspomnienia Antalla, który pisał o ponad dziesięciu tysiącach żydowskich uchodźców (ale niestety nie precyzował czy chodzi o wszystkich, którzy otrzymali np. fałszywe dokumenty). W niektórych wspomnieniach pojawia się nawet liczba 14 tys. uratowanych osób. Niezależnie od tego, który z tych szacunków jest bliższy prawdy, ogrom dokonań Sławika i Antalla stawa ich w szeregu największych Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Ostatnie miesiące

W grudniu 1943 r., dzięki pomocy węgierskich przyjaciół, na fałszywych papierach z Warszawy do Budapesztu dotarła rodzina Sławika – żona Jadwiga i czternastoletnia wówczas córka Krysia. Po kilkutygodniowym pobycie w stolicy obie wyjechały nad Balaton, gdzie dziewczyna rozpoczęła naukę w szkole w Balatonboglár. W tym czasie cała rodzina miała możliwość wyjazdu do Szwajcarii, jednak Henryk nie zdecydował się na taki krok, stwierdzając, że nie może zostawić ludzi będących pod opieką Komitetu Obywatelskiego. Niestety, czasy, kiedy Węgrzy mogli zapewnić Polakom względne bezpieczeństwo, dobiegły końca. 19 marca 1944 r. nad Dunaj i Cisę wkroczyły wojska niemieckie. Natychmiast rozpoczęły się przesładowania polskich uchodźców. Kilku pracowników i współpracowników



Komitetu, m.in. gen. Jan Kołłątaj-Srzednicki, szef Polskiej Służby Medycznej, od razu zginęło od hitlerowskich kul, inni trafili do aresztów. Sławik zdołał się ukryć i jeszcze przez kilkanaście tygodni, w konspiracyjnych warunkach, kierował pracami polskiej instytucji. Dla rodziny Sławików nadeszły jednak tragiczne dni. W czerwcu aresztowana została Jadwiga. Trafiła do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Krysię ukryto u znanego polityka i polonofila księdza Beli Vargi. Zdołała się jeszcze zobaczyć z ojcem.

W połowie lipca 1944 r. w ręce gestapo trafił i sam Sławik, prawdopodobnie zdradzony przez jednego z uczniów z liceum w Balatonboglár. Aresztowany został również Antall. Obaj trafili do budapeszteńskiej siedziby gestapo. Hitlerowcy chcieli zdobyć przede wszystkim informacje o udziale Węgra w akcji przetrzucania Polaków na Zachód oraz jego roli w ratowaniu Żydów. Ujawnienie zaangażowania Józsefa w te przedsięwzięcia równałoby się wydaniu na niego wyroku śmierci. Sławik całą odpowiedzialność wziął na siebie. Po brutalnym śledztwie trafił wraz z najbliższymi współpracownikami z Komitetu Obywatelskiego do obozu w Mauthausen. Tam też został powieszony 23 sierpnia 1944 r. Wraz z nim, między godziną 16 i 16.15, w ten sam sposób, zamordowani zostali pozostali liderzy polskiego uchodźstwa na Węgrzech – Stefan Filipkiewicz, Andrzej Pysz, Edmund Fietz i Kazimierz Gurgul (karta ewidencyjna z obozu, stanowiąca precyzyjny zapis zbrodni, odnaleziona została w jednym z archiwów w USA przez rodzinę prof. Gurgula). Antalla, któremu śledczy z gestapo nie udowodnili żadnych zarzutów, wypusz-

czono, ale niepewny swego losu do końca wojny już się ukrywał. Krysia Sławik przebywała u różnych ludzi w okolicach Balatonu. Zaraz po zakończeniu wojny odnalazł ją węgierski przyjaciel Ojca, który przez krótki czas – zanim komuniści zdobyli pełnię władzy – objął funkcję ministra odpowiedzialnego za odbudowę kraju. Wkrótce okazało się, że ocalała również Jadwiga. W lipcu 1945 r. Antallowie zorganizowali podróż Krysi do Katowic. W ten sposób zakończyły się tragiczne, wojenne losy rodziny. József, po odsunięciu od oficjalnych funkcji (do 1950 r. był jeszcze prezesem Węgierskiego Czerwonego Krzyża), żył w odosobnieniu aż do śmierci w 1974 roku.

Zapomniany bohater i przywracanie pamięci

Bepośrednio po zakończeniu wojny pamięć o Sławiku w Katowicach była wciąż żywa. W grudniu 1945 r. wzruszające świadectwo na łamach „Dziennika Zachodniego”

zamieścił Tibor Csorba, bliski współpracownik Henryka i Józsefa, po wojnie mieszkający w Polsce znany tłumacz polsko-węgierski, malarz, i językoznawca. „Antall podziwiał uspołecznionego, demokratycznego Polaka, który nie miał nic z przysłówiowego, a nam, Węgom także znanego słomianego zapału: podziwiał człowieka, który nienawidził patosu i frazesu, który ma wycucie miary w postępowaniu a stanowczość w żądaniach – wspominał Csorba.

– W ciągu pięcioletniej działalności na stanowisku Prezesa Polskiego Komitetu Opieki nad Uchodźcami na Węgrzech wykazał Sławik, że potrafił stanąć zawsze ponad interesami partyjnymi. Zadanie jego było niezmiernie trudne. Sytuacja polityczna była stale napięta. Uchodźstwo miało skłonność do ustawicznych waśni i kłótni i nie było łatwo ująć je w ryzy. A jednak do Sławika wszyscy czuli zaufanie. Wierzyli w jego bezwzględne oddanie sprawie. Osobistych zaszczytów nigdy nie szukał. Pozostał zawsze skromny, zawsze gotów do służenia innym. [...] Robił to tak, jak wszystko: na poważnie. Nieraz zdawało się nam, że kieruje się tylko mózgiem, że robi to mądrze, ale nie zdradza, że bije w nim też czułe serce. Nie odmawiał młodzieży niczego, co by ułatwiało jej rozwój, naukę, wychowanie, ratowanie zdrowia i życia. A zawsze dbał bardzo o swoją żonę i swoją córeczkę. Gdy tylko mógł, wysyłał dla nich paczki do kraju z żywnością lub z lekarstwami. Nie zapomnę nigdy, jak mała Krysia w Warszawie, na Czerniakowskiej, w przeludnionym mieszkaniu podziękowała mi za paczkę, przywiezioną w roku 40-tym, w maju od ojca i prosiła o pozdrowienie tatusia ze słowami: «nie umrę, dopóki go nie zo-



Dom dziecka w Vacu

Zdjęcia
ze zbiorów AIPN
w Katowicach

bacze». Ta wiadomość wycisnęła łzę z oczu twardego człowieka i łzy te zdradziły, że ma ojcowskie serce. Ta wiadomość starła pył i roziskrzyła jego serce w słońcu”.

W 1946 r., według relacji córki Henryka, ówczesna Rada Miasta Katowic nadała jednej z ulic jego imię. Nazwa przetrwała jednak tylko trzy dni i – niezaakceptowana przez komunistów – została anulowana. Sławik był niezależnym socjalistą i pamięć o nim, podobnie jak o wielu innych wybitnych postaciach tego przedwojennego nurtu politycznego, miała zniknąć. Nie pomogło nawet to, że prezes Komitetu nie dożył tzw. władzy ludowej w Polsce, ponieważ zbyt mocno odstawał od niechlubnych wzorców, do których odwoływali się towarzysze partyjni. Dość niespodziewanie, na krótko, nazwisko Sławika pojawiło się, instrumentalnie wykorzystane przez władze komunistyczne, w czasie kampanii antysemickiej po Marcu 1968 r. Na Węgry udała się ekipa telewizyjna, która nakręciła, m.in. z udziałem Antalla, film dokumentalny o Sławiku. Na budynku szkoły w Balatonboglár w 1969 r. pojawiła się tablica informująca o współpracy polsko-węgierskiej w czasie wojny. Zabiegi te wpisywały się w kampanię antysemicką i miały niewątpliwie wskazywać na rzekomą niewdzięczność Żydów wobec Polaków, wśród których wielu oddało życie niosąc im pomoc. Po tym niechlubnym epizodzie pamięć o tym wybitnym człowieku na wiele lat została prawie całkowicie wymazana ze świadomości zbiorowej na Górnym Śląsku.

Przywrócenie postaci Henryka Sławika zawdzięczamy determinacji Henryka Zvi Zimmermanna. Ten był polityk i dyplomata (pełnił m.in. funkcję wiceprzewodniczącego Knesetu i ambasadora Izraela w Nowej Zelandii) w listopadzie 1988 r. zamieścił w „Przekroju” ogłoszenie, że poszukuje „pana Sławika”, który „dopomógł w ocaleniu wielu Polaków i Żydów”. Nie wiedział, że prezes Komitetu Obywatelskiego nie żyje już od ponad czterech dekad. Dzięki prasowemu ogłoszeniu Zimmermann dotarł jednak do Jadwigi i Krystyny



Fot. Tomasz Kurpieter

i po tym na jego wniosek Yad Vashem wszczął odpowiednie procedury. W 1990 r. Sławikowi przyznany został pośmiertnie Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Uroczystość w Jerozolimie, w której uczestniczyła córka prezesa, odbyła się jesienią. W następnym roku tym samym, szacownym medalem odznaczony został József Antall. Odznaczenie odebrał József Antall junior, jego syn, po obaleniu komunizmu pierwszy premier wolnych Węgier. Po tym wydarzeniu pojawiły się pierwsze wzmianki prasowe o zapomnianym bohaterze. W 1997 r. Zimmermann opublikował książkę „Przeżyłem, pamiętam, świadczę”, w której jeden rozdział poświęcił Sławikowi. Na tym jednak nie poprzestał – podczas spotkań upowszechniał wiedzę o tym niezwykłym człowieku, podkreślając wielokrotnie, że czyni Sławika są godnie filmu, który miałby medialną wymowę porównywalną z „Listą Schindlera”. W jednym z takich spotkań uczestniczył Grzegorz Łubczyk, który właśnie zakończył misję ambasadora RP na Węgrzech, a będąc pod wrażeniem przedstawionego przez Zimmermanna ogromu dzieła Sławika podjął, wieloletnie już obecnie, starania na rzecz przywrócenia jego pamięci. Efektem tych działań są m.in. jego dwie książki – reportaże historyczne, a także albumy o polskim uchodźstwie na Węgrzech. Popularyzacją postaci zajęła się także Elżbie-

ta Isakiewicz, która napisała ciekawy w formie fabularyzowany dokument o Sławiku.

Od połowy ostatniej dekady działania na rzecz upowszechnienia wiedzy o życiu i działalności tego wybitnego Polaka i Ślązaka podjęło środowisko katowickie. W 2008 r. powstało stowarzyszenie *Henryk Sławik – Pamięć i Dzieło*. Pojawiły się tablice upamiętniające jego postać, kilka szkół otrzymało imię tego bohatera. Ważnym wydarzeniem było pośmiertne odznaczenie Sławika Orderem Orła Białego. Uroczystość z udziałem prezydentów Polski i Węgier – Lecha Kaczyńskiego i László Solyoma odbyła się 25 lutego 2010 r. w Katowicach. Także rodzina Antalla odebrała wówczas, przyznane mu pośmiertnie, najwyższe polskie odznacze-

nie dla cudzoziemców – Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski. Kolejne inicjatywy realizowane są właśnie w ramach ogłoszonego przez Sejmik Województwa Śląskiego Roku Henryka Sławika.

Antall do końca pozostał wiernym przyjacielem Polaków – na jego budapeszteńskim nagrobku widnieje napis „POLONIA SEPMER FIDELIS”. Sławik – jak wspominał Tibor Csorba ostatnie miesiące jego życia – „robił swoje «choćby pierony były!»», choć miał coraz mniej nadziei, że zrobią mu «kamraci fajny pogrzeb z muzyką, paradą i ze dzwonami» – jak to na Śląsku się robi...”.

Cykl artykułów (cz. I-III) opracowany na podstawie m.in.: H.Z. Zimmermann, *Przeżyłem, pamiętam, świadczę*, Kraków 1997; J. Antall senior, *Schronienie uchodźców. (Wspomnienia i dokumenty)*, oprac. K. Kapronczay, Warszawa 2009; G. Łubczyk, *Polski Wallenberg. Rzecz o Henryku Sławiku*, Warszawa 2003; *idem, Henryk Sławik. Wielki zapomniany Bohater Trzech Narodów*, Warszawa 2008; H. i T. Csorba, *Ziemia węgierska azylem Polaków 1939–1945*, Warszawa 1985; E. Isakiewicz, *Czerwony ołówek. O Polaku, który ocalił tysiące Żydów*, Warszawa 2003 oraz w oparciu o materiały archiwalne i prasowe zgromadzone w Archiwum Państwowym w Katowicach, Bibliotece Śląskiej, Bibliotece Jagiellońskiej i Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

Wywózki Ślązaków w 1945 r. do ZSRR

LOS

ELŻBIETA MAJ

Dzieciństwo moich rodziców związane było z Radzionkowem, w którym i ja spędziłam sporą część swojego. Pochodzili z wielodzietnych rodzin górniczych, których losy wpisywały się w trudne czasy pierwszej połowy XX wieku. Jedna z siostrz mąy poślubiła powstańca, walczącego o polskość Śląska – wycieńczony zmarł wkrótce po powrocie z hitlerowskiego obozu pracy. Ale przynajmniej został pochowany na swojej ziemi, w rodzinnym grobie, na którym można zapalić znicz. Niestety mąż drugiej z siostrz nie ma tu swojego grobu. Ofiara niewolniczej pracy, zesłana już po zakończeniu wojny do obcego kraju, przez lata nie miała nawet prawa do pamięci. Jedna z wielu. Dlaczego?

Prosty górnik nie analizuje meandrów polityki. Powodów, których wynikiem są zamykane kopalnie, brak popytu na węgiel wydobywany na polskim Śląsku. Na niemieckiej stronie można się zatrudnić. Nie bez warunków wstępnych. Dzieci trzeba posłać do niemieckiej szkoły. Co z tego, że nie znają języka? Wszystkiego się można nauczyć. Można też postarać się o odroczenie obowiązku szkolnego z powodu jakiejś wymyślonej choroby, w międzyczasie dziecko poduczyć, żeby nie było poniżane. Okres, w którym wiele rodzin dokonywało takiego wyboru opisał najstarszy syn mojej ciotki Leny:

Zapamiętałem surowego ojca i dobrotliwą matkę, jednakże nie mogę powiedzieć, że ojciec nas nie kochał. Tak w owych czasach było w zwyczaju, że rodzice musieli mieć u dzieci posłuch i poważanie. Ojciec, aczkolwiek wyuczył się szewstwa, poszedł do pracy w kopalni, gdzie mógł więcej zarobić. Do 1931 roku, kiedy to na polski węgiel nie było zbyt wielu górników poszło na bezrobocie. Jeśli dotąd słowa „nędza” i „konieczność” nie były tak dobitne, to dlatego, że nigdy nie ophywaliśmy w dostatki i wokół było podobnie. Ale teraz ojciec nie mógł znaleźć pracy! Także poszukując jakiegokolwiek, 20 i 30 kilometrów od domu u jakiegoś rolnika w sezonie lub przy budowie drogi, gdzie wykonywał tę najczarniejszą, rozdrabniającą szlakę.

Matka bardzo oszczędnie wydawała te ciężko zarobione pieniądze, a musiały wystarczyć do daty zasiłków dla bezrobotnych lub zasiłków na dzieci. Zapisywała każdy wydatek co do grosza w prowadzonym zeszycie. Ojciec kontrolował ten zeszyt bardzo uważnie!

My dzieci też już mieliśmy swoje zadania i obowiązki. Chodziliśmy po wykopkach na pola i zbieraliśmy przeoczone ziemniaki. Na pobliskiej hałdzie wybieraliśmy z kamieni, wywożonych tu z kopalnianej sortowni przeoczone bryłki węgla. Nazywało się to „chodzić na bergi”. Było to na ogół jedyne paliwo, na którym można było ugotować skromny obiad i przy okazji nieco zimną ogrzać izbę. Pasaliśmy u okolicznych rolników gęsi, kozy i krowy. Za taką pracę dostawało się wyżywienie i na koniec miesiąca dwa złote, które oddawaliśmy matce. To był nasz mały udział, ale znaczył on dla naszej matki bardzo dużo! Od października braliśmy się do skubania pierze. Siadało się naokoło dużego kuchennego stołu, który cały pokryty był surowcem. Dwadzieścia funtów pierza! To było niewyobrażalnie dużo! Przy tej robocie było jednak zawsze wesoło. Najwięcej śmiechu było, kiedy przyjeżdżała ciotka Marianna, najstarsza siostra matki; zostawała na noc i do poduszki opowiadała nam najcudowniejsze bajki!

W szkole nie mieliśmy problemów. Rodzice rozumieli, że poprzez naukę możemy kiedyś mieć lepsze życie. Kiedy jednak mieliśmy jakąś pauzę w szkolnych zajęciach, zawiązywaliśmy nasze zeszyty i książki sznurkiem i zostawialiśmy je w kącie, żeby pobrykać.

Młodsze dzieci powszechnie nosiły ubrania i buty po starszych. Bieliznę szy-



Dworzec w Radzionkowem na początku XX wieku

ły nam babka Jadwiga razem z matką, babka sztrykowała też cierpliwie niezliczone swetry i pończochy. Ale często już od marca albo kwietnia, kiedy tylko stopniały lody, aż do listopada, do nowego śniegu, biegaliśmy boso. Nie obchodziło się żadnych urodzin ani imienin. Świętowało się jedynie Wielkanoc, Zielone Świątki i Boże Narodzenie. Przed tymi świętami mama piekła drożdżowy kolacz.

Boże Narodzenie! W dzień Godów matka ubierała przyniesione przez ojca drzewko lametą i ozdobami ze słomy, wdmuszek i kolorowego papieru, które od kilku tygodni robiliśmy sami. Pod choinkę każde z dzieci kładło po „wiliji” swój kolorowy talerz – rankiem następnego dnia znajdowało na nim prezenty od Dzieciątka. Nie było to nic nadzwyczajnego – jabłko, kilka orzechów, jakieś pierniki. Nie co roku była jakaś sztuka nowej bielizny. Po świątecznym śniadaniu obowiązkowo szliśmy całą rodziną do kościoła. Rodzice wychowywali nas w wierze katolickiej.

Nie obeszło się też czasem bez jakiejś reprimendy a nawet lania. Najsmaczniejsze były wszak jabłka prosto z jabłoni jakiegos sąsiada. Ale biada, jeśli odkrył to ojciec lub sąsiad mu się na nas poskarżył! Karał nas przykładnie! Najlepiej zapamiętałem własne spotkanie z ojcowym pasem, kiedy zdarzyło mi się gorącym zrumienionym na patelni cukrem, który tak lubiliśmy sobie prażyć, oblać rękę brata Franca. Ten zaczął wrzeszczeć, jak opętany, naturalnie zaraz zjawiała się matka, żeby go utulić – a mnie dopadł ojciec! Blizna po tym oparzeniu została bratu na ręce do końca życia.

Przez kilka lat hodowaliśmy brązową kozę, która tolerowała dojenie tylko przeze mnie. Dawała codziennie prawie pięć litrów mleka! Miałem też parę królików. Kiedy rodzice postanowili je wykorzystać do świątecznego obiadu, musiałem sam zderzeć z nich skórę, ciągnąc i nicując wokół uszu. Za 25 groszy, które kiedyś otrzymałem od matki, kupiłem sobie czyzyka. Klatkę pozyskałem za jakąś wymianę, ale czego, to już nie pamiętam. Później miałem jeszcze samiczkę kanarka, chciałem te ptaki hodować i dorobić się godziwych pieniędzy, ale przyjdzie mi stwierdzić z przykrością, że nic z tego nie wyszło.

W 1936 roku mąż ciotki Leny dostał pracę po niemieckiej stronie. W Radzionkowie właśnie wybudowano „minderhajtke”, czyli szkołę niemieckojęzyczną dla tutejszej mniejszości niemieckiej. Autor przytoczonych wspomnień właśnie skończył naukę w polskiej szkole, ale wieku szkolnego dobiegała jedna z siostrz, która nie знаła ani jednego słowa po niemiecku. Zdesperowani kilkuletnim brakiem pracy rodzice oczywiście skorzystali z pomocy znajomego miejscowe realia lekarza, który wypisał stosowne świadectwo,



umożliwiający odroczenie obowiązku szkolnego.

Konieczność codziennego przekraczania granicy była dla ojca dosyć uciążliwa. Dwa lata później udało się wielodzietnej rodzinie uzyskać mieszkanie w Bytomiu. Było skromne, na nowym osiedlu, składało się z dwóch pokoi i kuchni, ale ze splukiwanym ustępem i instalacją gazową. Zespół domów przylegał do ulicy, po której jeździły tramwaje, na zapleczu był pas zieleni z placem zabaw dla dzieci. Najstarszy zapisał:

Kiedy ojciec zaczął regularnie przynosić swój zarobek, mogłem sobie pozwolić na luksus posiadania akwarium. Było sześcioboczne i mieściło 50 a może i 60 litrów wody. Wewnątrz pływały gupiki, mieczyki i dwa indyjskie bojowniki. Ale jednej zimowej nocy wszystkie pomarzęły. Już więcej rybek nie kupiłem. Akwarium komuś potem podarowałem.

Po ukończeniu szkoły chciałem pójść na naukę zawodu do masarza. Ale mój ojciec się sprzeciwił. Zaczęłem więc szukać innej możliwości i znalazłem miejsce u piekarza. Ale nie popasałem tam długo, chyba tylko z dziesięć tygodni. Nie z powodu potrzeby wczesnego wstawania do pracy – ciasto zaczynało się wyrabiać już godzinę po północy – ale z powodu żony szefa. Była to osoba wielce klótliva i chciała wodzić prym nie tylko w domu, ale i w piekarni. To zdenerwowało kiedyś pracowników tak bardzo, że właściciel, zanim się spostrzegł i opamiętał, wsadził jej na głowę worek po świeżo wysypanej do kadzi mące. Stała zatem na środku pracowni upudrowana, jak świąteczna choinka! Niedoświadczony młodzik – roześmiałem się głośno. Ze wstydu i złości przyłożyła mi kilka policzków i tak skończyła się moja nauka na piekarza. Mimo tego szef wypłacił mi za każdy miesiąc pracy całe dwie marki! Zorientowałem się niewątpliwie, że jako uczeń przykopalnianej szkoły mógłbym zarobić 1 markę i 84 fenigi dziennie! Do tego jeszcze dodawano przyzwoity obiad. Zostałem zatem górnikiem.

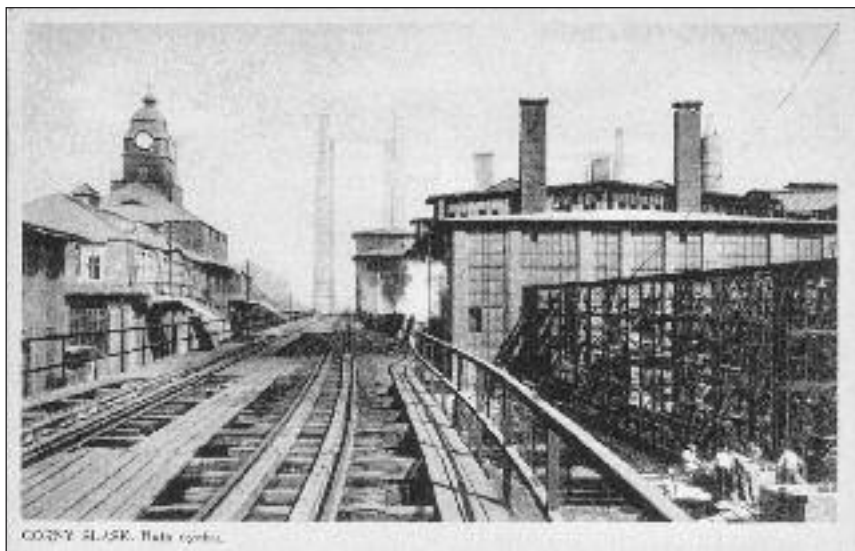
W dniach, kiedy rodzina Leny przeprowadzała się do Bytomia, moja mama została spadkobierczynią książeczki ze zbiorem kołęd, kupionej przez Lenę w 1918 roku w Chropaczowie, kiedy to nikomu jeszcze się nie śniło, że Chropaczów będzie polski. Lena pewnie się bała zabrać polskie kołedy i pastorałki do niemieckiego Bytomia. W tym okresie narastająca po obu stronach granicy wzajemna niechęć nie wróżyła nic dobrego. Tak więc tomik pod nazwą „kantyczki” na trwałe zadomowił się w naszym domu, traktowany niemal jak relikwia. Nie wiadomo, jaka oficyna go wydała. Może mikołowska Karola Miarki, może jakaś poznańska. W wojennych niepewnych czasach wołała się nie ujawniać.

Wrzesień 1939 roku przetoczył się przez śląską ziemię, zmienił wiele, lecz w doświadczeniach większości tułających ludzi zmiany były wpisane w życiorysy i przyjmowali je z pokorą. W kolejnych latach ubywało mężczyzn, przymusowo wcielanych do Wehrmachtu, wielu ginęło na wszystkich frontach Europy, ale Ślązacy głównie na wschodnich. Powtarzały się losy – babka została wdową po żołnierzu pruskiego wojska w 1915; wychowując siedmioro dzieci nieustannie borykała się z biedą. Teraz też przybywało wdów i sierot. Ale górnicy byli potrzebni na miejscu, nie powoływano ich do wojska. Tak więc rodzina Leny dotrwała końca wojny w komplecie. Jednak po wkroczeniu wojsk radzieckich do Bytomia, mężczyźni w wieku od 16 do 60 lat mieli obowiązek zameldować się na przykopalnianym placu. Zapowiedziano, że będą wykorzystani do naprawy torów kolejowych. Kto mógł przypuszczać, że przyjdzie im pozostawić rodziny i pożegnać się na długo – może na zawsze? Załadowano ich do bydłych wagonów i wywieziono do Kadijówki na Ukrainie, gdzie zatrudniono do niewolniczej pracy. Tam – jak później dowiedziała się Lena – mąż jej zmarł 20 września 1945 roku na jakieś zakażenie po wypadku i z wyćienienia.

Zadomowiona już w Bytomiu rodzina Leny, na której utrzymaniu pozostały cztery nieletnie córki i dwóch synów, nie czuła się bezpiecznie. Lena szczególnie bała się o córki. Barykadowała drzwi i okna, do których często wieczorem ktoś się dobijał albo tylko pukał. Udało jej się uniknąć wysiedlenia; na dowód, że nie Niemka pokazywała świadectwo ukończenia polskiej radzionkowskiej szkoły przez najstarszego syna. I mówiła przecież po polsku. Polecono jej tylko zmienić imię najmłodszego, choć nie było *stricte* niemieckie. Dostała nawet pracę w przykopalnianej stołówce, gdzie obierała warzywa i ziemniaki, wynosiła kubły odpadków. Ta praca miała także dobre strony, na resztkach zbieranych do dużej bańki hodowała tuczniaka. Ale była to dodatkowa udręka, wynajmowana komórka zlokalizowana była na peryferiach miasta, trzeba było dojeżdżać tramwajem. I znów było bardzo biednie. Kartofle na placki ścierano „do imentu”, ostatnią kruszynkę rozgniatało się na tarce, często raniąc palce. Nikt się nie skarżył, że podsuszony chleb krojono w kostkę do wodzionki, okraszano ząbkiem czosnku, zamiast szpinaku siekano młode listki pokrzywy. Pocieszano się popularnym żartem, że od żuru będzie chłop jak z muru. Bo żur to była codzienna zupa. Tak minęło lato. Pewnego wieczoru zdawało im się, że słyszą głos ojca i jego błaganie o wpuszczenie do mieszkania. Odblokowano drzwi – ale na zewnątrz było cicho i pusto. Jak później skojarzono, była to godzina jego śmierci. Ale na tę informację trzeba było jeszcze długo czekać. Dopiero wiosną 1946 roku Lena mogła już w pełni świadoma, że mąż nie powróci, zamówić mszę za spójność jego duszy. Na tę mszę poszłam z mamą do Bytomia z Dąbrówki Wielkiej pieszo. Liczni krewni z Radzionkowa przyjechali pociągiem. Po mszy ciotka Lena poczęstowała zebraną rodzinę tradycyjnym kołoczem z posypką.

Świeczkę zapaliła wcześniej w kościele, zmarły nie miał grobu.

Dziedzictwo przemysłowe coraz częściej postrzegane jest jako ważny obszar dziedzictwa kulturowego. Szczególnie w topografii śląskich miast i miasteczek można znaleźć sporo opuszczonych obiektów poprzemysłowych: zespołów zabudowań górniczych z wieżami wyciągowymi, hal hutniczych, magazynów, wież wodnych i cieśniń, osiedli robotniczych i in. Są następstwem procesów przemian gospodarczych, które nastąpiły po 1989 r., nie tylko na Śląsku, ale i w całej Polsce. Pozostawione tereny i obiekty w zastraszającym tempie ulegają degradacji. Konieczna jest pilna refleksja, czy chcemy zachować od zapomnienia owo dziedzictwo przemysłowe, chronić je i przywracać do życia – choć w innej funkcji.



Huta Wilhelmina w Szopienicach na pocztówce z roku 1938

Od degradacji do rewitalizacji

AGNIESZKA SIKORA

Najpierw świadomość

Zmiany w strukturze miast widoczne są szczególnie tu, na Śląsku, co związane jest z upadkiem wielu gałęzi przemysłu ciężkiego, relokacji działalności gospodarczej czy zmian procesów technologicznych. Warto jednak pamiętać, że degradacji w województwie śląskim uległy nie tylko zabudowania, ale również tereny, czyli powierzchnia ziemi. Zjawisko to związane jest przede wszystkim z rozwojem przemysłu, zwłaszcza wydobywczego i przetwórczego oraz postępującej na Górnym Śląsku w ciągu ostatnich 200 lat urbanizacji. Przekształcenia te obejmują naturalną rzeźbę terenu oraz właściwości fizyko-chemiczne wierzchnich warstw gleby. Najważniejsze zmiany de-

graduujące powierzchnię ziemi są skutkiem podziemnej i powierzchniowej eksploatacji zasobów naturalnych (osiadanie terenu, podtopienia) oraz zanieczyszczenia gleby immisjami przemysłowymi.

Województwo śląskie obejmuje obszar o bardzo wysokim stopniu zurbanizowania i uprzemysłowienia i zdecydowanie największej w skali kraju ilości terenów zdegradowanych, w tym poprzemysłowych. Niestety brak kompletnej wiedzy o aktualnym stanie oraz stopniu degradacji stanowi jedną z głównych barier w ponownym zagospodarowaniu tych terenów. Poza mapami ewidencyjnymi największe obszary na terenie wybranych miast jedną bazą odnoszącą się do terenów poprzemysłowych jest Regionalny System Informacji Przestrzennej (RSIP) obejmujący aktualnie 500 rekordów (w dużej części nieaktualny).

W przygotowanym w 2011 r. przez Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego raporcie końcowym zatytułowanym „Rewitalizacja obszarów zdegradowanych – ocena procesu i identyfikacja pożądanych kierunków działania podmiotów publicznych i prywatnych w województwie śląskim” wykazano, że udokumentowana powierzchnia terenów przeznaczonych do rewitalizacji wynosi niemal 21 tys. ha, należy jednak podkreślić, że liczba ta wskazana została przez zaledwie 42 gminy województwa.

Zlokalizowane w strukturze miejskiej Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego obiekty i tereny przemysłowe opustoszały. Zrujnowane budynki straszą swoim wyglądem i grożą zawaleniem. Działalność przemysłowa w regionie pozostawiła jednak nie tylko negatywne skutki związane z degradacją środowiska i krajobrazu. Wiele z obiektów poprzemysłowych, mimo często złego stanu technicznego, wciąż urzeka swoją wyjątkową architekturą i stanowi przykłady kultury technicznej minionych czasów. W ostatnich latach pojawiło się szereg inicjatyw mających na celu rewitalizację terenów i obiektów postindustrialnych województwa śląskiego. Świadomość znaczenia potrzeby przywrócenia ich do tkanki miast stała się przesłanką do opracowania Wojewódzkiego Programu Przekształceń Terenów Poprzemysłowych i Zdegradowanych (2008). Jego celem było w pierwszym rzędzie stworzenie systemu identyfikacji terenów poprzemysłowych w oparciu o bazę danych, a następnie opracowanie systemu ich waloryzacji pod względem historycznym i cennym kulturowo. Kolejnym krokiem powinna być ochrona konserwatorska oraz adaptacyjna.

Co i dlaczego chronimy?

Dr Piotr Gerber z Instytutu Historii Architektury i Sztuki Politechniki Wrocławskiej, specjalista od architektury przemysłowej, podczas konferencji „Ochrona dziedzictwa przemysłowego”, która odbyła się 13 czerwca 2014 r. w Walcowni Cynku w Katowicach-Szopienicach, mówił: – Gdy mamy na myśli ochronę dziedzictwa przemysłowego, musimy pamiętać, że mówimy o przetrzeźni, która ukształtowała nasze życie. Rzadko sobie zdajemy sprawę, jak przemysł wpłynął na świat, w którym obecnie żyjemy.

To on kształtował obraz miast. Obecnie przechodzimy proces deindustrializacji, czyli zmianę systemu gospodarczego oraz technologii produkcji.

– Przejście z jednego systemu na drugi spowodowało, że przemysł z powodzeniem funkcjonujący przed 1989 r., w tym systemie stał się niepotrzebny – kontynuował dr Piotr Gerber. – Otrzymaliśmy

w spadku dziedzictwo, z którym nie umieliśmy sobie poradzić. Instytucje odpowiedzialne za ten problem nie miały po prostu narzędzi do jego rozwiązania i nie były przygotowane, żeby tak wielkie dziedzictwo móc skutecznie chronić. Jeszcze do niedawna w wielu zakładach przemysłowych stały dziewiętnastowieczne maszyny.

Proces przemian gospodarczych – zdaniem architekta – przyniósł wiele negatywnych zjawisk w kontekście obiektów poprzemysłowych. Czasami zabrakło głębszej refleksji, gdy podejmowano decyzję o wyburzaniu wielu z nich.

– Odbyła się rzeź zabytków. Takim przykładem może być wyburzenie we Wrocławiu w końcu lat 90. XX wieku niezwykle pod względem architektonicznym Rzeźni Miejskiej ... pod budowę centrum handlowego. Stąd pojawia się pytanie o sens rejestru zabytków. Często mówi się, że wcale ich nie chroni. Ja uważam, że jest odwrotnie i takich przykładów jest w Polsce wiele.

Trzeba się wpiery zastanowić, co tak naprawdę chronimy i dlaczego. Istotne jest to, że ochrona dziedzictwa przemysłowego kieruje się nieco odmiennymi kryteriami niż ochrona innych zabytków. Do najważniejszych kryteriów należy przede wszystkim okres powstania. Oczywiście on jest istotny dla każdego zabytku, jednak w przypadku zabytków techniki trzeba spojrzeć na ten temat nieco inaczej – może się przecież zdarzyć, że mając zaledwie kilkanaście lat, posiada już wartość historyczną. Istotna jest również częstota występowania. W przypadku techniki to bardzo ważne, czy na przykład samochód jest ostatnim danej marki czy modelem. Kolejnymi kryteriami są: położenie obiektu, jego znaczenie dla rozwoju techniki czy przemysłu oraz wpływ na rozwój gospodarczy regionu. Często niedocenianym i pomijanym kryterium jest waga zastosowanych rozwiązań, a przecież niezwykle ważne jest, aby wiedzieć, czy w tym obiekcie tkwi myśl – oryginalna, ciekawa i co ona wniosła. Niestety, to wymaga wiedzy, nie da się podejmować decyzji tylko i wyłącznie z pozycji konserwatora, potrzebni są eksperci, a tych brakuje. Kolejnymi ważnymi kryteriami są stan zachowania obiektu oraz czytelny proces produkcji.

– W szopienickiej Walcowni Cynku wartością nie jest hala, to tylko skorupa – zauważył dr Gerber. – Naprawdę jest ważne to, że możemy pokazać, na czym polegała na przełomie XIX i XX w. produkcja cynku i jego przeróbka. Pokazać nie tylko na zdjęciach, ale i urządzeniach. Możemy wręcz, i to jest naszą ambicją, zademonstrować cały proces od produktu do finalnego wyrobu. I to jest prawdziwa wartość tego miejsca.

Oczywiście owa skorupa też jest ważna, szczególnie jeśli spełnia ostatnie ważne kryterium, czyli posiada wartość estetyczną.



Szyb Kolejowy Kopalni „Guido” w Zabrze

– Wartość estetyczna jest istotna, jeśli chodzi o zabytki w ogóle. Ale czy w przypadku zabytków techniki można powiedzieć, że dane urządzenie jest mniej lub bardziej estetyczne? Bardziej czy mniej stylowe? – zastanawiał się architekt. – Oczywiście to ważne kryterium, ale nie powinno być decydujące.

Przykłady rewitalizacji

W wyniku transformacji gospodarczej oraz poddaniu polskiej gospodarki procesom konkurencji i wolnego rynku nastąpił upadek wielu dziedzin przemysłu. Prawie całkowicie zniknął wiekowej tradycji przemysł włókienniczy, podobnie stało się z górnictwem, hutnictwem, a po części z przemysłem maszynowym. Pozostały obiekty i zespoły dawnych fabryk. Wiele materialnych świadectw dawnego rozwoju zniszczono, przebudowano lub zlikwidowano.

Pojawiło się szereg projektów, których celem jest ochrona, a szczególnie adaptacja do nowych celów obiektów poprzemysłowych. Dokonano wielu rewitalizacji, pojawiły się także związane z nimi ciekawe inicjatywy. Przyjrzyjmy się kilku z nich.

Na uwagę zasługuje przywrócenie do życia (choć innego) w 2007 r. Zabytkowej Kopalni „Guido” w Zabrze. Warto jednak wspomnieć, że skansen górniczy na poziomie 170 istnieje od 1982 r. Ta, założona w 1855 r. przez hrabiego Guido Henckel von Donnersmarcka, kopalnia jest unikatem na skalę światową. Zachowane w niej wyrobisko nie ma odpowiednika w innych ośrodkach muzealnych na świecie. Skansen tworzą korytarze na poziomach 170 i 320 metrów oraz zespół zabudowy powierzchniowej wraz z wyposażeniem technicznym. Obecnie „Guido” prowadzi zakrojoną na szeroką skalę działalność

edukacyjną, dla zwiedzających udostępnione są podziemne trasy turystyczne (poziom 170, 320 oraz Strefa K8). Odbywają się tu konferencje, koncerty, spektakle teatralne, biesiady itd. W 2013 r. połączono Zabytkową Kopalnię „Guido” z dotychczasowym Muzeum Górnictwa Węglowego, które miało swoją siedzibę w dawnym gmachu starostwa powiatowego przy ul. 3 maja 19 w Zabrze. W skład nowej instytucji wszedł także kompleks Sztolnia Królowa Luiza, który obok kopalni Guido jest jedną z najciekawszych atrakcji turystycznych miasta. Kompleks składa się z wyrobisk kopalni Królowa Luiza oraz Głównej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej. Muzeum Górnictwa Węglowego jest obecnie największą i najważniejszą instytucją turystyczno-kulturalną w Zabrze. Obiekty kompleksu znajdują się na Szlaku Zabytków Techniki – trasie turystycznej łączącej 36 obiektów w województwie śląskim.

Do ciekawych przykładów rewitalizacji obiektów poprzemysłowych należy Galeria Szyb „Wilson” założona w zabudowaniach Kopalni Węgla Kamiennego „Wieczorek”, której początki sięgają pierwszej połowy XIX w. Początkowa nazwa pola górniczego brzmiała Jutrzenka, by po przejściu przez firmę Spadkobiercy Gieschego i połączeniu z innymi kopalniami przyjąć nazwę „Giesche”. Po II wojnie światowej funkcjonowała pod nową nazwą „Wieczorek”. Do naszych czasów zachowały się zabytkowe zabudowania kopalni oraz sąsiednich osiedli zasiedlonych przez pracowników kopalni – Nikiszowca i Giszowca. Większość obiektów zaprojektowali tam na początku XX w. architekci Emil i Georg Zillmannowie.

Szyb „Wilson” nazwę uzyskał w latach 30. ubiegłego wieku ku czci prezydenta Stanów Zjednoczonych, Thomasa Wilsona. W XXI w. kopalniane budynki cechowni i łaźni zostały zagospodarowane, w 1998 r. otworzono tzw. Małą Galerię, a po dwóch latach ruszyła instytucja w obecnym kształcie, uzupełniona o Średnią i Dużą Galerię. Postindustrialne wnętrza zajmują powierzchnię wystawienniczą należąca do największych w Polsce – około 2500 m kw. W galerii goszczą również muzycy, miłośnicy teatru czy fotografii, odbywają się konferencje, festiwale i koncerty.

Rozporządzeniem Prezydenta RP z dnia 14 stycznia 2011 r. osiedle Nikiszowiec zostało uznane za Pomnik Historii. W odrestaurowanych zabudowaniach miejsce znalazły instytucje kultury, galerie, klimatyczne kawiarnie, w tym: Dział Etnologii Miasta Muzeum Historii Katowic, Centrum Zimbaro. W osiedlu odbywają się jarmarki, festiwale i koncerty. Zarówno Szyb „Wilson” jak i katowickie osiedla Nikiszowiec i Giszowiec znajdują się na Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego.

Ciekawym przykładem dziedzictwa poprzemysłowego jest Walcownia Cyn-



Odnowiona część Walcowni Cynku w Katowicach-Szopienicach

ku w Katowicach-Szopienicach. Walcownię w 1904 r. wybudowała firma Giesche. Zlokalizowano ją obok Huty Bernardi oraz linii kolejowej Szopienice-Siemianowice. Położenie to było korzystne ze względu na dostawy cynku oraz wywóz blach koleją. Główna hala walcowni miała 91 m długości i 20 m szerokości oraz pomieszczenie maszynowni o długości 70 m i szerokości 6 m. Wysokość hali wynosiła nieco ponad 5 m. Ponadto wybudowano kotłownię wyposażoną w 8 kotłów parowych, wytwornię opakowań drewnianych oraz chłodnię kominową dla obiegu wody chłodzącej. W hali głównej zlokalizowane były urządzenia zapewniające prawidłowy ciąg technologiczny produkcji blach. W budynku maszynowni były zainstalowane maszyny parowe napędzające walcarkę poprzez wał, na którym zamocowano koło zamachowe o średnicy 7 m i ciężarze 30 ton. W walcowni

wytwarzano blachy cynkowe stosowane do pokrycia dachów, cynkografii, niklowania, a także anody i płyty kotłowe. Pewne zmiany w wielkości produkcji były spowodowane przystąpieniem firmy do kartelu blach cynkowych oraz wybuchem I wojny światowej. Sytuacja wojenna poważnie ograniczyła w Niemczech budownictwo, co spowodowało zmniejszenie popytu na blachy cynkowe. Firma Giesche została zmuszona do zmiany profilu produkcji w Walcowni Cynku, biorąc na cel potrzeby przemysłu zbrojeniowego. W 1917 r. rozbudowano halę główną walcowni, wydłużając ją o 91 m. Pojawiły się nowoczesne urządzenia zasilane silnikiem elektrycznym. Zainstalowano także prasy i piece do podgrzewania prętów. Uruchomiona została produkcja taśm, szyn i drutu cynkowego oraz wyrobów prasowanych i ciągnionych, szczególnie do produkcji zapalników (spłonek)



Budynek objęty jest ochroną konserwatorską wraz z walcarkami, maszynami parowymi i kołami zamachowymi wybudowanymi w 1904 roku

na potrzeby wojska. Po zakończeniu I wojny światowej zmalała produkcja wyrobów dla wojska, a wzrosło zapotrzebowanie na blachy i taśmy cynkowe. W Walcowni Cynku uruchomiono wytwornię kubków bateryjnych (zamknięto ją w 1933 r.). Po 1980 r. produkcja w Walcowni systematycznie malała. Ostatecznie po 97 latach pracy produkcję zakończono w 2001 r. 110-letni budynek Walcowni Cynku wraz z walcarkami, maszynami parowymi i kołami zamachowymi został objęty ochroną konserwatorską. 12 września 2013 r. budynek przeszedł w prywatne ręce. Obecnie teren ten podlega rewitalizacji pod Muzeum Hutnictwa Cynku. Jest już częściowo odnowiony, przeprowadzono konieczne prace adaptacyjne dla celów wystawienniczych, edukacyjnych i konferencyjnych. Niestety inne zabudowania dawnej Huty Cynku Wilhelmina, a później funkcjonującej pod nazwą Huta Metali Nieżelaznych Szopienice, są w opłakanym stanie.

Obiekty znajdujące się na Szlaku Zabytków Techniki prezentują najważniejsze i najciekawsze pod względem walorów turystycznych, historycznych i architektonicznych obiekty przemysłowe w województwie śląskim. Związane są one z tradycją górniczą, hutniczą, energetyką, kolejnictwem, łącznością, produkcją wody oraz przemysłem spożywczym. W skład Szlaku Zabytków Techniki wchodzi muzea i skanseny, zamieszkałe kolonie robotnicze oraz działające zakłady pracy. Szlak powstał w 2005 r. i od tego czasu jest najbardziej interesującą trasą turystyki industrialnej w Polsce. Jednym z największych wydarzeń jest Industriada. To jedyny tego typu festiwal w środkowo-wschodniej Europie promujący najciekawsze obiekty dziedzictwa przemysłowego. Z każdym rokiem przybywa nie tylko zwiedzających i ciekawych imprez, ale również obiektów przystępujących do akcji.

Ochrona obiektów poprzemysłowych stwarza nie tylko możliwość wykorzystywania dziedzictwa kulturowego dla potrzeb turystyki i kultury. To przede wszystkim aktywizacja lokalnych i regionalnych środowisk twórczych na rzecz wykorzystywania zabytków techniki jako przestrzeni aktywności kulturalnych. Ochrona dziedzictwa przemysłowego wpisuje się też w ideę zmiany wizerunku Śląska z obszaru wysoce zindustrializowanego w miejsce kultury i region atrakcyjny turystycznie. Obiekty zmieniają swoje funkcje, ale wciąż mogą gromadzić wokół siebie ludzi, dawać zatrudnienie oraz wpływać na rozwój miast czy dzielnic. Byli pracownicy Walcowni Cynku w Katowicach-Szopienicach mówią, że chociaż truła, to dawała pracę, a dzielnica tętniła życiem. Teraz walcownia już nie trwa, ale zarówno ona, jak i inne obiekty mogą wciąż integrować i aktywizować mieszkańców miasta.

• Lojalność – korzenie

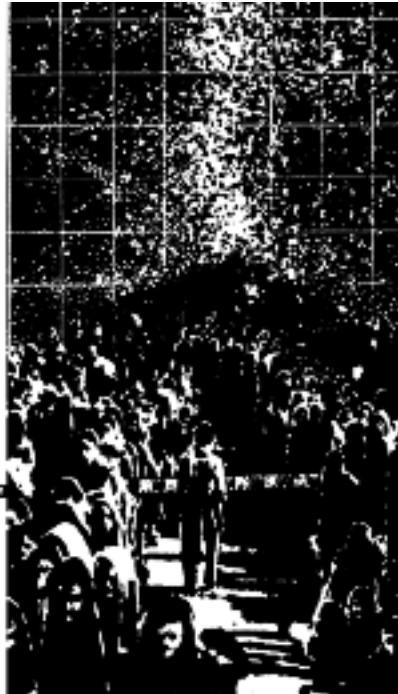
Ceniona Encyklopedia Stanfordska nadaje pojęciu lojalności status fundamentalnej wartości, ale równocześnie podkreśla problemy w jej definiowaniu. Lojalność jest bowiem nieodłącznym elementem relacji międzyludzkich, a te nie podlegają prostym i jednoznacznym wyjaśnieniom. Równocześnie warto podkreślić, że lojalność nie jest atrakcyjnym tematem rozważań w świecie nauki, chociaż odniesienia do niej odnaleźć można w literaturze pięknej, psychologii, psychiatrii, socjologii, religii, w opracowaniach z zakresu marketingu czy dziełach poświęconych polityce. To właśnie w teoriach dotyczących świata polityki zagadnienie lojalności jest wyraźnie obecne. Ale dzisiaj refleksja nad lojalnością pojawia się również w kontekście przyjaźni czy teorii wartości. Sam termin lojalność sięga korzeniami do łacińskiego *lex* (prawo). W Starym Testamencie lojalność jest ujmowana jako relacja Boga do ludu. W języku starofrancuskim, z kolei, lojalność występuje jako element konieczny feudalnego związku między panem a wasalem. Jak więc widać termin jest naprawdę wieloznaczny.

• Cnotliwa lojalność – przypomnienia

Pojęcie cnoty pojawiło się w drugim okresie filozofii starożytnej między innymi w wypowiedziach Sokratesa i pismach Platona. Sokrates, który zajmował się wyłącznie człowiekiem uważał cnotę za dobro bezwzględne. Cnota, gr. *Αρετή*, była odwiecznym pojęciem Greków, które oznaczało tężyżnę życiową, dzielność, sprawność w spełnianiu zawodowych czynności. Sokrates za cnoty uznał zalety takie jak sprawiedliwość, odwaga, panowanie nad sobą. Ale równocześnie stworzył nowe pojęcie cnoty jako moralnej zalety człowieka. Cnoty moralne nie są pisane, ale wywodzą się z samej natury rzeczy więc są powszechne i najtrwalsze: *Czyż nie wstydzisz się dbać o pieniądze, sławę, zaszczyty, a nie o rozum, prawdę i o to, by dusza stała się najlepsza* mawiał Sokrates. Dla Sokratesa jedyną i największą cnotą była wiedza, która prowadziła ludzi do dobrych uczynków.

• Lojalność – kontynuacje

Platon etyką nazwał naukę o cnotach, a wśród nich wymienił także i cnotę lojalności. Zrezygnował jednak ze zredukowania cnoty wyłącznie do wiedzy, jak uczynił Sokrates, i trzem częściom duszy przypisał trzy cnoty. Części rozumnej przypisał cnotę mądrości, impulsywnej – cnotę męstwa a pożądlivej – panowanie nad sobą. Ponadto, wskazał na cnotę, która łączyła wszystkie trzy części, czyli sprawiedliwość. Taka wielostronność ubrana w harmonijne życie czyni je radosnym i pełnym. Uczeń Platona, Arystoteles, ustalił system cnot na podstawie empirii a nie dedukcji. Uważał, iż każdej czynności człowieka odpowiada jej własna cnota, na przykład gdy człowiek odczuwa lęk wówczas cnotą jest męstwo. Arystoteles zatem określił cnotę jako *usposobienie zachowujące środek*. W kontekście tak rozumianej cnoty środkiem dla przyjaźni czy życia rodzinnego jest wła-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Cnota lojalności (I)

śnie lojalność. Lojalność bowiem to cnota, podobnie jak pozostałe elementy systemu etycznego na który składają się zarówno patriotyzm, jak również wierność małżeńska, miłość do własnej rodziny i rodu, przyjaźń oraz lojalność wobec takich instytucji jak szkoła, kluby krykietowe czy baseballowe. Wszystkie te postawy polegają na okazywaniu określonym osobom, instytucjom lub grupom względów opartych na określonym historycznym związku zachodzącym między osobą okazującą owe względy a stosowną osobą, instytucją bądź grupą. Wiąże się z tym często uczucie wdzięczności za dobra, o których jednostka sądzi, że otrzymała je od owej osoby, instytucji lub grupy.

• Lojalność legionisty i Rota

Tak zatem, jak wskazuje filozofia Sokratesa, lojalności jako cnoty możemy się nauczyć poprzez wiedzę. Ważnym i wymownym przykładem starożytnej cnoty lojalności była lojalność rzymskiego legionisty, zawartej w przysiędze wojskowej (*iusiurandum*). Jednym z najsłynniejszych legionów rzymskich był legion X, który pojawia się na kartach historii rzymskiej około 61 p.n.e. Dowódcą legionu był między innymi prokonsul Gajusz Juliusz Cezar, dla którego legion X okazał się najlepszy w całej jego armii. Werbunek do legionów odbywał się między innymi wśród *capite censi* (proletariat miejski), którym służba dawała okazję do doraźnego udziału w lu-

pach, stały roczny żołd w wysokości 500 sestercji oraz karierę w armii, nagrody i ziemie dla weteranów. Dla wielu legion X stał się domem, z którym związani byli silnym poczuciem dumy, lojalności i oddaniem towarzysom broni (*Commilitones*). Legioniści wykazywali najwyższą lojalność oddając własne życie za ojczyznę, dowódcę lub towarzysza broni. W podobnym duchu współcześni żołnierze okazują lojalność, która zawarta jest w słowach *Roty*, przysięgi wojskowej *Ja żołnierz Wojska Polskiego przysięgam służyć wiernie Rzeczypospolitej Polskiej, bronić jej niepodległości i granic. Stać na straży Konstytucji, strzec honoru żołnierza polskiego, sztandaru wojskowego bronić. Za sprawę mojej Ojczyzny, w potrzebie krwi własnej ani życia nie szczędzić. Tak mi dopomóż Bóg*. Słowa te wyrażają zarówno lojalność wobec sprawy wolności dla Ojczyzny, jak i lojalność wobec pojedynczego człowieka. W niedalekiej przeszłości byliśmy świadkami nadzwyczajnego poświęcenia żołnierskiego w czasie trwających operacji wojskowych w Iraku czy w Afganistanie. Przykładem takiej wojskowej lojalności była ofiara życia złożona przez sierżanta sztabowego armii amerykańskiej Michaela Ollisa dla ratowania polskiego żołnierza w czasie ataku Talibów na bazę w Ghazni we wrześniu 2013 roku.

• Lojalność i honor

Wspomniana już wcześniej obywatelska lojalność wobec przepisów prawa i konieczności ich respektowania sugeruje równocześnie analizę zachowań, którym wartość taka jest zupełnie obca. Jeśli ludzie akceptują władzę i jej działania są wobec niej lojalni – popierają ją w kolejnych wyborach. Jeśli nie, zdążają do zmiany. Najczęstszą formą lojalności jest ta wobec innego człowieka. Relacje rodzinne czy przyjacielskie oparte są nade wszystko na lojalności, a złamanie jej prowadzi do nieodwracalnych skutków związanych z osłabieniem lub nawet zerwaniem wszelkich relacji. W powyższe rozważania wpisuje się wspomniany już Josiah Royce według którego obiektem lojalności jest jakaś sprawa, wydarzenie, sytuacja lub inny człowiek. Lojalność może występować w formie patriotyzmu wobec kraju, postawy męczennika za wiarę, kapitana tonącego statku, który schodzi z pokładu dopiero wówczas kiedy uratuje ostatnią osobę, czyli po prostu schodzi ostatni. To przykład lojalności wobec innego człowieka oraz wobec samego siebie, gdy tymczasem dwa pierwsze przykłady przytaczane w tym akapicie to wyrazy lojalności wobec makrostruktur społecznych – wobec idei. O wadze pierwotnej lojalności wobec samego siebie i własnych powinności świadczy społeczna reakcja na zachowanie kapitana włoskiego statku wycieczkowego *Costa Concordia* Francesco Schettino, który sprzeniewierzył się odwiecznej zasadzie lojalności kapitańskiej wobec podwładnych oraz pasażerów.

Felieton powstał we współpracy
z prof. UO dr hab. Anną Śliz

Półksiężyc w Bochum. O Śląsku

Srebrny półksiężyc
kryje się za wieżą kościoła
pod wezwaniem Serca Jezusowego.
Górując nad krzyżami wież
oswaja przestrzeń pod przyszłość
niemieckiej ziemi: *Al Westfal*.

Ale powietrze ciągle tu pachnie
jak *Nordrhein-Westfalen*,
starą Westfalią –
– krainą moich starzyków.
Tu się rodzili, na hołdach nad Ruhra
zdzierali kolana i nosili grudki
żużla z *Ruhrgebiet*, niebieskie żyłki
pod skórą, do samej śmierci:
niemiecką pamiątkę,
namiastkę błękitnej krwi.
Od ogni ich wiary
pali się i moja krew a nadzieja żarzy
jak wongel na hołdach kopalni *Prosper*.
Uczyli się cierpieć w *Bottrop*,
Altstaedten, *Oberhausen*, kiedy
powtarzali, kalecząc język i serce:
Herz Jesu, erbarme dich unser...

Jezu,
serce nasze,
przyjdź królestwo Twoje.
Zabierz nas stąd, jak najdalej
od holenderskiej depresji.
Daj wrócić do „Anienki”,
do łagodnych wzgórz Pszowa
i na Stary Cmentarz.

Das Heiligste Herz Jesu,
serce nasze.

Teraz wasz późny wnuk
pod kościołem *Herz Jesu*
płacze nad waszym losem

modli się w świetle księżycyca
straszłą zimową
nocą.

Dziękuję Bogu,
że wasza modlitwa
została wysłuchana.

Bochum, 17 lutego 2014 r.

Początek lipca. Solitude

jej kolczyk stukał o słuchawkę telefonu.
Mówiła: babcia prenumerowała *Reader's Digest*,
pomagała bezdomnym, tęskniła za Wiedniem,
chodziła regularnie do fryzjera, odeszła cichutko.

Była cicha, ciepła, lipcowa noc,
księżycowa, wyglądałem przez okno
na moją rodzinną, domową ulicę, dawną Plebiscytową.
Tu, niespełna 100 lat temu, w taką noc jak ta,
ostrzeliwali się, toczyła się krwawa powstańcza potyczka.
Moi dziadkowie, mówiłem, *zwei junge Banditen*, jak dziś czytam,
Theodor und Anton, powstali przeciwko własnemu państwu.
Warum?

Bo nie chcieli, by ich wnuk żył na peryferiach luterańskiego kraju,
w państwie, które zaleje krwią świat już wkrótce, dwukrotnie.
Bo tęsknili za Jasną Górą, za grobami na Wawelu.
Bo chcieli tego, co katolickie i polskie dla Śląska.
Bo byli młodzi i wolni.

Jutro jadę pod Arezzo, we wschodniej Toskanii,
w inny świat; inne tam łąki, zroszone inną krwią, w innym celu.

Lipiec wlewa się przez okna, otwarte na oścież. Lato.
Co za szczęście: czcić, przemijać, pamiętać, boleć. Żyć.
Słyszeć: nosowe, jakby zakatarzone *vibrato*
Teresy Salgueiro, *Solitude* Rodrigo Leao,
jej głos,
jej kolczyk stukający o telefon.

Żyć w Polsce

Pszów, lipiec 2012 r. – kwiecień 2014 r.



Rys. Wojtek Łuka

Marysia. Część pierwsza

też jesieni Marysia ma 13 i pół roku
i plakietkę *serviam* w klapie marynarskiej bluzy.
Ogląda *Disney Chanel* i jest zdecydowana jak Hannah

Montana. Krzywi się przed lustrem, pocieszam ją:
dziecięcy tłuszcz zniknie, kiedy śmigniesz ku niebu
jak topole osiki w naszym Jordanowskim Parku.

Życzę jej topolej smukłości, choć nie chcę, by
całe życie drżały jej liście jak tamtym drzewom.
Dzisiaj, w piątek, miała zajęte zatoki i gardło,

zatkany nos, chrypę i sporo innych kłopotów.
Popatrz, wujku, jakich dobrych ludzi spotykam,
mówi, kaszląc. W soboty maluje paznokcie na

żółto, zielono, niebiesko, czerwono. Szkole
mówimy w *weekend* nasze wyraźne „nie”.
Do jednej z nauczycielek ma żal, że źle dobiera

kolor rajstop do spódnicy. Katechetkę
w szkole kocha za barwne opowieści. Biegła
dziś do spowiedzi z niejaką determinacją.

Mówi, że w wieku dwudziestu lat kupi ode mnie
auto, opła astrę *enjoy*. Chce mieć dom z ogrodem,
gromadkę dzieci. Domyślałam się, że i męża.

Obiecuję długo żyć
i za trzydzieści lat napisać
drugą część tego wiersza.

Pszów, jesień 2011 r. – wiosna 2014

Coldplay. Słuchając radia, w Białymstoku

Mówią, że dzisiaj koncert Coldplay w Warszawie,
i że będzie to wydarzenie większe niż sierpniowa Madonna,
w ubiegłym roku, w Matkę Boską Zielną.
I że *Mylo Xyloto*, piątego albumu chłopaków
z Coldplay słuchamy na okrągło w pubach i klubach,
i że jest deszcz w Warszawie,
i że w prozie jest modny wielki bluzg.

Odejdź ode mnie Panie, bom jest człowiek grzeszny,
szepczę do Pana tego popołudnia,
słuchając radia w Białymstoku.

Mówią teraz, że paradontax skutecznie zapobiegnie
krwawieniu moich dziąseł i śpiewają,
że to będzie nasz ostatni taniec,
bo życie nie chce dla nas grać,
ale chłopaki z Coldplay zaraz zagrają
Viva la Vida or Death and All His Friends.

Pomiędzy reklamą
a pierwszymi akordami
neurotycznej gitary Jonny'ego Bucklanda,
słyszę Pana, słuchając radia w Białymstoku,
słyszę Go wyraźnie, jakbym słyszał ciebie,
na mój szept odpowiada:
nie bój się,
chcę, byś ich łowił.

Białystok, 19 września 2012 r.



Rys. Wojtek Łuka

Abdykacja Benedykta XVI

Jest zima w Westfalii,
noc pod koniec lutego,
mokry śnieg, porywisty wiatr.
Ojczce Święty,
modlimy się tu za Ciebie, polscy księża.
Dziś cały różaniec był za Ciebie,
o Twoje umocnienie, o siłę.
Nie zapomnimy Ci mądrości i odwagi,
że byłeś namiestnikiem, wikariuszem,
dobrym i łagodnym człowiekiem.
Bóg niech Cię chroni, Ojczce.
Tu, w *Katholische Akademie*, twoi rodacy

właśnie urządzają wystawę „Zielona siła”.
Mówią sporo o transcendencji, tęsknocie
i obłokach. I cieszą się, że odchodzisz.
Mają wielką *Schadenfreude*,
czekają na nowego Lutra
od pięciuset lat, wyprowadzają
psy na spacer jakby nigdy nic.
Modlimy się za Ciebie, Ojczce,
wiedz o tym.

Schwerte, 19 lutego 2013 r.

KS. JERZY SZYMIK

„Gdzieś obok nas” audycja Beaty Tomanek świętuje srebrny jubileusz



„25 lat – ludzie, emocje, wydarzenia” – wystawa jubileuszowa w Centrum Informacji Naukowej i Bibliotece Akademickiej.

MARIA
SZTUKA

Zderzenie dwóch światów

Autorska audycja Beaty Tomanek pt. „Gdzieś obok nas” po raz pierwszy pojawiła się na antenie Radia Katowice w październiku 1989 r. Dziś, po 25 latach nieprzerwanej emisji, audycja przeobraziła się w instytucję, do której zgłaszają się słuchacze szukający wsparcia w trudnych sytuacjach życiowych. W Centrum Informacji Naukowej i Bibliotece Akademickiej gościła wystawa zatytułowana „25 lat – ludzie, emocje, wydarzenia”.

– Zwykle to pani podsuwa mikrofon swoim gościom, dzisiaj role się odwróciły, tym razem to ja będę zadawać pytania, przyznam, że mam treść.

– Ja też, ale jestem ciekawa jak to będzie.

– No to zaczynamy. „Gdzieś obok nas” świętuje 25-lecie, to najdłużej emitowana audycja w Radiu Katowice, przenieśmy się więc w czasie, wróćmy do 1989 r.

– Pomysł audycji nie jest mój, ale przyznaję – spadł mi on z nieba. Kiedy ówczesny redaktor naczelny Maciej Bakes zaproponował mi przygotowanie audycji w oparciu o list, który przyszedł do rozgłośni, byłam prosto po studiach, nawet nie miałam jeszcze etatu (otrzymałam go w grudniu). Autorzy listu tłumaczyli, że ludzie niewidomi są wyjątkowymi słuchaczami, żyją wyłącznie w sferze dźwięku, słowa, muzyki... podobnie jak radio, dlatego też powinni być uprzywilejowani i... mieć swoją audycję. To było ogromne wyzwanie, nie tylko dla mnie, dotychczas w radiu nie było tradycji tworzenia programów skierowanych do konkretnego odbiorcy. Czułam ten ciężar zaufania, ale i odpowie-

dzialności. Weszłam w to środowisko dosyć szybko i łatwo, pomogła mi w tym wcześniejsza znajomość z doktor Marią Trzcinią-Fajfrowską.

– Był to program dla niewidomych, czy o niewidomych?

– Długo dręczyło nas to pytanie. W świat ludzi niewidomych wprowadzali mnie Wojtek Maj i Norbert Galla, który był wówczas prezesem śląskiego oddziału Polskiego Związku Niewidomych. Wojtek, niewidomy od urodzenia, na nasze pierwsze spotkanie w radiu przyszedł z ogromnym kwiatem, była to chyba strelcja i oznajmił mi: *przyniosłem ci kwiat, który sprzedawali na metry*. Wojtek był pierwszym prowadzącym ze mną audycję – zawsze pogodny i uśmiechnięty. Razem wymyśliśmy formułę antenowej polemiki między sobą, symbolicznego zderzenia dwóch światów, jednego zwanego wówczas światem ludzi sprawnych, którzy mieli drogę otwartą do wszystkiego, mogli pracować, normalnie żyć, realizować swoje ambicje, robić kariery z drugim funkcjonującym obok – światem ludzi niepełnosprawnych, światem zamkniętym i nieznanym. Już po pół

roku krąg naszych słuchaczy znacznie się powiększył, zatem audycja docierała do wszystkich niepełnosprawnych. Bardzo szybko się okazało, że ludzie z różnego typu dysfunkcjami, niczym się od nas nie różnią, mają takie same odczucia, pragnienia, podobnie postrzegają świat, oceniają innych, chcą się rozwijać, robić kariery, z tą jednak różnicą, że ich zadanie jest o wiele trudniejsze. Audycja wykrystalizowała się z naszych bardzo wielu pomysłów, wzajemnego poznawania się i szybko nabywanych doświadczeń. Wojtek wniósł bardzo wiele do programu...

– ... i dlatego uhonorowała go pani na wystawie.

– Tak, to niezwykle człowiek, kiedy go poznałam, był tłumaczem przysięgłym, ponieważ ukończył anglistykę, ale przede wszystkim wciąż tryskał pomysłami, które ułatwiały życie ludziom niewidomym. Pamiętam wymyślony przez niego specjalny aparacik do robienia notatek podczas wykładów, który nazwał „szepc”, ponieważ można było do niego szeptać, to taki dzisiejszy odpowiednik dyktafonu, którego jeszcze wówczas nie było w powszechnym użytku. Mówienie do mikrofonu nie sprawiało mu żadnych trudności, a trzeba przyznać, że posługuje się piękną polszczyzną, jest niezwykle czytany i wciąż ogromnie żyty ze swoim środowiskiem. Wspólnie z Wojtkiem i Robertem Gallą przygotowaliśmy kolejne audycje, entuzjazm naszej wyjątkowej trójki sprawił, że wiele trudnych, czasem wymagających interwencji spraw udawało się zakończyć *happy endem*. Naszym częstym gościem była w studio doktor Maria Trzcinińska-Fajfrowska. Stale uczyliśmy się, krąg ludzi, którzy pomagali nam rozwiązywać problemy wciąż się rozszerzał. Chcieliśmy przekonać naszych słuchaczy, że wszystko jest możliwe, że ich los jest w ich rękach... Widzę, jak pani na mnie patrzy, wiem, że to brzmi trochę banalnie. Jednak 25 lat temu ludzie niepełnosprawni zdani byli wyłącznie na pomoc społeczną, żyli w zamknięciu, w poczuciu krzywdy, niezadowolony z życia ale wśród pragnień, które wydawały im się nie do spełnienia, nie widzieli wyjścia, nie mówiąc o dostępie do edukacji, poznawania świata... Na każdym kroku czuli się wykluczani, szczególnie przed drzwiami, które były węższe, niż ich wózki inwalidzkie.

– Nie było ich widać ani na ulicach, ani w parkach, nie mówiąc o kinach i teatrach.

– Ponieważ nikt się nimi nie interesował i nie było potrzeby, aby to zmienić. Stawiali zbyt małą grupę. Ta audycja dała im głos, zaczęliśmy więc załatwiać ich sprawy... Naszym pierwszym spektakularnym sukcesem było przyczynienie się do powstania w Siemianowicach „Imperium słońca” Stowarzyszenia Pomocy Dzieciom Specjalnej Troski. Dziś to duży i prężny ośrodek, świętujący kolejne jubileusze. Maria Dyla (prezeska stowarzyszenia) przyznaje, że przysłużyliśmy się w kwestii przekazania zabudowań, o które od dawna bezskutecznie walczyła z radą miasta.

– Media, a szczególnie radio były wówczas zupełnie inaczej postrzegane.

– To prawda, z biegiem czasu to oddziaływanie trochę spowszedniało. Wówczas media dopiero się odradzały, można było zapraszać do mikrofonu ludzi, którzy wcześniej omijali progi rozgłośni a zobowiązania, które płynęły w eter, były dotrzymany. Udało nam się i był to nasz ogromny sukces, choć zapewne dziś trudno w to uwierzyć, wywalczyć pracę dla nauczycielki, która nie miała prawej ręki. Po ukończeniu studiów okazało się, że karekta dyskwalifikowała ją jako nauczyciela, ponieważ, zdaniem zwierzchników uwaga dzieci koncentrowałaby się na jej ułomności a nie na tym, czego miała ich nauczyć. Wywalczyliśmy zgodę na jej zatrudnienie, dzisiaj Edyta jest pełnomocnikiem prezydenta miasta do spraw osób niepełnosprawnych w Siemianowicach Śląskich.

– **Spotkałyśmy się w Centrum Informacji Naukowej i Bibliotece Akademickiej, ponieważ gości tu wystawa zatytułowana „25 lat – ludzie, emocje, wydarzenia”, obrazująca najważniejsze wydarzenia, w których brali udział, bądź je inicjowali współtwórcy audycji, można tu znaleźć wiele wstrząsających historii, tymczasem wystawa jest niezwykle barwna...**

– To prawda, mimo że fotogramy mówią o sprawach trudnych, rzeczywistość bije z nich radość życia. Ze zdumieniem spostrzegłam, kiedy przygotowywaliśmy ekspozycję, jak dużo na tych zdjęciach uśmiechu, koloru i optymizmu a przecież każdy кадр kryje w sobie dramaty poszczególnych ludzi – rodziców walczących o swoje dzieci, studentów broniących swoich praw, instytucji zmagających się z administracyjnymi zawłościami...

– **Pani także jest niezwykle pogodną osobą, to cecha odiedziona, czy nabyta?**

– Optymizm wyniosłam z domu, mam go w genach po obojgu rodziców. Wierzę, że wszystko musi mieć dobre zakończenie, może nie to, którego oczekiwaliśmy na początku, ale zawsze dobre. Z takim nastawieniem o wiele łatwiej jest odnaleźć się w tłumie a z tymi, którzy myślą podobnie łatwiej pokonuje się przeszkody.

– **Poznała pani wielu niezwykłych ludzi.**

– Nie sposób ich wszystkich wymienić, ale trudno nie wspomnieć o pani Teresie Turskiej, matce dwóch, niestety, już nieżyjących synów, którzy cierpieli na postępujący zanik mięśni. Ci wspaniali, niezwykle inteligentni i utalentowani chłopcy Marek i Leszek, stwierdzili po ukończeniu liceum (świadectwa z paskiem), że ludzie z dysfunkcjami ruchu nie powinni być skazani na siedzenie w domu. To był początek lat dziewięćdziesiątych, zaczynała się rozwijać intensywnie informatyka, komputer otwierał nowe możliwości, szczególnie dla ludzi poruszających się na wózkach inwalidzkich. Wraz z panią Teresą i jej synami rozpoczęliśmy starania o uruchomienie policealnego studium, kształcącego w zawodzie informatyka ludzi niepełnosprawnych ruchowo, ówczesne przepisy nie przewidywały dla nich edukacji powyżej szkół średnich. To była prawdziwa batalia, trzeba było pokonać nie tylko prawne ograniczenia ale także zburzyć bariery architektoniczne...



ale udało się. Wprawdzie Leszek nie dożył wielkiej chwili otwarcia we wrześniu 1993 r. jedyne wówczas w naszym województwie policealne studium informatyki dla osób niepełnosprawnych (przy Zespole Szkół Technicznych i Ogólnokształcących w Katowicach), ale idea pozostała. Przetrwowało także stowarzyszenie „Akcent”, które wówczas powstało (jego pierwszą prezeską była pani Teresa Turska). W tym roku świętowali jubileusz 20-lecia. Nadal szkoła, rehabilitują, pomagają. Kilka dni temu brałam udział w pierwszym marszobiegu imienia Marka i Leszka Turskich w Załężu.

– **Do grona waszych słuchaczy dołączyli ludzie, którzy mają problemy ze społeczną adaptacją.**

– To zaczęło się już jakieś dziesięć lat temu, wolny rynek sprawił, że zaczęło przybywać ludzi, którzy z trudnością poruszają się w nowych ekonomicznych realiach. Powstała grupa, którą nazywam –niepełnosprawnymi społecznie, z różnych względów wykluczanych: samotne matki, które nie radzą sobie na rynku pracy, znakomicie wykształcone pokolenie dwudziestoparol- i trzydziestolatków, bez perspektyw na znalezienie pracy w wyuczonym zawodzie, ludzie starsi, samotni, emeryci...

– **Asertywni, ale życiowo niezaradni, nie każdy rodzi się z odpowiednimi predyspozycjami...**

– ... ale każdy posiada jakieś indywidualne atuty i do ich poszukiwania staramy się w naszych audycjach nakłaniać i motywować ludzi do działania, zachęcać do pokonania bierności i nie zniechęcać się kilkoma nawet z rzędu niepowodzeniami. Determinacją można zarażać, ja w to wierzę.

– **Audycja, nawet godzinna, nie ma takiej mocy oddziaływania i pewnie dlatego „Gdzieś obok nas” zaczęło funkcjonować, niczym instytucja.**

– Nie wszyscy wiedzą jakie w nich drzemia możliwości, nie wiedzą także jak z nich skorzystać. Potrzeba skontaktowania ze sobą ludzi, którzy chcą się dowiedzieć z tymi, którzy wiedzą, była dla nas oczywista, stąd pojawienie się poradników

prowadzonych przez psychologów czy prawników. Ta formuła funkcjonuje do dzisiaj, choć zdobywanie wiedzy i kontaktów nawet wirtualnych jest dziś o wiele łatwiejsze. Przeprowadziliśmy wiele akcji, organizowaliśmy w radiu giełdy pracy, dwadzieścia parę lat temu nie było to tak popularne, jak obecnie, znaliśmy obszary działań tym, którzy chcieli się angażować do pracy dla innych, wiele spotkań adresowanych było do ludzi starszych, wykluczonych nie z powodu wieku, ale z poczuciem bezużyteczności, okazało się, że jest wiele atrakcyjnych możliwości zagospodarowania wolnego czasu. Uzbierało się w ciągu tego ćwierćwiecza mnóstwo różnorodnych kampanii.

– **Najsukuczniejszą metodą jest dobry przykład.**

– Nie wystarczy zachęcać do pokonania bariery własnej niemocy, nie wystarczy słownie przekonywać, że wszystko jest możliwe, trzeba tylko chcieć, najsukuczniej oddziałują ludzie, którzy potrafili tego dokonać. Kiedy poznałam Marka Plurę był młodym chłopcem, który wyrwał się spod opieki rodziców i z determinacją zaczął realizować swoje marzenia, skończył studia, później następne, podyplomowe, otrzymał mandat społecznego zaufania i stał się posłem RP, a obecnie jest eurodeputowanym w Parlamencie Europejskim. Marek udowodnił, że przede wszystkim trzeba przestać się bać. Bywa że nadopiekuńczość najbliższych, którzy kierując się najszlachetniejszymi intencjami, bezwiednie ogranicza pole działania, usypia instynkt. Jedynym marzeniem Janusza Świtaja było kiedyś rozstanie się z życiem, dziś studiuje psychologię na Uniwersytecie Śląskim, widzimy go tu, na wystawie pośród kolegów z roku, uśmiechniętego i zadowolonego. Ten przykład pokazał, jak przy odrobinie zainteresowania innych ludzi, można w sobie obudzić chęć do życia. A znakomicie prosperujący Związek Artystów Malujących Ustami i Nogami AMUN, kto dziś o nim nie słyszał? Kabaret Absurdalny, festiwal, paraolimpiady, biura turystyczne dla niepełnosprawnych... to wszystko świadczy o zmianie mentalności, a to ona głównie decyduje o poprawie jakości życia ludzi, którzy kiedyś bali się opuścić swoje przysłowiowe cztery ściany. Świat już się nie dzieli na sprawnych i niepełnosprawnych. Niewidomi tworzą firmy, zatrudniają ludzi, jeżdżą na rowerach, wyjeżdżają za granicę, chodzą do teatrów i kin.

– **25 lat to kawał czasu, całe pani dorosłe życie, tysiące rozmówców i ich życiowych doświadczeń, czego się pani od nich nauczyła?**

– Ta audycja jest ze mną cały czas, nauczyła mnie pokory i cierpliwości a moi rozmówcy pokazali mi, że wszystko, co jest w życiu wartościowe nie przychodzi łatwo. Każda praca ma jakiś cel, dziennikarska także. Człowiek z mikrofonem zawodowo korzysta ze zdobywanej wiedzy, musi więc umieć się nią dzielić. Kieruję się radą, którą dała mi mama: *masz mikrofon – mówia – spróbuj coś zrobić, ciebie będą słuchać inaczej*. Staram się więc, aby to „coś” było zawsze zmianą na lepsze.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Wspomnienie o ZBIGNIEWIE PIETRZYKOWSKIM

Foto: Jerzy Zmarzlik „Bij mistrza”, POW, BGW 1992



Po zakończeniu kariery ringowej Zbigniew Pietrzykowski pomagał szkolić młodych bokserów, a także działał społecznie, także w Polskim Komitecie Olimpijskim. Był także posłem do Sejmu. (to zdjęcie pochodzi z 1994 r., z jednej z oficjalnych uroczystości, na których Pan Zbigniew zwykł prezentować się w charakterystycznej dla siebie szarej tonacji).

Dzientelmen na ringu

JERZY
MACHURA

Gdyby w latach 60. poprzedniego wieku boks tak często gościł na telewizyjnych antenach, jak to się dziś dzieje, i gdyby wtedy polscy pięściarze rywalizowali na zawodowych ringach, to bez wątpienia Zbigniew Pietrzykowski byłby jednym z najczęściej oglądanych i podziwianych uczestników tzw. bokserkich gali. Chociaż, z drugiej strony, nie wiadomo, czy panu Zbigniewowi takie widowiska, emitowane na ekranach, często godne pożałowania, gdzie króluje bijatyka, by odpowiadały. Bo Pietrzykowski, choć dysponował nokautującym ciosem, był znanym powszechnie dzientelmenem ringu, należąc do najbardziej klasycznych przedstawicieli tzw. szermierki na pięści, którą cechowała się polska szkoła boksu, dowodzona przez wspaniałego trenera Feliksa Stamma.

Można rzec, że Pietrzykowskiego postawa w ringu stała się zaczątkiem ru-

chu fair play w sporcie, a już na pewno na polskich ringach. Często bowiem „oszczędzał” on rywali, widząc, że konkurent nie może mu zagrozić, po prostu świadomie nie kończył walki przedwcześnie, nie nokoutował przeciwnika, utrzymując go na dystans do końcowego gongu. Takie postępowanie często kłóciło się z ideą boksu, gdyż kibice domagali się spektakularnych rozstrzygnięć, krzycząc często „bij, kończ”.

– Gdy widziałem lęk w oczach przeciwnika, często łagodziłem wtedy siłę uderzeń. Nigdy nie lubiłem nokoutować, chociaż nie lubiłem też sam ładować na deskach. Nigdy też nie biłem się poza ringiem. Może nie wszyscy wiedzą, ale bokser to też człowiek... – mówił po latach. Taka postawa sprawiła zarazem, że Zbigniew Pietrzykowski został pierwszym laureatem dorocznej elekcji redakcji „Sztandaru Młodych”, która

wybrała go najbardziej dzientelmeńskim sportowcem roku 1963. Tu godzi się dodać, że Polska była prekursorem tego ruchu, bo dopiero rok potem UNESCO ustanowiło tego typu doroczne wyróżnienie w globalnej skali sportu.

Czytelnicy zapewne wiedzą, że piszemy dziś o pięściarzu z Bielska, gdyż w maju tego roku, w wieku 79 lat, zakończył on „ziemską karierę”. Pożegnaliśmy niewątpliwie najwybitniejszego polskiego boksera w dziejach tej dyscypliny. Bo czyż ktoś inny może się pochwalić takimi osiągnięciami? Na 350 stoczonych walk tylko 14 przegranych, a w meczach międzypaństwowych na 44 występy tylko dwa zakończone porażką! W rywalizacji o tytuł mistrza Polski, występujący najczęściej w kategorii półciężkiej zawodnik BBTS aż 11-krotnie stawał na najwyższym stopniu podium! Pan Zbigniew zapisał się pięknymi zgłoskami w annałach nie tylko polskiego boksu, ale w ogóle sportu, bo czy wielu mistrzów może się pochwalić takimi międzynarodowymi zdobyczami jak: cztery tytuły (a pięć medali) Mistrzostw Europy i trzy medale Igrzysk Olimpijskich (srebrny i dwa brązowe)? Choć nie zdobył olimpijskiego złota, najwyższego szczytu dla boksera amatora, to jednak, w zorganizowanym z okazji 80-lecia Polskiego Związku Bokserskiego plebiscycie uznano Zbigniewa Pietrzykowskiego pięściarzem wszech czasów, przed dwukrotnym mistrzem olimpijskim, a pochodzącym z Częstochowy, Jerzym Kulejem (którego też niedawno pożegnaliśmy).

I trudno się nie zgodzić z takim plebiscytowym rozstrzygnięciem, tym bardziej że olimpijskie złoto pewnie by trafiło w ręce Polaka podczas igrzysk w Rzymie (1960), ale finałowa porażka Pietrzykowskiemu ujmy nie przynosi, bo przegrał z samym Muhammadem Alim. Tak, tak tym samym, który z kolei uznawany jest za najlepszego zawodowego pięściarza świata wszech czasów. W Rzymie Amerykanin był jeszcze amatorem i nosił nazwisko Cassius Clay. Zresztą, potem w wywiadach światowych czempion wspominał, że finałowy olimpijski rywal z Polski był lepszym bokserem niż niektórzy z tych, z którymi przyszło mu toczyć boje na zawodowych arenach.

Gwoli kronikarskiej dokładności przypomnijmy, że brązowe medale olimpijskie bielszczanin przywiózł z igrzysk w Melbourne (1956) i w Tokio (1964). Złota nie brakowało za to w turniejach Mistrzostw Europy. Pierwszy krążek – brązowy, młody Zbigniew zdobył w pamiętnych dla nas Mistrzostwach Europy w 1953 r., na ringu w Warszawie. Do dziś, to jedna z naj-

bardziej, a może najbardziej wspomina na przez „starych kibiców” impreza sportowa, która przyniosła nam taką obfitość sukcesów. Przypomnijmy: na stołecznym ringu zdobyliśmy 5 (tak: pięć!) złotych medali, po które sięgnęli: Henryk Kukier, Zenon Stefaniuk, Józef Kruza, Leszek Drogosz i Zygmunt Chychła. To było apogeum w dziejach polskiego pięściarstwa porównywane tylko z trzema złotymi medalami olimpijskimi w Tokio – Józefa Grudnia, Jerzego Kuleja i Mariana Kasprzyka. Oj..., łaża się oku kręci...

Ale wróćmy do Zbigniewa Pietrzykowskiego, który już dwa lata później po turnieju w Warszawie, czyli w 1955 r., w Berlinie Zachodnim, odebrał pas mistrza Starego Kontynentu (w kategorii lekkośredniej). Po dwóch następnych latach, w Pradze, został mistrzem Europy w kategorii średniej. W 1959 r. w Lucernie znów był niezwykłym triumfując już w koronnej kategorii półciężkiej. I wreszcie Moskwa 1963. Bokserska potęga ZSRR wydawała się demolować resztę Europy. Na 10 kategorii wagowych pięściarze radzieccy sięgnęli aż po 6 złotych medali, ale w czwórce, której udaje się pokonać reprezentantów gospodarzy jest dwóch Polaków – Kulej i Pietrzykowski (dwaj pozostali to: Węgier Janos Kajdi i Czech Josef Nemeč). A Pietrzykowski wykazuje wyższość nad faworyzowanym Danem Poznakiem, późniejszym mistrzem olimpijskim z Meksyku (1968) i jako pierwszy w historii ME bokser zdobywa czwartą raz miano najlepszego na Starym Kontynencie. Czapki z głów!

Wielu posiadaczy tytułów i znanych nazwisk stawało na ringowej drodze Zbigniewa Pietrzykowskiego. Najbardziej znanym z nich, oprócz wspomnianego Amerykanina Claya, był legendarny Węgier Laszlo Papp, pierwszy pięściarz, który trzykrotnie zwyciężył w Igrzyskach Olimpijskich, a potem z powodzeniem (mistrz Europy) walczył na zawodowych ringach. Właśnie Węgier stanął naprzeciw bielszczanina, by zagrozić mu awans do finału w Melbourne i, niestety, wyeliminował Polaka. Ale Papp był wtedy wielce żądny rewanżu, bo nieco wcześniej, podczas turnieju przedolimpijskiego w Warszawie, przegrał z Polakiem przez nokaut. Później, po latach, w pamiętnikach tak opisywał to nieszczęsne dla siebie zdarzenie na warszawskim ringu:

– *Zaczęła się niesamowita wymiana ciosów. Nigdy przedtem i nigdy potem, nawet w walkach z zawodowcami, nie przeżyłem czegoś takiego. Potworna rąbanina trwała kilka sekund. Wiedziałem, że któryś z nas musi paść. Pietrzykowski przetrzymał. Po raz*

pierwszy przegrałem przez nokaut. Nigdy mi się to ani przedtem, ani potem nie przytrafiło...

Szkoda jedynie – dodać można – że pojedynek w Warszawie odbył się przed igrzyskami, a nie odwrotnie. Bo w Melbourne Węgier już nie wdał się w bijatykę i wygrał z Polakiem na punkty. Cóż, tak to już w sporcie bywa.

Heroiczne pojedynki Pietrzykowski – Papp zaowocowały przyjaźnią już po zakończeniu kariery obu mistrzów i wizytą Laszlo Pappa w 1994 r. w Bielsku – na zaproszenie Z. Pietrzykowskiego, podczas „Gali Asów”. Ale, to nie była gala podobna do tych, które teraz co rusz organizowane są w różnych miastach Polski, z udziałem nie tyle pięściarzy, co osiłków mających ochotę przy pomocy pięści zarabiać na życie, a często o boksie nie mających pojęcia. Byłem tego grudniowego wieczoru w bielskiej hali „Włókniarza”, w charakterze sprawozdawcy, i jakże miłe było to przeżycie „ocierać się” o sławy światowego i polskiego sportu, które przybyły na „mityng” po latach, już bez

rękawic. Zbigniew Pietrzykowski, Laszlo Papp, Jerzy Kulej, Józef Grudzień, Kazimierz Paździor, Marian Kasprzyk, Henryk Średnicki, Tadeusz Walaśek... – tytuł mistrzów jednocześnie, w jednym miejscu chyba jeszcze nie było. Pan Zbigniew, jak zwykle elegantski, w ulubionej szarej tonacji garnituru, pełnił rolę gospodarza wieczoru, i jak zwykle „na dystans”, nie za blisko, tak jak lubił w ringu...

Oj, łaża się w oku kręci na samo wspomnienie tych sław, zwłaszcza gdy skonstatuje się jakież to teraz boks mamy na polskich ringach i jakież obyczajnie panujące wokół niego... Niewątpliwie warto dodać, że ostatni raz polski bokser (Wojciech Bartnik) zdobył olimpijski medal – brązowy na igrzyskach w Barcelonie, w 1992 r., czyli 22 lata temu, ale gale „bokserskie” (cudzystów zamierzony) urząda prawie każde większe miasto w Polsce, a pojęcie „szermierka na pięści” przetrwało jedynie w głowach romantyków sportu...



Zbigniew Pietrzykowski, 1994

MICHAŁ
WROŃSKI

LustrzO

*Agacie i Iwonie,
moim córkom*

— **T**rzynasty września dwa tysiące dziesiątego roku! Godzina dziewięta czterdzieści siedem. Mój ścienny zegar tyka sennie; pomyślałem właśnie, że przeszłość jest mitem terażniejszości, a przyszłości nigdy nie ma, bo jest tylko marzeniem dzisiejszej chwili. Stoimy na moście i patrzymy w dół na rzekę, a ona nie jest już tą samą co przed chwilą. Takie naiwne wyobrażenie CZASU. Słyszałem je ze sto razy, a nawet widziałem w Ważnych Młynach, stojąc na drewnianym moście... Ale jak wytłumaczyć słowami i obrazami – co to jest CZAS?... Ostatnio wydaje mi się, że mój czas galopuje. Chce mnie wyrzucić z siodła? Samobójca. Przecież zabije się razem ze mną... Wskazówki zegara przesuwają się niedostrzegalnie, ale nieubłaganie. To już nie godzina dziewięta czterdzieści siedem minut i trzydzieści siedem sekund, kiedy zaczynałem pisać... Chętnie zrzuciłbym tego tykającego poganiacza ze ściany, aby jego wskazówki znieruchomiały na zawsze. Ale mój świat z tego powodu się nie zatrzyma; będę żył dalej, oglądając siebie w lustrze. Kiedy zostanie puste, świat poszybuje beze mnie w stronę, być może, mojego nowego istnienia. O, tak by każdy chciał, Panie Boże. Zniknąć i objawić się na nowo, w piękniejszym ciele, z mądrzejszym mózgiem; zaistnieć nieskończoną ilość razy. Żeby tylko nie wrócić na Ziemię jako karaluch, albo pająk, albo garbus z jedną ręką, albo niewolnik w kopalni diamentów. Już nieraz w moich snach byłem karaluchem, pajakiem, garbusiem z jedną ręką i niewolnikiem w kopalni diamentów, ale zawsze budziłem się, biegłem do łazienki wymyć twarz zimną wodą i spojrzeć w lustro. Jestem, jestem, jestem! Michałem Wrońskim, synem Edwarda artysty malarza, którego pochowałem do ziemi matki naszej prawie dokładnie dziewięć lat temu. A ja w lustrze zawsze ten sam; tylko fotografie, świadkowie chwili zatrzymanej, naprawdę terażniejszej, zmieniają się co dziesięć lat. Mam je w osobnych kopertach, żeby nie mylić moich JA z przeszłości. A przecież przed chwilą napisałem, że przeszłość jest mitem terażniejszości. Nowe mity co dziesięć lat? Niemowlę, dziesięciolatek z trzeciej klasy, dwudziestoletni szalejący seksualnie student, trzydziestolatek na dorobku obok białego auta marki polonez, czterdziestolatek: trochę zmęczony ojciec córek, przestraszony pięćdziesięcioma latami pięćdziesięciolatek. No i pomarszczony dziadek trzech wnuków, samych chłopaków. Te ostatnie fotografie trzymam ukryte w komputerze, którego działania nie pojmuję, tak jak nie rozumiem działania kosmosu; nie tylko nie rozumiem, ale i nie mogę go sobie wyobrazić. Matematycy twierdzą, że to tylko liczby. Liczby rządzą kosmosem czyli WSZYSTKIM. A ja zawsze musiałem zdawać poprawki z matematyki i do tej pory mam trudności z tabliczką mnożenia, nie mówiąc o sinusach i cosinusach, które znam tylko z dźwięków w pamięci. I liczby nie śnią mi się! Może matematykom śnią się nieskończone ciągi liczb? Sny są najważniejsze zwłaszcza sny, których nie pamiętamy. Bo obudzone niespodziewanie w dzień, mówią nam, co mamy robić. Nawet o tym nie wiemy... Bez snów świat jest złudzeniem pazernych wyznawców rzeczywistości. Wydaje im się, że świat został stworzony specjalnie dla nich i jest tak prosty i jasny jak Słońce, które im po to świeci, aby mogli widzieć swoją twarz w lustrze. Rzeczywistość? Jeśli rzeczywistość istnieje, to czy jest w nas, czy poza nami? Ale przecież my istniejemy także poza naszą świadomością; wystarczy wyjść na ulicę, aby inni nas widzieli, ocierali się o nas, słyszeli nasze dzień dobry, albo pan tu nie stał. Kiedyś jechałem nocnym pociągiem w zupełnie pustym wagonie, jakbym był sam na świecie. Nikt mnie nie widział i nie wiedział, że podróżuję. Moja rzeczywistość, tylko MOJA. A zapewne są ludzie na Ziemi, którzy stracili wszystkich krewnych, bliskich, przyjaciół i znajomych... To znaczy może i jest jakiś sąsiad za ścianą, ale on myśli, że ściana jest jego, a za nią nic nie ma!... O, dzwonią dzwony... Kto chce, to je słyszy. Wzywają wiernych do modlitwy, a niewiernym przypominają, że Bóg rządzi ich życiem, tylko nie chcą w to wierzyć, bo są tak pewni swojej logicznej oczywistości, której świadomość przyszła nagle w ciągu jednej sekundy, podczas długiej zimnej mszy świętej... Ja czuję Boga w lesie, kiedy spojrzę w górę na wierzchołki drzew, a w szumie liści słyszę wieczne życie, tajemnicze, nieprzetłumaczalne na żaden język; a kapłanem jest tylko przemykający jeleni, zdziwiony, że tam jestem niepasujący do zieleni. Zawsze mam chęć ukleknąć na dziewiczym mchu i przysiąc, że nigdy nie zabetonuję ziemi!... Ale przecież mieszkam w mieście nad betonowym fundamentem, pod którym kiedyś szumiała boska puszcza. Czy ja wiem? Może Bóg jest także w każdym z ziarenek zabetonowanego piasku... Niektórzy naiwnie wierzą, że Pan Bóg zajmuje się każdym z osobna. A zajmij się sobą człowieku, wiedz, jak bardzo ważny jest moment przekroczenia progu domu, kiedy z niego wychodzisz; sekunda decyduje, czy przejedzie cię samochód, czy wrócisz do siebie cało i zdrowo, aby zniecka umrzeć w łóżku po przepiciu, albo dławiąc się ością z karpia, którego wcale nie musiałeś łapczywie pożerać... Ale jak tu uważać, kiedy nie wiemy, która sekunda decyduje i która decyzja jest korzystna dla naszego życia? Może przed każdym krokiem i każdą decyzją policzyć do trzech, a może do pięciu? Och, żeby wiedzieć. Matematycy wiedzą? Wróżki? Szamani? Biskupi? Najstarszy

człowiek świata?... Tak, zapewne gdzieś żyje najstarszy człowiek świata: on wie, jak przedłużyć istnienie. Ale jak go znaleźć?... A może właśnie w tej sekundzie umiera, dając miejsce następnemu najstarszemu na świecie... Ja w tej sekundzie siedzę na niezbyt miękkim krześle przy komputerze i wystukuję te mądrujące się myśli, ale zaraz będę musiał wstać, wyłączyć komputer, iść do łazienki, umyć głowę i resztę ciała, ubrać się i wyjść z domu, aby spotkać się z kilkoma umówionymi ludźmi. A czy ja wiem? Może spotka mnie niespodziewanie jakiś człowiek, który zmieni moje życie? Może pogryzie mnie pies i następny tydzień spędzę w szpitalu? Albo poznam ostatnią miłość mojego życia zmieniającą wszystko i bez sensu?... Wyjść? Nie wyjść? Odwołać spotkania?... Dobrze, odwołałam pierwsze dwa, niezbyt ważne. Szybciej wrócę do domu... Może niezupełnie bez związku, przypomniałem sobie nagle, że w zamierzonych czasach, w mojej ulubionej artystycznej knajpie (która nazywała się „Marchoń”), mój znajomy, poeta o pięciu tomikach tak powiedział na lekkim rauszu: Kiedy Bóg poczuje wszystkie nieszczęścia istot, które stworzył, wybuchnie kosmiczna bomba bólu. I znowu powstanie nowy Wszechświat z nasionami śmierci i z prorokiem namawiającym do życia... Ów poeta wyjechał niedługo potem do Kanady, rzucając żonę i dwoje dzieci, aby ożenić się jeszcze raz z młodziczką emigrantką z Chile, z którą – jak się przypadkiem dowiedziałem – miał następną dwójkę dzieci... No i wróciłem szczęśliwie; nie pogryzł mnie pies, nie spadła mi cegła na głowę, nie pobił mnie osiłek żądający dwa złote, rozmowy nie zmieniły mojego życia, nie spotkałem ostatniej miłości życia; natomiast zamiast leśnych niepewnych grzybów kupiłem trzydzieści deko świeżych pieczarek na sos do niezbyt tłustego karczku... Zupełnie niedawno zauważyłem, że moje lustro w łazience nabyło malutką, zresztą, skazę; przedtem jej nie widziałem, a teraz mnie denerwuje, kiedy atakuje moje oczy, nos, usta. Mam kupić nowe lustro? Przyzwyczałem się do niego, jest ze mną co najmniej ze dwadzieścia lat, jeśli nie więcej. Rozmawiamy ze sobą, robimy do siebie miny, udawadniając rzeczywistości, że JESTEŚMY. Dzięki temu facetowi po drugiej stronie nie zawsze jestem samotny!... Kilka dni temu spotkałem w miejskim parku człowieka siedzącego na wieloosobowej ławce. Przechodziłem obok, poczułem cudzy wzrok i niebacznie spojrzałem mu w oczy. – Niech pan usiądzie na chwilę – powiedział. Zawahałem się, ale nie usiadłem. – Przepraszam, ale bardzo się spieszę. Oczywiście kłamałem, bo gdzie można się spieszyć w parku? Akurat tego dnia nie miałem ochoty słuchać uwieczonych myśli innego człowieka, bo właśnie postanowiłem przetrwać kilka bardzo ważnych dla mojego życia wspomnień, aby nie zrobić nowych błędów. Ale już na końcu parku pomyślałem, że jednak powinienem wysłuchać bliźniego; przecież niecodziennie ludzie zapraszają obcych do swojej ławki. Zawróciłem. Może ten człowiek potrzebuje ratunku, może wystarczy dobre słowo, żeby go uratować? Jednak ławka była już pusta. Zrobiło mi się głupio, jakbym popełnił grzech... Idąc do domu, wmawiałem sobie, że na pewno to skacowany pijak, który miał ochotę na pogawędkę, albo poeta z bożej łaski spragniony odbiorcy swojej rymowanej poezji, albo naciągacz proszący wszystkich o złoty pięćdziesiąt na bułkę. W domu podszedłem do lustra i powiedziałem: jesteś niezły gnojek; a ten po drugiej stronie ze skazą na nosie zaśmiał się głupawo i wyzywająco. Więc zgasilem światło!... Ale świadomość nieokreślonego niesmaku pozostała. O, świadomość! Dar otrzymany, powiedzmy, od KOSMOSU, zaraz po urodzeniu (a niektórzy nawet twierdzą, że z chwilą poczęcia). To takie proste: żeby zaistnieć, trzeba mieć tego świadomość. Każdy ma swoją, nie można jej połączyć z inną, chociaż wydaje nam się nieraz, że łączymy się z bliską osobą. Ale to tylko łączy się nasze cienie... A czy cienie istnieją? Wystarczy tylko zgasić światło. Tak jak wystarczy zgasić światło, a moje odbicie w lustrze znika... Słońce zajdzie za horyzont i następuje ciemność, która zabija wszystkie cienie... Ale przecież wiemy ze szkoły: Słońce nigdy nie zachodzi, to tylko złudzenie. Słońce, nasza najbliższa Gwiazda, świeci od miliardów lat i daje energię dla wszelkiego życia; także dla życia ludzi, którym się wydaje, że są panami życia i śmierci (bo mogą płodzić i zabijać), że są władcami świata, że są najmądrzejsi ze wszystkich stworzeń uratowanych w arce Noego... Gdy zgaśnie Słońce, mnie już nie będzie. Wystarczy go jeszcze na kilka miliardów lat, aby obdarzyć świadomością moich praprapraprapraprapraprapraprapraprapraprapraprapraprawnuików. Dzisiaj Słońce świeci! Istnieje, widzimy je i pozwala nam widzieć – chociaż to tylko iluzja. Bo co to jest światło? Promieniowanie elektromagnetyczne działające na oko, dzięki któremu mózg dostrzega nasz istniejący świat. A może on wygląda zupełnie inaczej i istnieje inaczej?... Jedno jest pewne: więcej jest NIEISTNIENIA! Gdzieś w nieistniejącym świecie przyszłości czekają na zaistnienie miliardy ludzi, którzy stworzą niewyobrażalne dzisiaj dzieła i wynalazki, które też czekają cierpliwie w NIEISTNIENIU. Nawiasem mówiąc, czy ktoś w dalekiej przeszłości wyobrażał sobie telewizor, telefon komórkowy, komputer?... Moje odbicie w lustrze też chce znowu zaistnieć. Więc przekraczam teraźniejszość, idę do łazienki i zapalam



Rys. Wojtek Łuka

światło. Widzimy się, istniejemy. Mamy pępek, pamiątkę po klęsce nieistnienia!... Lustrzana skaza wędruje po policzku, kieruje się w stronę nosa, dochodzi do czoła i znika we włosach. Istniejemy, panie Michale, synu Edwarda!... Coraz bardziej upodabnam się do mojego ojca. Sprawdziłem to na fotografiach. Mamy już identyczne bruzdy wokół ust, nos, oczy i co najdziwniejsze – ręce... Ciekawe, o czym ojciec myślał, będąc w moim wieku... Myślę, że wiesz, co robisz – mówił kilka razy, kiedy dowiadywał się o moich zakrętach życiowych... Tak. Mowa jest tylko echem myśli. Na szczęście myśli są tylko dla nas samych. Strach pomyśleć, że ktoś kiedyś wymyśli urządzenie do czytania cudzych myśli! Bo na pewno ktoś to zrobi. To dopiero będzie rewolucja, która zmieni świat, która posieje tragedie i nieszczęścia! To tak, jakby człowiek mówił drugiemu człowiekowi tylko samą prawdę, czystą prawdę. Przecież PRAWDA zabija częściej niż KŁAMSTWO. Najlepiej nie miłą prawdę zawiązać w milczenie, tak jak każde kłamstwo. Ale mnie to rzadko się udaje. Mój samodzielny język miele bez opamiętania, kiedy tylko zobaczy człowieka; muszę go często przygryzać i potem przez tydzień jest opuchnięty... Pewnie dlatego mam coraz mniej nowych przyjaciół, starzy prawie całkowicie wymarli. To znaczy żyją we mnie, widzę ich, rozmawiam z nimi, a nawet często mi się śnią. Nie byłem na ich pogrzebach! Na moim nie będą. Tak naprawdę, umrą razem ze mną... Jakoś tak smutno się zrobiło. A przecież wszystkim wkoło mówię, że ŚWIAT JEST WSPANIAŁY! Wspaniały, kiedy o tym wiemy. Ludzie za często jęczą, narzekają na wszystko – pieniędzy za mało, wiosna za wietrzna, lato za gorące, jesień za deszczowa, zima za zimna, jakby to była wina Pana Boga; wpatrują się w swój pępek i potykają się na każdym kroku w szaleńczym biegu do wymarzonego sukcesu; otaczają się tysiącami niepotrzebnych rzeczy i setkami niepotrzebnych ludzi, a kupując buty, przymierzają je dziesiątki razy. Wszystkie choroby biorą się z chorego patrzenia na świat. Wszystkie wojny wybuchają przez ludzi, którzy nie widzą wspaniałości przyrody, piękna każdego horyzontu, budującej potęgi miłości, fascynującej tajemnicy istnienia... No, dobrze, nie jestem smutny! Świat jest wspaniały, chociaż dzisiaj musiałem drałować na dziesiąte piętro, klnąc, bo winda się zepsuła, a w tej chwili dwie hałaśliwe spalinowe kosiarki koszą pod moim domem jesienną trawę i zaczyna mnie boleć głowa. Boże, zostawili by tę biedną trawę w spokoju. Ludzie muszą wszystko wyrównywać pod linijkę. W porządku, już na nich nie narzekam!... O! Skończyli kosić. Albo kosiarze poszli na piwo... Cisza. Chociaż nie, słychać daleki przejmujący głos syreny karetki pogotowia jadącej do jakiegoś nieznanego nieszczęścia; zatykam uszy – słyszę bliskie bicie mojego serca, które przejmuje się tylko samym sobą, zajęte nieprzerwanym przetaczaniem życiodajnej krwi. Z tlenem wyprodukowanym przez zieleń przyrody – pomyślałem... Odetkałem uszy. Głos karetki rozplątał się w powietrzu... Zawał serca? Katastrofa samochodowa? Upadł pijak i rozwalił głowę? Ktoś zrobił kawal i wzywa pogotowie? Kierowca karetki spieszy się do domu?... Czy ktoś panuje nad sensem świata i wie, co się wszędzie i w każdej chwili dzieje?... Bezsens – słyszę po drugiej stronie lustra!... O, proszę pana Michała, nieraz prawdziwy sens możemy znaleźć w stosie porzuconych bezsensów. Jak tak pomyśleć nad moim życiem, to miałem sensów bez liku, nieraz zmieniałem go co miesiąc, a nawet co tydzień. Ale zawsze jakiś przy mnie był... No, znalazłbym okresy, kiedy zapomniałem o nim i zniknął gdzieś w zgłębku obcych sensów, ale po jakimś czasie przypominałem sobie, że bez sensu nie da się żyć i – albo znajdowałem stary, albo wymyślałem sobie nowy... Taki byłem kiedyś!... Teraz muszę bardziej pilnować aktualnego sensu, bo już przyzwyczaiłem się do jego rytmu. ZNALAZŁEM RYTM SENSU, ŻEBY TYLKO NIE PRZYSPIESZAŁ! – napisałem na drzwiach dużymi literami... Ten niespieszny rytm pozwala mi być wreszcie naprawdę sobą. Ale co to znaczy? Że nie udaję kogoś innego? Bo moje lustro zaraz mnie wyśmieje?... No, dobrze. Powiedzmy, że ten zza lustra gra mnie, a ja jego... Kiedyś mój nieżyjący już przyjaciel powiedział od niechcienia: żeby być sobą, często musiałem być kimś innym; zauważyłeś? Nie, nie zauważyłem, ale jakie to ma znaczenie dla innych? Fakt, nie ma żadnego – odparł i na pewno poszliśmy na wódkę, aby milczeć, albo wrzeszczeć na siebie w jakiejś nieważnej sprawie, która wydawała nam się bardzo ważna... Wszystkie ważne sprawy, nobilitowane przez alkohol, na drugi dzień zamieniały mi się najczęściej w lekki kac; lekki, bo ja nie piję za dużo, aby kontrolować siebie i w miarę możliwości otoczenie. Raz w życiu naprawdę przesadziłem – z jednym poetą i jednym malarzem – no i moja głowa rozbiła szklane drzwi restauracji „Polonia”. Do tej pory mam wspaniałą bliznę na nosie. Gdy ktoś pyta, mówię, że brałem udział w bójce ulicznej, w obronie napastowanej kobiety... Pamiętam dokładnie mój pierwszy pijacki raz. Upiłem się trzema piwami w 1962 roku, na wakacjach, w nocy, pod niebem ze spadającymi gwiazdami. Byłem w środku KOSMOSU, otulony wieczną przestrzenią, tak pewny swojej OCZYWISTOŚCI, jak mój pępek, któremu wydaje się, że był tam zawsze. Ale po godzinie było mi tak niedobrze na świecie, że przysięgłem nigdy nie



Rys. Wojtek Łuka

łykać niczego powyżej kompotu. Oczywiście złamałem przysięgę z tysiąc razy. Zapewniam jednak, że od kilku lat piję bardzo mało i to bez okazji. Człowiekowi w stanie upojenia bardzo szybko mija czas. A przecież już mi zależy, aby płynął jak najwolniej. Aby sekundy były minutami, minuty godzinami, godziny dniami, dni tygodniami, tygodnie miesiącami, miesiące latami, lata stuleciami... No, może przesadziłem. Bo stulecia tysiącletniami, a tysiąclecia może wiecznością?... Koniec żartów... Poważnie mówiąc, uważam, że na każdej butelce z wódką powinien widnieć wyraźny napis: ALKOHOL SKRACA TWÓJ CZAS!... Oj, zapomniałem się dzisiaj ogolić! Będę musiał znowu spotkać się z tym facetem po drugiej stronie. Najczęściej spotykamy się podczas golenia. Czy nie czas już najwyższy poświęcić obcowanie z prawdziwą samotnością? Może wtedy wreszcie stworzę dzieło życia? Ale na litość boską, jak ja będę wyglądał z długą brodą?... Likwiduję włosy na twarzy, ingerując w przyszłość – może właśnie chcą być długie i malownicze, aby zdziwić sąsiadów i nieznajomych?... Znowu myślę o nieistniejącej przyszłości. A co ze sztuką? Tam gdzieś (gdzie?) w mrokach śpią nieistniejący jeszcze wielcy artyści, których świat ludzki musi mieć, jako dowód wyższości nad zwierzętami. Tam gdzieś drzemią wielkie dzieła sztuki – powieści, filmy, dramaty, wiersze – przyszłe lektury szkolne; tam także szykują się wiekopomne kompozycje muzyczne, zapewne dla naszych uszu niestrawne (mam nadzieję, że Mozart, Bach, Beethoven, Chopin, Dworzak nie zostaną wyrzuceni na śmietnik). A plastycy? Architekci? Choreografowie?... W jakim to wszystko pójdzie kierunku?... Och, gdyby starożytni, grający na flecie, zobaczyli nagle nasze dzisiejsze dzieła sztuki, gdyby usłyszeli melodie w naszych telefonach komórkowych (ja mam szopenowskiego walca cis-moll), gdyby zobaczyli nasze pomniki, sztuki telewizyjne, filmowe horrory... Może jednak powinienem pomyśleć o SWOJEJ przyszłości, której jeszcze nie ma, ale która – o paradoksie – rodzi się nieustannie, w każdej teraźniejszej chwili? Mogę ją zaplanować, nawet na piśmie i odhaczać punkt po punkcie. Już to robiłem nieraz, wpływając świadomie do nieistniejącej przyszłości. Dzisiaj zaplanowałem zupełnie prozaicznie: 1) kupno dwóch bułek, 2) coś do nich, 3) kupno czegoś do obiadu – nie wiem jeszcze co, 4) doładowanie telefonu, 5) zajrzenie do ulubionej księgarni, aby podotykać trochę książek, 6) spacer na pola za miastem z wnuczkami, jeśli oczywiście nie pójdą na swoje pozalekcyjne zajęcia, 7) oglądnięcie dziennika telewizyjnego, 8) napisanie porcji TEGO TEKSTU, 9) przeczytanie przed spaniem książki M. Rodinsona „Mahomet”... No przyznam, nic wielkiego. Ale czy wszystko musi być wielkie?... Wędrujemy brzegami horyzontów innych ludzi – powiedział kiedyś, zupełnie niespodziewanie i zupełnie trzeźwy mój znajomy rzeźbiarz, kiedy przebijaliśmy się przez tłum zebrany na jakimś wiecu przeciwko czemuś. Ale ktoś, być może, będzie szedł brzegiem naszego – odparłem nieśmiało, zagłuszony namiętными okrzykami ludzi, rejestrowanych zapewne w radiu i telewizji... Tak bardzo chcemy zostawić po sobie ślady, choćby na murze, napisać wierszyk, zlepić latawiec dla przedszkola, zasadzić drzewo, zbudować dom, wynaleźć nowy program komputerowy, splodzić lub urodzić dziecko... Wydaje mi się, że ja też zostawiłem trochę śladów po sobie dla przyszłości. Patrzę właśnie na siatkę rysów na moim dębowym biurku, którą zrobiłem rzeźbiąc anioły z kory wierzbowej. Ale się nagłowia ludzie, co to takiego i po co to zrobione, kiedy już mnie nie będzie. O, ktoś, być może, wyrówna blat biurka, odnowi, polakieruje; bo moje biurko o lwich nogach jest bardzo ładne i pewnie cenne... Twoja miara potrzeb tak się skurczyła, że możesz ją sobie schować do kieszeni – powiedział wczoraj ten po drugiej stronie lustra... Nawet nie mam kieszeni – odpowiedziałem mu, bo akurat byłem bez spodni. I wybuchliśmy śmiechem, bo obydwaj wiemy, że im jesteśmy starsi, tym mamy mniej potrzeb. Resztę potrzeb zostawiamy sąsiadom, którzy – jak zauważyłem – zawsze gdzieś się spieszą. Mam ochotę zawsze spytać, gdzie pan tak biegnie? I wydaje mi się, że zawsze usłyszę: po lepszy start!... Ale nigdy nie miałbym odwagi zadać takiego pytania. Przed sąsiadami zawsze zakładam maskę uśmiechu, tak na wszelki wypadek. Niech mają o mnie dobrą opinię; niech mnie pamiętają zawsze uśmiechniętego. Oczywiście, przed moim lustrem zdejmuję maskę, aby podziwiać coraz starszą, coraz bardziej pomarszczoną twarz; chociaż te zmiany są takie powolne, jakby moja twarz zawsze taka była. A wystarczy sięgnąć do kopert z fotografiami. Jednak robię to coraz rzadziej, ponieważ zdałem sobie niedawno sprawę, że tamci ludzie to już nie ja. Tak samo zatopieni w nieistnieniu jak człowiek, który spojrzy w lustro jutro... To prawda? W tym galopie mojego czasu pędzimy do nieistnienia? Ale czy NIEISTNIENIE ISTNIEJE?...

Rys. Wojtek Łuka



Od cotygodniowego pucowania mojego lustra obluzował się gwóźdź, na którym wisi moje oblicze. Nie wierzę w przesady, ale pierwszy raz od lat zdjęłem lustro ze ściany i przybiłem nowy, solidny gwóźdź. Na starym miejscu...

Poetycki Brynów przy ulicy Ligonia

Foto: Arkadiusz Lwyrwianiec



Sonet posiada tradycje, „które mogą sprzyścić o zawrót głowy” – powiedział Maciej Szczawiński – otwierając 25 czerwca 2014 roku w Sali Koncertowej Polskiego Radia, w Katowicach, wieczór autorski Tadeusza Kijonki. Katowickie wydawnictwo Sonia Draga serię poetycką zainaugurowało przepięknym wydaniem *44 sonetów brynowskich* Tadeusza Kijonki, w znakomitej artystycznej szacie, na pięknym papierze, z reprodukcjami *Całunów* Jerzego Dudy Gracza – będących malarskim zapisem Szopenowskiej muzyki. I to wydarzenie kulturalne stało się przyczyną spotkania w Radiu Katowice.

Była to uroczystość doskonała, bo istniała na niej trójjedność sztuk: słowo – obraz – dźwięk spłotyły się w niepowtarzalną całość. Przy fortepianie zasiadł bowiem Jakub Czekierda, młody utalentowany pianista, student katowickiej Akademii Muzycznej, który towarzyszył szopenowską muzyką – poezji i rozmowie o sonecie.

Sala, w której rzecz się dzieła, posiada znakomite tradycje. Tu zaraz po zakończeniu II wojny światowej Witold Rowicki zainaugurował działalność Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, tu miało miejsce wiele ważnych spotkań i wydarzeń artystycznych i znaczenie tego miejsca zostało przypomniane już na początku uroczystości. Poeta podziękował Henrykowi Grzonce – redaktorowi naczelnemu – za bezinteresowne udostępnienie Sali, dziękował też małżonce Dudy-Gracza, Wilmie, za bezinteresowną zgodę na wykorzystanie reprodukcji w książce.

Maciej Szczawiński próbował określić niezwykle zjawisko, którym jest Tadeusz Kijonka: poeta, publicysta, redaktor i założyciel „Słaska”, działacz społeczny? Stawiał pytania, prowokował do wyznań. Wchodził z poetą w fascynujący dialog, inspirujący, dynamiczny, falujący nastrojami, więc rozsznuła się przed nami intymna, wzruszająca opowieść o krajobrazie lat dzieciennych, o rodzinie, o matce, przywołany został cień wcześniej zmarłego brata Edwarda i przyjaciół, którzy już odeszli. Pięknie

zostało powiedziane o potrzebie sonetu. Bo Kijonka jest przede wszystkim poetą o wielkich możliwościach, co potwierdza najnowszy tom i forma sonetu, tak nieczęsta we współczesnej polskiej literaturze. Ale na budowanie tej poezji złożyło się długie doświadczenie, dojrzałość poety i człowieka, napotykanie ludzi. Kijonka zadebiutował po „październiku ’56, wraz pokoleniem „Współczesności”, na całe bogactwo jego życia złożyły się również znajomości i przyjaźnie z rówieśnymi twórcami: Stanisławem Grochowiakiem, Jerzym Harasymowiczem, Tadeuszem Nowakiem, ale był też w jego życiu czas Juliana Przybosa, Tadeusza Różewicza, a także Kazimierza Wyki, bliski kontakt z tradycją heroiczną i liryczną, fascynacja Janem Lechoniem i Krzysztofem Kamilem Baczyńskim.

Maciej Szczawiński zapytywał, jak czytać te wiersze, tu i teraz, zrezygnujmy od wiatki i tematy? Więc jak się rodzi wiersz, co go wyzwala, jak dojrzewa? Co mu przeszkadza, a co wspiera? A poeta błyskawicznie, choć refleksyjnie, tknął piękną, nastrojową narrację o światełku poetyckim, co nagle się pojawia i równie nagle znika, o szczęściu losu i kalendarza, o odmianach czasu, wspominał mistrzów i przyjaciół, przywołał Wilhelma Szewczyka i jego *Pasje strasburskie*, wskazywał na poezję Feliksa Netza, obecnego na spotkaniu. Mówił, że sonet wymaga dyscypliny, jego forma wprowadza pewien rygor, który nie pozwala na nadmiar słów. Kijonka twierdzi, że „sonety zaczęły powstawać same”, wypływać i szukać własnych środków wyrazu, odtworzył całą dramaturgię dochodzenia do magicznej dla poety cyfry „44”; mozolny, świadomy proces twórczy, będący dialogiem z tradycją i szukaniem własnego głosu. Wyznał, że sonet to byt, to alter ego poety. Wątek choroby, który się pojawił, pokazał bolesne przeżycie, jako wyzwanie dla poezji, inspirację do opowiedzenia o sprawach granicznych, niemal Jaspersowe odczytywanie ukrytych sensów człowieczego istnienia. „W sonetach dopłynąłem do swojej Itaki” – zabrzmiało groźnie i ostrzegawczo, ale i przekonanie.

Niepowtarzalnym przeżyciem było wysłuchanie poezji we własnym wykonaniu poety, ciepły głos, inaczej barwiący erotyki, a inaczej teksty filozoficzne, czy pejzażowe, pozwalał dostrzec dodatkowe sensory, wydobyć to, co jest międzysłowiem, usłyszeć śpiew słów. „Lecz nie ufaj idylli” – zabrzmiało dysonansem, zwiastując koniec spotkania i wyjście na zewnątrz, gdzie rozkopane bruki Katowic, nic nie wiedziały o wielkim polskim poecie, który mieszka w tym mieście.

KRYSTYNA
HESKA-KWAŚNIEWICZ

Już od dziesięciu lat w maju w Sosnowie organizowane są Sosnowieckie Dni Literatury. W tym roku również Miejska Biblioteka Publiczna im. Gustawa Daniłowskiego pod honorowym patronatem Prezydenta Sosnowca Kazimierza Górskiego i JM Rektora Uniwersytetu Śląskiego prof. zw. dr. hab. Wiesława Bagnysia przygotowała dla swoich wiernych czytelników szereg atrakcji. Oferta jubileuszowych Dni była szczególnie atrakcyjna, tym bardziej że jako współorganizatorzy włączyli się: jak co roku Wydział Filologiczny Uniwersytetu Śląskiego, a także Zespół Szkół Muzycznych w Sosnowcu, Wydział Kultury i Sportu Urzędu Miejskiego w Sosnowcu, Teatr Zagłębia, Centrum Informacji Miejskiej w Sosnowcu oraz Biblioteka Śląska. Projekt dofinansowany został ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Operacyjnego „Promocja literatury i czytelnictwa”.

Tradycyjnie impreza rozpoczęła się od wernisażu zorganizowanego w holu głównym Biblioteki. Tym razem wystawa poświęcona została „Poetom Skamandra”. Skamandryci pojawili się w tegorocznej edycji także i w innych kontekstach. 7 maja zaproponowano pokaz filmów dokumentalnych Wiktora Skrzyneckiego i Władysława Terleckiego, poświęconych właśnie słynnej piątce z kawiarni „Pod Pikadorem”. Widzowie mogli zobaczyć: *Młodość winna być naga i ostra jak klinga!*; *Chmury nad nami rozpał w tunę. Julian Tuwim*; *Szaleńcy, wzrosniem kiedyś kłosami mądrości. Jan Lechoń*; *Chodźmy kraść na górach ogień! Mniej nie warto. Kazimierz Wierzyński*; *Mapa pogody. Jarosław Iwaszkiewicz* oraz *Alarm. Antoni Słonimski*. Dzień później odbyła się Konferencja Naukowa „Nigdy nie było tak pięknej plejady”, w ramach której o Skamandrytach debatowali pracownicy nauki Uniwersytetu Śląskiego: prof. Marian Kisiel (wstęp), prof. Danuta Opacka-Walasek (o Julianie Tuwimie), prof. Aleksander Nawarecki (o Jarosławie Iwaszkiewiczu), dr hab. Joanna Kisiel (o Janie Lechoniu), dr hab. Zdzisław Marcinów (o Kazimierzu Wierzyńskim) oraz dr hab. Maciej Tramer (o Antonim Słonimskim).

W tym roku po raz pierwszy, ku uciesze mieszkańców Sosnowca i miast ościennych licznie przybyłych na to wydarzenie, zdecydowano się także wyprowadzić poezję na ulicę miasta. Najpiękniejsze teksty słynnych Skamandrytów – w wykonaniu pięćki młodych i niezwykle utalentowanych aktorów Teatru Zagłębia (Michała Bałagi, Przemysława Kani, Aleksandra Blitka, Krzysztofa Korzeniowskiego i Tomasza Muszyńskiego), przebranych w stroje typowe dla dwudziestolecia międzywojennego – rozbrzmiewały na tak zwanej sosnowieckiej „Patelni” 9 maja. „Sosnowieccy Skamandryci” do czytania poezji namawiali także i przechodniów, którzy chętnie i z wielkim zapalem angażowali się w ten swoisty poetycki happening.

Jednakże Sosnowieckie Dni Literatury obfitują nade wszystko w liczne spotkania autorskie z wybitnymi prozaikami i poetami. Tym razem Sosnowiec również gościł wielką poezję i wielką prozę. Odbyły się spotkania z takimi poetami, jak: Marian Kisiel, który niedawno wydał kolejny tomik poetycki *Droga*; dopiero debiutująca Marta Palarz; Wojciech Kass (to spotkanie prowadził

Piękny jubileusz

MAGDALENA
BOCZKOWSKA

również poeta – Sławomir Matusz); Maciej Melecki i Krzysztof Siwczyk – niezwykle ciekawa forma, bo poeci prowadzili spotkanie razem, każdy mówił o wierszach... kolegi. Ale i wielbiciele prozy mogli znaleźć coś dla siebie. Sosnowiec odwiedzili: autor m. in. głośnych *Widm*, czyli alternatywnych losów Krzysztofa Kamila Baczyńskiego – Łukasz Orbitowski; Marcin Wroński – autor m.in. kryminałów retro o komisarzu Zydzie Maciejewskim, których scenariusz stanowi przedwojenny Lublin; Ignacy Karpowicz, który gościł na SDL nie po raz pierwszy, tym razem promował swoją najnowszą powieść zatytułowaną *Sońka*; Olga Tokarczuk, która już w te wakacje zaproponuje swoim czytelnikom kolejną prozę; autor książek z gatunku fantastyki – Romuald Pawlak oraz prozaik i eseista, autor m.in. głośnej książki nominowanej do Nagrody Literackiej Nike *Eine kleine* – Artur Daniel Liskowacki. Nie zapomniano także o wielbicielach literatury faktualnej – spotkanie z Angeliką Kuźniak, reportażystką, autorką słynnej *Papusi*, przyciągnęło wielu fanów pisarstwa *non-fiction*.

W ramach X SDL zorganizowano także serię działań dla najmłodszych czytelników. Zaproszono znanych twórców literatury dziecięcej – Agnieszkę Tyszkę, Pawła Beręświcza, Małgorzatę Flis, Dariusza Rekośsa, Joannę Jagiełło oraz Agnieszkę Frączek. Podczas Sosnowieckich Dni Literatury odbył się również Wielki Finał Konkursu Czytelniczego „Biblioterca Roku” dla najaktywniejszych młodych czytelników, w ramach którego poza rozdaniem nagród dzieci zaproszono także na interaktywny wykład DJ Fizyków Pana Korka, zatytułowany „Przebojowa lista wynalazków”.

Widać więc, że organizatorzy zapraszają zarówno twórców o rozpoznawalnych nazwiskach, znanych w całym kraju, jak i autorów ze śląsko-zagłębiowskiego środowiska literackiego, dopiero debiutujących i tych o już ugruntowanej pozycji w życiu literackim. Przez dziesięć lat Sosnowiec odwiedziły m.in. takie sławy, jak: Eustachy Rylski, Wiesław Myśliwski, Joanna Bator, Anna Janko, Sławomir Shuty, Mariusz Sieniewicz, Michał Witkowski, Andrzej Stasiuk czy Jacek Dehnel. Nie zabrakło twór-

ców z regionu. Gośćmi byli m.in.: Wojciech Brzoska, Paweł Barański, Paweł Sarna, Bartłomiej Majzel, Sławomir Matusz, Jacek Durski, Stanisław Krawczyk czy Jacek Golonka.

W tym roku, ze względu na wyjątkowy jubileusz, dodatkowo 15 maja w Sali Koncertowej Zespołu Szkół Muzycznych odbył się wyjątkowy koncert zatytułowany *Lutosławski i Tuwim. Piosenki nie tylko dla dzieci*, na którym wystąpiła Dorota Miśkiewicz wraz z zespołem Kwadrofonik, grającym muzykę współczesną i improwizowaną, nagrodzonym m.in. Grand Prix na IX Festiwalu Muzyki Folkowej Polskiego Radia. Koncert zgromadził tłumy wielbicieli dobrej muzyki (wejściówki rozeszły się wiele dni przed inauguracją SDL), warto zauważyć – na sali byli przedstawiciele różnych pokoleń, nie tylko dzieci. Cały koncert składał się z dziesięciu niezwykle kompozycji, w których znalazły się utwory żywiołowe i energetyczne oraz nieco spokojniejsze, wszystkie do słów mniej lub bardziej znanych wierszy Tuwima.

Na zakończenie X Sosnowieckich Dni Literatury tradycyjnie zorganizowane zostały także warsztaty pisarskie, które od lat gromadzą przyszłych adeptów pióra. Tym razem warsztaty odbyły się ze specjalistami z dziedziny: reportażu (Moniką Wiszniowską), krytyki filmowej (Justyną Budzik), poezji (Jackiem Golonką) i dziennikarstwa (Pawłem Sarną). Wszyscy uczestnicy otrzymali pamiątkowe certyfikaty.

Zainteresowanie X Sosnowieckimi Dniami Literatury było bardzo duże, jak mówiła w wywiadzie udzielonym magazynowi „SosnArt” dyrektor MBP, Elwira Kąbat-Georgijewa, „frekwencja na spotkaniach autorskich przeważnie idzie w parze z popularnością medialną i osobowością naszych gości, ale jest również w naszym mieście i regionie liczna grupa bardzo uważnych czytelników polskiej literatury, którzy wnikliwie śledzą życie literackie i to, co dzieje się na rynku wydawniczym”. Sosnowiec już po raz dziesiąty gościł więc wielką literaturę.

Słowa uznania należą się zatem przedstawicielom sosnowieckiej książki, którzy już od dekady wychodzą naprzeciw oczekiwa-

niom czytelników. W dzisiejszych czasach biblioteka nie może bowiem spełniać tylko funkcji wypożyczalni książek. MBP im. G. Daniłowskiego od lat stara się upowszechniać kulturę, wiedzę o regionie i tym samym, promować czytelnictwo. Poza Sosnowieckimi Dniami Literatury, organizowała także m.in. dziesięć edycji Sesji Zagłębiowskich, Zjazdów Pisarzy Zagłębiowskich, projekt literacki „Czytanie Herberta” i prowadziła mnóstwo innych działań upowszechniających miłość do literatury. Wydała również trzytomowy słownik bibliograficzny *Pisarze i Badacze Literatury w Zagłębiu Dąbrowskim*. Takiemu promowaniu literatury sprzyja też ścisła współpraca z Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, pracownicy nauki i wybitni krytycy literaccy prowadzili bowiem większość spotkań autorskich i wykładów podczas każdej edycji SDL. Dzięki tym wszystkim działaniom sosnowiecka księgarnia otrzymała zaszczytne wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie „Mistrz Promocji Czytelnictwa 2013” na najbardziej aktywną bibliotekę. Ten prestiżowy konkurs organizowany jest przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich.

Tradycją wszystkich edycji SDL są także plakaty i zaproszenia zaprojektowane specjalnie przez Romana Kalarusa – znanego na całym świecie wybitnego malarza i grafika, odznaczonego m.in. przez Prezydenta Polski Złotym Krzyżem Zasługi za wzorowe, wyjątkowo sumienne wykonywanie obowiązków wynikających z pracy zawodowej. Przez wszystkie te lata plakaty Kalarusa stały się swoistym znakiem rozpoznawczym sosnowieckiego święta literatury i już od kwietnia informują mieszkańców miasta o zbliżającym się wydarzeniu.

Dziesiąte jubileuszowe Sosnowieckie Dni Literatury już za nami, Miejskiej Bibliotece Publicznej im. G. Daniłowskiego należy zatem pogratulować kolejnej świetnie zorganizowanej imprezy i życzyć następnym, równie udanych jubileuszy. W kolejce na zaproszenie na XX czy XXX Sosnowieckie Dni Literatury czeka przecież wielu właśnie teraz debiutujących twórców...



Zdjęcia z archiwum Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu

Dwaj operatorzy: Hoffmann i Rittau

JAN F. LEWANDOWSKI

Pochodzili z górnośląskich miast i miasteczek, a do kinematografii trafiali przed stu laty w Berlinie, gdzie znajdowały się pierwsze wytwórnie filmowe. Do najslawniejszych należeli dwaj operatorzy: Carl Hoffmann z Nysy i Günther Rittau z Królewskiej Huty.



Carl Hoffmann



Günther Rittau

Zwyczaj historycy kina zaliczają Carla Hoffmanna do trójki najwybitniejszych niemieckich operatorów filmowych epoki kina niemego. Nie sposób pominąć jego nazwiska w historii kinematografii niemieckiej, która należała wtedy do najważniejszych na scenie europejskiej i światowej.

Wizjoner z Neisse

Natomiast mało kto wie, że Carl Hoffmann pochodził z Neisse (czyli Nysy) na Górnym Śląsku, gdzie urodził się 9 czerwca 1881 r., jeszcze w epoce kajzerowskiej. Niewiele wiemy o jego najwcześniejszych latach spędzonych w zabytkowej Nysie, która odgrywała wtedy rolę ważniejszą niż dzisiaj.

Trzynastoletni Carl Hoffmann opuścił rodzinne miasto, by uczyć się fotografii we Fryburgu w Badenii – Wirtembergii, a następnie pracować w tamtejszym zakładzie fotograficznym. Był także kinooperatorem w firmie Welt Kino we Fryburgu.

Rozpoczął od fotografii, by ją porzucić na rzecz ruchomych obrazków. Należał do pokolenia pionierów X Muzy, z którą związał się na samym początku XX w., gdy sztuka kinematograficzna wychodziła dopiero z epoki jarmarcznej.

Nowy rozdział w biografii Carla Hoffmanna rozpoczął się w 1912 r., gdy podjął pracę operatora najpierw w Heidelbergu (Filmindustrie Heidelberg GmbH), a następnie w Monachium. Realizował zdjęcia krajobrazowe i krótkie filmy oparte na motywach literackich, szczególnie z dramatów Friedricha Schillera. W 1916 r. przenosi się do Berlina i zostaje szefem ekipy operatorów wytwórni Decla Film, co oznaczało wejście w srodowisko filmowe.

Już w tym okresie Hoffmann nakręcił kamerą dziesiątki krótkich filmów, wyrabiając sobie znaczącą pozycję w branży filmowej. Nic dziwnego, że gdy Otto Ripert przystępował w 1916 r. do realizacji sławnego „Homunculusa” w sześciu odcinkach, zaangażował właśnie Carla Hof-

fmanna jako operatora, co było początkiem ich dłuższej współpracy.

Równie ważna była dla Hoffmanna współpraca z reżyserem Friedrichem Wilhelmem Murnau, z którym spotkał się po raz pierwszy przy jego debiutanckim filmie „Der Knabe in Blau” (Chłopiec w niebieskim) w 1919 r. Realizował zdjęcia do kilku jego filmów, w tym do sławnego „Fausta”. Trudno powiedzieć, czy cienie Nysy zapisały się w jego pamięci, lecz narzuca się wrażenie, że miasto z filmu Murnaua i Hoffmanna przypomina podobne śląskie miasta o średniowiecznej zabudowie.

Jednak najważniejsze było dla Hoffmanna spotkanie z reżyserem – wizjonerem Fritzem Langiem, który w 1921 r. powierzył mu zdjęcia do filmu „Dr Mabuse, Spieler” (Doktor Mabuse). Z Langiem operator Hoffmann pracował z powodzeniem także przy realizacji dwuczęściowych „Nibelungów” opartych na starogermańskiej legendzie.

W programie do „Nibelungów” Lang z uznaniem wypowiadał się o jego pracy: „Kiedy marzyłem, trochę jak malarz, by wywołać odpowiedni obraz plastyczny – Carl Hoffmann stwarzał go, posługując się magią światła i cieni”.

Do kolejnych ważnych prac Hoffmanna należały zdjęcia do „Variete” Ewalda Andre Duponta (1925) i szczególnie do „Fausta” Murnaua w 1926 r. Niezwykle umiejętności Hoffmanna w operowaniu światłem i ciemnością znalazły szczególny wyraz w filmie Murnaua. Po tym filmie spostrzeżono w nim prawdziwego mistrza obrazu. Bo potrafił, jak mało kto, kreować niepokojące, demoniczne nastroje.

Pozycja Hoffmanna jako operatora była odąd tak znacząca, że o współpracę z nim zabiegali reżyserzy największych spektakli. To Hoffmann zrealizował zdjęcia do wystawnego filmu kostiumowego „Kongres tańczy” Erica Charella z Willym Fritschem i Lilian Harvey – wielkiego sukcesu kasowego z początku lat trzydziestych. Pracował również z Gustavem Ucickym przy dramacie wojennym „Morgenrot” (Jutrzenka). Jako operator pracował aż do zakończenia II wojny światowej.

W latach wojny mistrz czerni i bieli spróbował także zdjęć na taśmie kolorowej, która była wtedy nowinką. Jego pierwszy barwny film „Ein toller Tag” (Szalony dzień) z 1944 r. doczekał się spóźnionej premiery dopiero po dziesięciu latach. A jego ostatni film, realizowany pod koniec wojny w studio w Barrandovie w Czechach, pozostał nieukończony.

Spróbował także reżyserii, debiutując w tej roli filmem „Der geheimnisvolle Spiegel” (W tajemniczym lustrze) w 1927 r., wraz z Richardem Teschnerem. Już samodzielnie reżyserował 9 filmów fabularnych w połowie lat trzydziestych, przeważnie o charakterze rozrywkowym, przy czym nigdy nie stawał za kamerą przy filmach przez siebie reżyserowanych. Jednak w tej kategorii nie osiągnął równie znaczących sukcesów.

Długą drogę filmową Hoffmann zakończył z końcem II wojny światowej. W je-

go potężnym dorobku operatorskim znalazło się ponad 100 filmów, a niektóre trafiły do kanonu niemieckiej i światowej klasyki kina. Zmarł 13 lipca 1947 roku w Minden w Westfalii.

Dodajmy jeszcze, że Hoffmann ożenił się w 1908 r. z Lili Lorch, z którą miał dwóch synów. Starszy z nich, Kurt Hoffmann (1910–2001), należał do najważniejszych reżyserów powojennego kina zachodni-niemieckiego.

Sztukmistrz z Königshütte

Należał do najlepszych operatorów kina niemieckiego w latach dwudziestych i trzydziestych. Nakręcił zdjęcia do wielu klasycznych filmów tamtego czasu, by wspomnieć „Nibelungi” i „Metropolis” mistrza Fritza Langa. Mało kto wie, że pochodził z Königshütte (Królewskiej Huty), czyli dzisiejszego Chorzowa.

Dzięki filmoznawcy Markowi Cieślińskiemu, który dotarł do jego aktu urodzenia, wiemy dzisiaj, że operator Günther Rittau urodził się 6 września 1893 r. jako syn tamtejszego nauczyciela Benjamina Jacoba Rittau i Marie Edeltraud z domu Artl. Rodzina mieszkała w kamienicy przy Rynku 16, w samym sercu miasta, w sąsiedztwie wielkiej Huty Królewskiej. Jest prawdopodobne, że codzienne widoki ognistego molocha w największej mierze kształtowały wyobraźnię przyszłego operatora kina demonicznego.

Niemniej młody Günther Rittau wcześniej opuścił rodzinne miasto, by kształcić się w gimnazjum już w Berlinie, a potem studiować w tamtejszej politechnice. Został inżynierem, a najbardziej pociągały go zagadnienia fotochemiczne i fotooptyczne. Po zakończeniu I wojny światowej z przemysłu trafił do niemieckiej kinematografii wchodzącej w lata wielkiego rozwoju. Pokazało się, że wytwórnia UFA w Berlinie jest dla niego najlepszym miejscem pod słońcem.

Jako operator kamery Rittau zadebiutował w 1921 r., lecz przełomowe w jego karierze okazało się spotkanie z reżyserem Fritzem Langiem przy dwuczęściowych „Nibelungach” (w 1924 r.). Podczas realizacji filmu Rittau odpowiadał za zdjęcia i efekty specjalne. Lang wyrażał się potem z uznaniem o jego pracy, wymieniając szczególnie jego pasję eksperymentowania: „Tworzy plastykę filmu, posługując się prawidłami matematycznymi”. Podkreślał, że zawdzięcza mu niektóre pomysły inscenizacyjne filmu. Z dzisiejszej perspektywy górnośląskiej to niezwykle, że zdjęcia do tego wielkiego widowiska podpisali wspólnie dwaj Górnoślązacy: Carl Hoffmann z Nysy i Rittau z Królewskiej Huty.

Dwa lata później Lang zaproponował mu ponownie współpracę przy futurystycznej wizji miasta molocha w równie sławnym „Metropolis”. Do zadań Rittaua należało nadzorowanie rozbudowanej scenografii. Współpraca z wizjonerem Langiem odegra-

ła ważną rolę w biografii młodego operatora z Górnośląska.

Przez kolejne lata Rittau realizował zdjęcia do przeważnie kilku filmów rocznie, w tym do pierwszego niemieckiego filmu dźwiękowego „Melodie des Herzens” (Melodie serca) w reżyserii Hannsa Schwartza w 1929 r. (z katowiczanie Willym Fritschem w roli głównej) i do klasycznego „Błękitnego anioła” Josefa von Sternberga z Marleną Dietrich w 1930 r.

Realizował zdjęcia do filmów komediowych, muzycznych, romansowych i sensacyjnych, przygodowych, a nawet science-fiction. Niemieckim klasykiem tego gatunku pozostaje „F.P.1 antwortet nicht” (F.P.1 nie odpowiada) Karla Hartla z 1932 r. Już w latach trzydziestych Rittau zdobył sobie pozycję niebywale sprawnego operatora, skłonnego do korzystania z nowości technicznych na planie. Nieustannie odzywała się w nim natura inżyniera. Nie bez powodu nazwano go „sztukmistrzem z Königshütte”.

Pod koniec dekady operator Rittau zadebiutował w roli reżysera filmem „Brand im Ozean” (Pożar na oceanie, w 1939 r.) osadzonym w scenarii instalacji naftowych na morzu, z licznymi sekwencjami podwodnymi. Natomiast sensacyjny „Der Strom” (Rzeka) o wielkiej powodzi w rejonie Odry można zaliczyć do kina katastroficznego. Niewątpliwie zasłużył na miano pioniera i wynalazcy w dziedzinie zdjęć i efektów specjalnych, a szczególnie w kategorii zdjęć podwodnych.

Dodajmy, że w tym okresie Rittau oddał swój talent nazistom, reżyserując kilka filmów o propagandowej wymowie. Z nich największą sławę zdobył antybrytyjski dramat wojenny „U-Boote westwärts” (Łodzie na zachód) z 1941 r. rozegrany w atrakcyjnej scenarii niemieckiej floty podwodnej na Atlantyku. Jako reżyser zrealizował w latach II wojny światowej siedem pełnometrażowych filmów fabularnych, przeważnie o sensacyjnej fabule.

Po zakończeniu II wojny światowej Rittau próbował zostać także producentem, lecz jego firma Stella – Film w Monachium okazała się efemerydą. Powrócił do roli operatora, realizując zdjęcia do kolejnych 9 filmów (w okresie 1954–1957), jak zwykle na przyzwoitym, profesjonalnym poziomie. Niemniej największe dokonania miał przecież za sobą.

W ostatnich latach życia mieszkał w Monachium, gdzie zmarł 6 sierpnia 1971 r. Zdążył jeszcze odebrać przyznaną mu w 1967 r. Złotą Taśmę Niemieckiej Akademii Filmowej. Dodajmy, że Rittau był aż pięciokrotnie żonaty! Nigdy nie zdarzyło mu się po wojnie zobaczyć rodzinnego miasta.

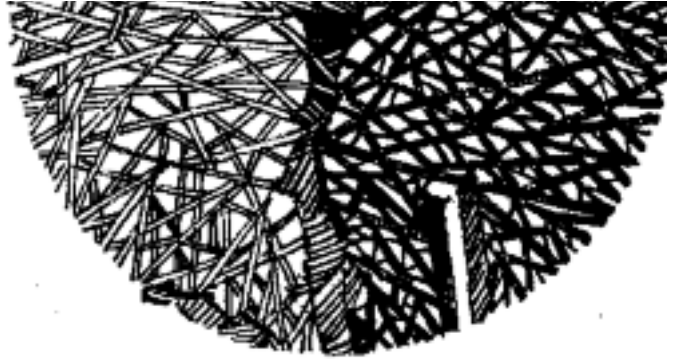
Po latach najlepsza znawczyni dawnego kina niemieckiego Lotte Eisner w klasycznej monografii „Ekran demoniczny” (1952) zaliczyła Górnoślązaków Hoffmanna i Rittaua do grona pięciu najznakomitszych operatorów wczesnego kina niemieckiego (z Karlem Freundem, Fritzem Arno Wagnerem i Franzem Planerem).



Carl Hoffmann i Günther Rittau spotkali się na planie „Nibelungów” Fritza Langa

W SNACH ZANURZONY BŁĄDZĘ

W snach zanurzony błędzę
ścieżkami wieczoru. Wzgórza
złocą się, sosny zielenią,
a liście dębów kryje pył!
Dokąd prowadzi mnie droga?
Z pieśnią na ustach przed siebie
wędruję, gdzie oczy poniosą...
– oto już wieczór zapada –
„Uwierał mnie w głębi serca
skryty cień namiętności;
aż wreszcie wyrwałem go do cna
i serca własnego nie czuję”.
A przestrzeń rozciąga się wokół
milcząca, pogrąża się w mroku,
w zadumie. I tylko wiatr dźwięczy
w koronach topól nadrzecznych.
Mrok coraz gęstnieje wieczorny
i droga wiję się w dali,
bladością jaśnieje białą
i niknie w zakrętów cieniu.
I znowu pieśń niesie się płaczem:
„Cierniu błyszczący po złotą,
któż zniesie twych kolców ostrze,
co serce na wylot przebija”.



Rys. Wojtek Łuka

Dla Juana Ramona Jimeneza

OGRODY POETY

Poeta jest ogrodnikiem. W jego ogrodach
rozkosznie igra wiatr,
niesie łagodne tony skrzypiec,
lament słowików,
echo dalekich głosów i czysty śmiech
sobą zajętych kochanków.
I jeszcze inne ogrody. Fontanna w nich
szepce: Znam cię, czekałam na ciebie.
A on, widząc się w strudze przejrzystej,
Ledwo poznaje siebie rozmarzonego wczoraj!
I jeszcze inne ogrody. Jaśminy
już marzą o letnich radościach,
a te ogrody to liry zapachów,
słodkie liry, które trąca chłodny wiatr.
I ulatują samotne godziny,
a fontanny, w porze pełni księżyca,
wzdychają w swych marmurach śpiewne,
i w całych przestworzach słyhać tylko jęk wody.



Rys. Wojtek Łuka

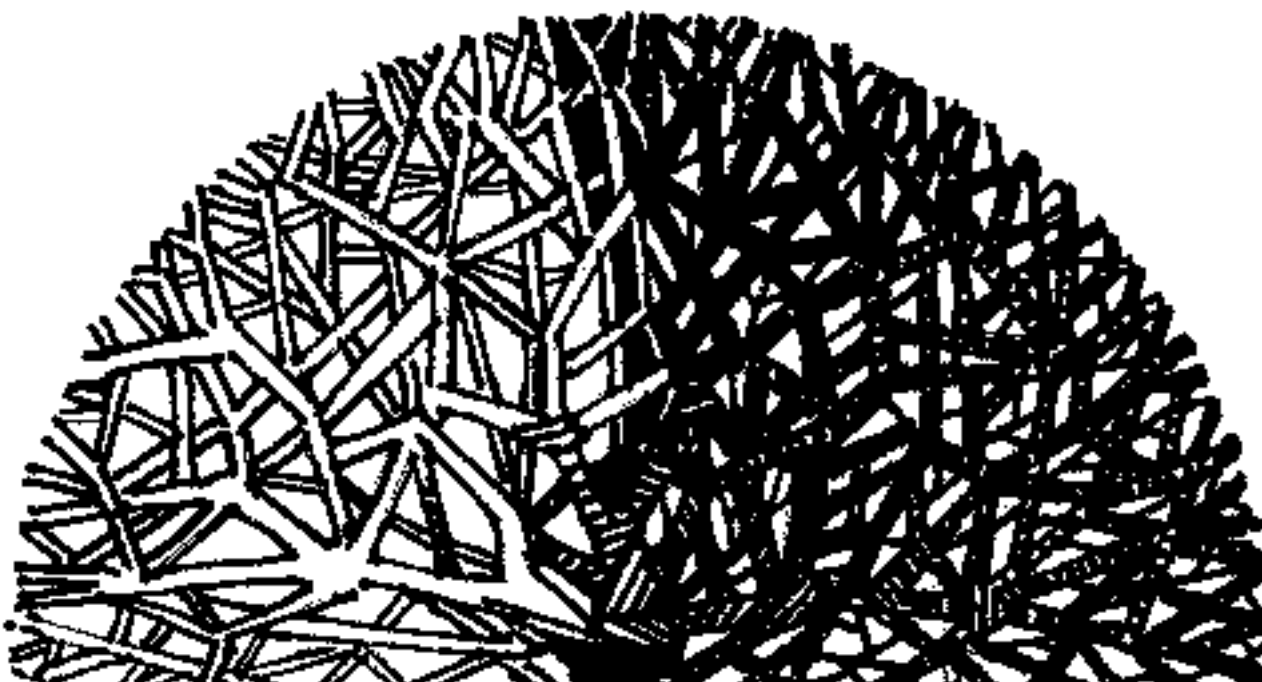
POETA WSPOMINA KOBIETĘ NA MOŚCIE NAD GWADALKIWIREM

Ponad jasną gwiazdą zmierzchu
jak ostrze posrebrzane błyszczy
księżyc na niebie szkarłatnym
i w głębiach pociemniałej wody.
Rzeka przetacza grzmiące fale
krystalicznego mroku
pod kamiennym mostem. Leniwa rzeko,
wyśpiewujesz swe imię, a dusza moja
chce pochwycić w twoim czystym nurcie
gałązkę delikatną, okrytą kwiatami,
która rozgorzała wiosną
wśród zieleni nadbrzeżnych migdałowców!
Pragnę widzieć, jak wpada, płynie i gubi się
w twych przejrzystych falach.
I na płacz mi się zbiera... Moje serce z tobą
popłynie w przestrzeń falującą.
Ach, taki wieczór, i rzeka łagodna
krystalicznego mroku!...
Ponad jasną gwiazdą zmierzchu
srebrzy się księżyc jasny.

TRZY PIEŚNI WYSLANE UNAMUNO W 1913

1.
Panie, zmęczony jestem życiem,
moje gardło ochrypło
od krzyku nad brzegiem morza,
a szum morza mnie ogłusza.
Panie, zmęczony jestem życiem
i wszechświat mnie przytłacza.
Panie, zostawiłeś mnie samego,
sam na sam wobec morza.
2.
Albo Ty i ja bawimy się
w chowanego, Panie,
albo głos, którym Cię wzywam,
jest Twoim głosem.
3.
Szukam Cię wszędzie
i nigdzie znaleźć nie mogę,
a znajduję Cię wszędzie,
gdy tylko szukać zaczynam.

Rys. Wojtek Łutka



ANTONIO MACHADO

pogwarki artystyczne HENRYKA BZDOKA

Fot: Henryk Bzdok



Aleksander (Leszek) Spyra

Spacer po Pszczynie z Leszkiem Spyrą

— **Do** Pszczyny jak zawsze pojechałem z radością, lubię to miasto i wielu kolegów, którzy tam zamieszkali. Tym razem umówiony z Leszkiem Spyrą – plastykiem, muzykiem i znaczącą Postacią w Pszczynie. Spokaliśmy się w Muzeum Prasy Śląskiej tj. w miejscu, którego jest twórcą.

— Leszku, jesteś przede mną postrzegany, jako bardzo ważny element tego miasta, podziwiam cię od lat, powiedz mi jak to się zaczęło, jak to było w twoim domu?

— Mój ojciec był stolarzem ale i artystą amatorem, to i w domu była taka plastyczno-muzyczna atmosfera. Najpierw było ognisko muzyczne, potem plastyczne, dalej Akademia Sztuk Pięknych a jednocześnie Liceum Muzyczne imieniem Karłowicza.

— Pamiętam jak latałeś pomiędzy jedną a drugą uczelnią...

— Pszczyna należy do takich wyjątków, tu szanuje się własnych ludzi i tych co przychodzą potrafiąc się zachować.

— To ważne, bo jak pamiętam z przeszłości to na moim Śląsku ci, którzy przybywali zawsze byli lepsi i zawsze zajmowali lepsze stanowiska. Tak było w mej miejscowości na Opolszczyźnie, wielki zakład przemysłowy ściągał ludzi z całej Polski, którzy nie zawsze potrafili zgodnie współżyć z autochtonami. Wy tu jesteście bardziej jednorodni, niż tam, gdzie historycznie było większe przemieszanie ludności, te granice przebiegały nawet wewnątrz rodzin. Mój Starzyk po Plebiscycie w roku 1921 trafił do obozu w Cottbus, kiedy stamtąd wyszedł trafił tu do Pszczyny i tu był rehabilitowany po tamtejszych przejściach. W tym kontekście Pszczyna mi była znana od dzieciństwa.

— Nie wiedziałem, że coś takiego tu było...

— Kiedy byłem młodszy nie zajmowałem się tym, dziś po latach już nie ma osób, które wzbogaciły by mą wiedzę.

— Tu była wielokulturowość, Niemcy, Czeši, Polacy i Żydzi (w liczbie 80 członków Gminy Żydowskiej) żyli w harmonii narodowościowej i religijnej. Miał na to także wpływ Książę, który jeszcze w latach dwudziestych pisał: „Do Moich Mieszczan...” a Rada Miejska mu odpisywała „Nie jesteśmy na szczęście Pana własnością”. Po wojnie było jak wszędzie, tyle że partia wysyłała do Pszczyny takie wybraki, bo dobry komunista musiał być w Tychach albo Chorzowie. Myśmy się nawet potrafilo z nimi dogadać, później w latach siedemdziesiątych udało się załatwić skansen, jedynie w Muzeum Prasy Śląskiej i w Muzeum Stroju Śląskiego był problem. Ja założyłem tu „PAX” w Pszczynie, to była organizacja w pewnej opozycji do komuny. Później chciałem się więcej dowiedzieć i pojechałem do IPN w Katowicach, chodziło mi o stan wojenny a oni mi pokazali, że jestem agentem, pierwszy zaś zapis był z roku 1957.

— Nigdzie cię stąd nie ciągnęło?

— Wybrałem Pszczynę a nie jakieś tam szersze horyzonty, bo tu się czuję u siebie.

Przewodniczący „PAX-u” Bolesław Piasecki powiedział, że każdy członek ma pracę dla siebie w INCO albo VERITAS-e i zaproponowali mi Warszawę, ale nie przyjąłem, bo tu miałem wszystko, zespół i przyjaciół.

— Was plastyków było tu wielu jak na takie miasteczko, bo około dziesięciu.

— Tak Janka i Andrzej Czczotowie – graficy, Alina i Staszek Rabaszowscy – wnętrzarze, Szulz – metaloplastyk, Grzegorz Kozik – rzeźbiarz, Jurek Becela – szkło, Joachim Krakowczyk – rzeźbiarz i jego żona Malinowska-Krakowczyk

— Z tego okresu pamiętam Galerię „U Eliasza i Pistulki” no i nawet za ratuszem piwnicę mieliście i plenery, w których paru brałem udział.

— Nie zapomnę tej atmosfery z sympatycznym lwowiakiem Alfredem Miłgockim, czy też profesorem Janem Dutkiewiczem i jego kalamburami takimi jak „Niech Żydzi nie tracą nadziei”, albo bardzo ciepła Janka Czczotowa dziś Kiedos – gospodyni pleneru.

— Ta grupa mogłaby być Oddziałem Pszczyńskim ZPAP...

— Przyjazną duszą, która wiele nam pomogła był wicedyrektor wojewódzkiego wydziału kultury Ryś. Dyrektorzy się zmieniali a on trwał, bo był ze Stronnictwa Demokratycznego. To on dał nam środki na Galerię „U Eliasza...” pomógł nam także znacznie finansowo przy Skansenie, no i oczywiście w Muzeum Prasy i Izbie Telemanna. Było ja-

koś prościej dostać dotację dzięki znajomości, niż dzisiaj z Unii.

– **Potem wyprowadził się do Krakowa, przybył na mój wernisaż w Galerii ZPAP „Art nova 2” we wrześniu 1996 roku. Dostawaliście, bo Pszczyna była taką perelką śląskich miast z bogatą historią, licznymi zabawkami w ciekawym regionie...**

– ... i politycznie nie drażniąca. Ten spokój umiejętnie wykorzystywaliśmy. W roku 1960 założyłem „Zespół Pszczyna” istniejący do dziś, zjeździliśmy Europę, wkrótce jedziemy do Chorwacji, wydajemy płyty, których jest już siedem. Ta grupa to bardzo opiniotwórcze środowisko – nauczyciele, przedsiębiorcy i radni. Odkryliśmy, że w Pszczynie był drukowany pierwszy na Śląsku periodyk dla ludu pospolitego. Pierwszy autonomicznie Tygodnik Polski Poświęcony Włościanom. Mieliśmy takiego człowieka na uniwersytecie, który zatwierdził nam scenariusz Muzeum Prasy Śląskiej. Potem wyjechał do Monachium, kiedy wrócił i zobaczył tablicę, informującą, że muzeum nosi imię Wojciecha Korfantego, powiedział: *Leszek coś ty zrobił, na Niemców Korfanty działa jak płachta na byka, oni ani grosza nie dadzą*. Podziękowałem mu za te niemieckie pieniądze i powiedziałem, że damy sobie radę. To był bardzo nieciekawych czas – towarzyszy Kastorz i inni.

– **Darujmy sobie nazwiska, nie zasługują na to, by je pamiętać.**

– Przy okazji tworzenia Muzeum Prasy uratowaliśmy tą XVIII-wieczną kamienicę, doprowadzili ją do stanu w jakim jest. Mamy bibliotekę z 3000 tomów dzieł specjalistycznych, związanych z prasą i historią Śląska. No i jesz-

cze Izba Telemanna z przekazanym nam pozytywem, którym opiekuje się osobiście prof. Gembalski.

– **Podoba mi się twoje pierwsze dzieło Skansen, położony tak blisko centrum, że oddycha atmosferą miasta, nasz chorzowski w Parku Śląskim ma znaną sztuczność, wasz zaś jest jakoby przedmieściem..**

– Przekazaliśmy skansen w zarządzanie agencji, ta też zdobywa środki na jego utrzymanie.

– **A ty, czy dalej zajmujesz się drzeworytem?**

– Grafika warsztatowa mi się skończyła, ale pracuję dalej pastelami.

– **Bo i trudno z tego uzyskać jakąś finansową satysfakcję...**

– Tak, obserwuję te galerie na Śląsku albo w Krakowie, tam na ulicy św. Anny jest duża galeria u góry, wchodzisz – martwica, tylko jakaś starszuszka sztrykuję sweterki. Na uczelni w Katowicach byłem na roku z Henrykiem Bajdurem, Markiem Mosińskim, Władkiem Tokarzem i Andrzejem Urbanowiczem, najpierw chciano ją zlikwidować, ale Gierek chciał tu mieć...

– **Wydział Grafiki Propagandowej ASP w Krakowie. Na ten Wydział zostałem w końcu przyjęty w roku 1957.**

– W tej naszej katowickiej wspólnotce póki było ZPAP wszystko jakoś działało, potem po strajkach, rozruchach związek zdelegalizowano.

– **Towarzysko też się popsulo, zaczęły się próby tworzenia nowych związków, to szło opornie i tylko paru nadposłusznych próbowało wypełnić wystawami BWA.**

– **Wyjeżdżałem wtedy na imprezy plastyczne za granicę i wracałem. Wicesekretarz związkowej POP stro-**

fowała mnie za wyjazdy do Niemców, ja jestem do dziś tu, natomiast ona od dawna – tam u nich.

– Wtedy i mnie przestało się podobać, poza panią Elą z BWA zawsze życzliwą i kompetentną, nikogo więcej nie pamiętam.

– **A jednak wspominamy lata studiów „z” i „potem” z rozrzewnieniem, to sprawia chyba młodość, że we wspomnieniach lepsze jest wszystko niż było. Była potrzeba kontaktu, porozmawiania i podanie ręki, były miejsca, w których niedługo czekałeś i spotykałeś przyjaciela.**

– Zostało we wspomnieniach to, co dobre...

– **Zło poznaliśmy dużo później, kiedy zostało lepiej zdefiniowane w nowej Polsce, wtedy dopiero w pełni uświadomiliśmy sobie, ile nam zabrano. Dziś wolności mamy aż w nadmiarze a twój zespół istnieje.**

– Cenię sobie najbardziej pozytywne trwanie, cieszę się, że syn przejął Oficynę Drukarską, dochodzimy do tego, co było dawniej, do rodzinnego przekazywania tradycji, którą komuna przerwała. Chciałbym się jeszcze pochwalić dorobkiem naszego Towarzystwa, przez lata dorobiliśmy się 70 własnych tytułów wydawnictw.

– **To te małe ojczyzny, w których tyle się dzieje....**

– Po pierwsze stopniowanie: Rodzina, Mała Ojczyzna, Państwo. Są ludzie tacy jak ja, którzy się tu dobrze czują, i tacy którzy muszą zaistnieć w Warszawie czy Strasburgu. Dobrze, że istnieje taki wybór, jak z kobietami, gdyby tylko jedna uroda ważna była, to ile byłoby starszych panien. ■



Henryk Bzdok, Pszczyna – Rynek, grafika cyfrowa, 2014

Twórcze okno

Tegoroczny Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marka Hłaski został zorganizowany przez Młodzieżowy Dom Kultury w Chorzowie po raz dwudziesty drugi. W jury zasiadli: Radosław Kobierski – poeta, prozaik, krytyk literacki, felietonista, współtwórca grupy poetyckiej Na Dziko; Wojciech Brzoska – poeta, współzałożyciel zespołu Brzoska i Gawroński; Katarzyna Zdanowicz-Cygański – poetka, adiunkt w Katedrze Dziennikarstwa i Nowych Mediów Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach.

Na konkurs napłynęło 311 prac 283 autorów. Spośród 117 utworów poetyckich nagrodzono i wyróżniono sześć zestawów wierszy. I nagrodę zdobyła Marzena Jaworska z Warszawy za: *kółko, październik* oraz *portret*. II nagrodę przyznano Marcie Jurkowskiej z Olkusza za: *pod lodem, czeresnie* oraz *po powodzi*. III nagrodę zdobył Jerzy Fryckowski z Dębnicy Kaszubskiej za: *handlarkę pestek, szwagra-pokłosie* oraz *matkę Polkę II*. Wyróżniono także prace: Piotra Przybyły z Karpacza, Mateusza Czajki z Chorzowa oraz Czesława Markiewicza z Zielo-

nej Góry. W kategorii proza jury przeczytało 194 utwory, nagradzając i wyróżniając spośród nich pięć. I nagrodę zdobyła Eliza Moraczewska z Poznania za *Międzypiętrze* (fragment). II nagrody nie przyznano. III nagrodę zdobyły *ex aequo* Agnieszka Urbanowska z Krakowa za *Palce Julianne Moore* (fragment) oraz Daria Siemion z Warszawy za fragment utworu bez tytułu. Ponadto wyróżniono Joannę Roś z Olkusza za pracę *Na odwrocie* oraz Edwarda Bolca z Rzeszowa za *Tylko cumulusy, Stachu...* (fragment).

Warto przypomnieć przy okazji, że chorzowski konkurs ma charakter otwarty i jest adresowany do osób powyżej 16 roku życia, zarówno do twórców, którzy mają już na swoim koncie szereg publikacji, jak i do tych, którzy są przed debiutem. Wśród laureatów w latach ubiegłych znaleźli się m.in. Wojciech Kuczok i Elżbieta Prażmy z Chorzowa oraz Piotr Macierzyński z Łodzi. Jurorami byli zawsze uznani twórcy, krytycy literacy i dziennikarze.

W latach 2003-2005 w konkursie uczestniczyli również uczniowie szkół

podstawowych i gimnazjów. Biorąc jednak pod uwagę sugestie jury, organizatorzy postanowili stworzyć dla dzieci i młodzieży oddzielny konkurs literacki pod nazwą „OKNO”, którego ósma edycja obyla się w tym roku. Prace młodych poetów i prozaików oceniali tym razem: dr Iwona Gralewicz-Wolny – adiunkt w Zakładzie Teorii Literatury Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, dr Sylwia Gajownik – autorka bloga o literaturze dla dzieci i młodzieży oraz Barbara Janas-Dudek – pisarka, poetka, założycielka Portu Poetyckiego w Chorzowie. Jurorzy musieli zapoznać się z 354 pracami 337 autorów. Spośród 111 wierszy nagrodzono i wyróżniono w kategorii szkół podstawowych utwory czterech uczestników, w kategorii gimnazjów także cztery osoby zostały zauważone. Najlepszą prozę wśród uczniów szkół podstawowych napisało ponownie czterech uczestników konkursu, a wśród gimnazjalistów aż pięciu zostało nagrodzonych oraz wyróżnionych.

KATARZYNA BERETA

Ona krząta się, choć nic jej nie zajmuje, chodzi, byle chodzić, drepcze, wydeptuje dywan, a kiedy od czasu do czasu zda sobie z tego sprawę, z pięć przechodzi na palce i drobi, sunie baletowo, albo płynie. Wtedy też łatwiej o wspomnienia, szafa staje się szatnią, we wszystkich oknach zawisają twarze i włosy, przede wszystkim jednak oczy. Twarze stałyby w powietrzu i byłyby w istocie maskami, gdyby nie te włosy, które sznurują je z parapetami, z innymi zwiecznikami: białym stołu pod wazonem, marmurowym cokołem nieużywanego kominka, podstawą lustra, metalowymi gałkami szuflad. Albo na przykład ta misa: kryształowa, w której cukierki zmętniają odbicia; albo to szklane akwarium: kształt ściętej od góry, wydrążonej kuli, od dawna stojące pusto, bez wody, bez roślin, bez żadnej innej zawartości, czyli prosta forma o klasycznym niemal, idealnym wykroju, lub – jeśli spojrzeć na to oczami Marty – potykacz dla kurzu.

Kiedy więc z codziennych kroków wchodzi w ich odświętny rytm, widzi więcej. Ona widzi te martwe włosy na podłodze, wypadają jej garściami, widzi ich twarze, twarz z orlim podbródkiem Oleksego, jej Oleksika i drugą twarz, wyraźniej, albo może i nie, nalaną twarz Konstantego, który miał dla niej tyle litości,

ELIZA MORACZEWSKA

Międzypiętrze (fragment)

a na miłość zdobyć się nie chciał, choć wystarczyłoby pozwolić sobie, nie wzbraniać. Na co komu litość?

Więc ona widzi te włosy, a właściwie twarze odbite w misie akwarium jak woda za nią szklanymi oczami, a szkło, uwytkłone przez wpadające wysokimi oknami słońce, pomnaża te oczy, dwoje orlich i dwoje nalanych i już nijak się schować nie można. Ta misa, szklana misa stoi w centralnej części pokoju, jak ona patrzy, jak oni patrzą, jak ją ścigają, nie chce być ściganą, nie!

– Aljono, co się stało?! – Marta gwałtownie otwiera drzwi i widzi Aljonę nad szczytami rozbitego akwarium. – Och!

– Widzę te oczy, one widzą, wodzą, ścigają. Nie ma oczu – nie ma pościgu.

– Co też pani mówi, jakie oczy?

– Oczy. Włosy raczej. Wszędzie leżą nieżywe włosy. – Aljona pochyliła się i zaczyna wyskubywać włosy z dywanu, następnie mota z nich kok i nakłada go sobie na głowę. – Ale i tak już nieprzyszyte, a więc nieżywe – mówi ze złością i zsarpkuje kok z głowy wraz z garścią własnych włosów.

– Aljono, Boże! Co pani robi?! Chryście Panie, przecież do krwi, ale dlaczego? Po co?

– One są wszystkie nieżywe, nie widzisz? No i czemu patrzysz tak dziwnie? Mówiłam ci już, że nienawidzę tych rozsiewajnych, martwych włosów. One się mnożą – szepcze. – Mnożą się, żeby mnie doprowadzać do obłądzenia, nie jestem głupia: widzę. A ty czemu mówisz do mnie pani, przecież jesteś u siebie, to ja jestem u ciebie, to nie Rosja, a zachowujesz się jak w Rosji. Wyrażasz się jak rosyjscy pisarze, a w życiu nic nie napisałaś. Poza tym nie jesteśmy w Rosji i ci nie wolno, słyszysz?! Twój mąż mówi jak człowiek, on wie, że to traci Czechom, tak mówić. Niech zdradzają nas tylko imiona, jeśli już coś musi nas zdradzać. Tylko imiona. Trzeba zapomnieć Rosję, zabić oczy w misach, wybierać wszystkie włosy. Może w ten sposób unikniemy pościgu. – Skubie chwilę paznokcie. – Myślę, że najlepiej je potem spalić, bo inaczej znowu się gdzieś zalęgna (...).

**I nagroda
w XXII Ogólnopolskim
Konkursie Literackim
im. Marka Hłaski
w kategorii proza**

Mój kolega nazywa się *Szambora*. Czy to nazwisko się odmienia? Kolega twierdzi, że nie, bo jest ono pochodzenia węgierskiego, a w związku z tym pozostaje w formie mianownika np. *widziałem Jana Szambora*, a nie *widziałem Jana Szamborę*. Jaki „przepis” językowy reguluje, że to nazwisko jest odmienne lub nieodmienne?

Nie jest pewne, czy nazwisko *Szambora* ma rzeczywiście węgierski rodowód, w dostępnych źródłach etymologia nie jest wywieńczona wystarczająco jasno. W publikacji Kazimierza Rymuta *Nazwiska Polaków. Słownik etymologiczno-historyczny* jako źródłosłów podaje się imię *Sambor* pomieszczone w nazwiskach z niemiecką nazwą osobową *Schamber*. Gdyby nawet jednak nazwisko kolegi było pochodzenia węgierskiego, wcale nie znaczyłoby to, że jest nieodmienne! Nazwiska i imiona węgierskie odmieniają się, por. np. *Nagy, Nagya, Nagyowi, Petőfi, Petőfiego, Petőfiemu, Kossuth, Kossutha, Kossuthowi, Kossucie, Imre, Imrego, Imremu*, zwyczajowo nie stosuje się w nich tylko apostrofu oddzielającego temat od końcówki fleksyjnej, jak to jest przyjęte w nazwiskach angielskich czy francuskich (*Kennedy, Kennedy'ego, Valery, Valery'ego*). Nie ma specjalnej ustawy, która regulowałaby odmienność nazwisk, ponieważ nazwiska, jak inne wyrazy istniejące w języku fleksyjnym takim jak nasz, po prostu się odmieniają – jest to rzecz najzupełniej naturalna, zgodna z duchem języka. Jeżeli tylko dane nazwisko można przyporządkować do któregośkolwiek polskiego typu deklinacyjnego, to należy je odmieniać,

dlatego też nazwisko *Szambora* zakończone podobnie jak rzeczowniki rodzaju żeńskiego, takie jak *kora, komora czy zapora*, powinno przybrać formy: *D. Szambory, C. Szamborze, B. Szamborę, N. (z) Szamborą, Ms.(o) Szamborze*. W naszym skomplikowanym języku nie odmienia się tylko naprawdę nielicznych nazwisk, i to wcale nie ze względu na pochodzenie, lecz z powodu ich językowego (fonetycznego) ukształtowania. Wśród nazwisk nieodmiennych Jan Grzenia w *Słowniku nazw własnych* wymienia następujące: 1) zakończone w wymowie na [la], np. *Benoît, Dubois, Pasqua*; 2) zakończone w wymowie na samogłoskę [u], np. *Ceauşescu, Kimbangu, Nehru, Pompidou*, a także z końcowym -x w zapisie: *Giraudoux, Levittoux*; 3) zakończone w wymowie na akcentowaną samogłoskę [o] (ortograficznie -o, -au, -eau oraz z niewymawianymi -s, -x, np. *Hugo, Desnos, Despiou, Cocteaux, Cousteau, Rousseau*. Oprócz wymienionych typów nazwisk reszta jest obowiązkowo od-

mienna! Jeśli pójdziemy za sugestią Pana kolegi i przestaniemy odmieniać jego nazwisko, to kiedy powiemy *widziałem Jana Szambora*, odbiorca bez wątpienia uzna, że nazwisko kolegi brzmi *Szambor*. Podobny przykład podaje Hanna Jadacka w książce *Kultura języka polskiego*: generał Józef Kuropieska nie pozwalał odmieniać swego nazwiska, trzeba było więc o nim mówić np. *znam dobrze gen. Kuropieska*, „skutkiem tego dalsi znajomi generała do dziś (!) uważają, że jego nazwisko brzmiało **Kuropiesek* na podstawie „rekonstrukcji” mianownika z form uznanych za dopełniaczone lub biernikowe”. A zatem: odmieniamy nazwiska.

KATARZYNA WYRWAS

Dr Katarzyna Wyrwas jest adiunktem w Instytucie Języka Polskiego Uniwersytetu Śląskiego, kieruje Internetową Poradnią Językową UŚ.

Fundacja im. Jana Kochanowskiego

W duchu patrona

Fundacja im. Jana Kochanowskiego została założona w Sosnowcu przed rokiem. Jej pomysłodawcami byli Rafał Danielowski, nieżyjący już Artur Fryz (1963–2013) oraz Sławomir Matusz. Fundacja powstała, by upamiętnić postać Jana z Czarnolasu oraz jego zasługi dla literatury polskiej. Ambicją fundatorów oraz zarządu jest również przepojenie najnowszej twórczości literackiej duchem poezji patrona.

Wśród statutowych celów znaleźć można także takie działania, jak: promocję czytelnictwa; kreowanie, wspieranie oraz promowanie szeroko pojętej kultury i sztuki; wspieranie prac badawczych, projektów artystycznych i edukacyjnych, ze szczególnym uwzględnieniem tematyki dialogu kultur oraz zachowania i upowszechniania tradycji; inicjowanie i organizację przedsięwzięć artystycznych; tworzenie i wspieranie miejsc wymiany kulturalnej i ośrodków twórczych; edukację kulturalną i wychowanie aktywne odbiorcy sztuki; promocję kultury, sztuki i tradycji polskiej oraz osoby Jana Kochanowskiego poza granicami kraju; wreszcie wspieranie, zgłaszanie i promowanie twórców, artystów, naukowców i działaczy kultury do nagród, odznaczeń i stypendiów.

Cele te Fundacja planuje realizować poprzez inicjowanie i organizację projektów artystycznych, społecznych i edukacyjnych, festiwalu, wystaw, ekspozycji, koncertów, widowisk oraz wykładów z zakresu szeroko pojętej sztuki i kultury. Wydawanie i produkcję nagrań audio i video, książek, broszur i czasopism o tematyce zgodnej ze statutowymi założeniami. Stworzenie i prowadzenie biblioteki multimedialnej i tradycyjnej wraz z archiwum prac artystycznych i dorobku artystów i twórców z dziedziny kultury, sztuki i edukacji artystycznej.

Wspieranie i promowanie artystów i grup artystycznych poprzez zapewnianie warunków finansowych, lokalowych, stypendialnych, pomoc specjalistyczną i organizacyjną. Wspieranie i prowadzenie prac badawczych z zakresu kultury, sztuki oraz dziedzin z nimi powiązanych. Współpracę i wymianę z instytucjami, fundacjami i osobami fizycznymi w zakresie sztuki, kultury i edukacji. Fundowanie stypendiów, nagród oraz przyznawanie innych form pomocy finansowej i rzeczowej na realizację działań o charakterze artystycznym, kulturalnym i edukacyjnym. Wspieranie finansowe, organizacyjne i specjalistyczne działań związanych z upowszechnianiem i promocją kultury i tradycji.

Dotychczas udało się Fundacji wydać trzy publikacje: Sławomira Matusza *Licznik Geigera. 20 najważniejszych współczesnych wierszy polskich w interpretacjach* oraz dwa tomiki poetyckie – Jerzego Lucjana Wóznika *Drzewa przy drodze* i Krystyny Borkowskiej *Rezerwat codzienności*. Wszystkie ukazały się w 2014 r. Ostatni tytuł został dofinansowany ze środków gminy Sosnowiec.

Ponadto Fundacja pracuje obecnie nad stworzeniem programu Festiwalu im. Jana Kochanowskiego, który pragnie zorganizować w listopadzie tego roku na terenie Sosnowca i miast ościennych.

Więcej na temat Fundacji można przeczytać na stronie internetowej: <http://fundacijakochanowskiego.pl/>.

KATARZYNA BERETA

Sprostowanie

Autorka eseju *Idąc cmentarzem przy Francuskiej* przeprosza za błąd, jaki przez nieuwagę wkładł się do tekstu. Prawidłowy tytuł książki Aleksandra Baumgardena brzmi: *Spotkanie z jutrem*.

MARTA JURKOWSKA

czereśnie

posłuchaj jak drży ziemia,
pękają czaszki owadów.
zaraz podłączą tlen
będą uczyć trawy oddychania.

posłuchaj jak pulsuje światło
w przewodach ambulansów,
żyłach kroplówek,
jak rozrasta się skrzep
w kruchych palcach.

posłuchaj zanim
będziesz mi zrywał
krwawiące czereśnie
a drzewo cię połknie,
wypluje jak pestkę.

II nagroda
w XXII Ogólnopolskim
Konkursie Literackim
im. Marka Hłaski
w kategorii *poezja*

Pod patronatem „Śląska”

Zdjęcia: Paweł Pluta



Chór i soliści Instytutu Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Katowicach i Mikołowska Orkiestra Festiwalowa podczas prezentacji kantaty „Syn marnotrawny” Henryka Opieńskiego.

Z Andrzejem Panufnikiem, bez Ryszarda Straussa

MAREK
BRZEŹNIAK

XXIV Mikołowskie Dni Muzyki

Obecny rok zapisze się w dziejach Katowic jako czas niebywałego „urodzaju” sal koncertowych. Wiosną, po kilkuletnim remoncie, oddano do użytku rozbudowany obiekt Filharmonii Śląskiej z dwiema salami, w tym salą kameralną, której poprzednio nie było. Jesienią otwiera swoje podwoje nowa siedziba Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia z największą salą koncertową w kraju i drugą salą – kameralną. Ponoć takowe, stosowne dla prezentacji koncertów, pomieszczenie znajdzie się także w nowym, nieukończonym jeszcze, obiekcie Muzeum Śląskiego.

Czymże wobec tego bogactwa może się pochwalić nieduży Mikołów, oddalony od centrum Katowic zaledwie 12 kilometrów, skoro nie posiada ani jednej sali koncertowej z prawdziwego zdarzenia? Ano może. Od 24 lat jest gospodarzem Mikołowskich Dni Muzyki – największego festiwalu muzyki poważnej na Górnym Śląsku.

Z powodu owego braku sal „miejscem postoju” koncertowego Steinwaya jest w Mikołowie Biblioteka Miejska – Dom

Kultury byłby w tym przypadku o tyle ryzykowny, że młodzi adepci sztuki pianistycznej mogliby instrument „zajeździć”. Niestety, trudno go przewozić do kościoła ewangelickiego dysponującego bodajże najlepszą w regionie akustyką dla prezentacji muzyki kameralnej. Nie przypadkiem Kwartet Śląski nagrał w nim sporo swoich krązków.

I dlatego dwóch kwintetów fortepianowych z udziałem instrumentów dętych Mozarta i Beethovena słuchaliśmy w Bibliotece a wykonali je znana pianistka Beata Bilińska, waltornista Tadeusz Tomaszewski i Krakowskie Trio Stroikowe. W Bibliotece, także z towarzyszeniem fortepianu, wystąpili też wiolonczelista Andrzej Wróbel i kontrabasista Adam Bogacki, wychowanek mikołowianina Gerarda Przybyły w bytomskim Liceum Muzycznym. Właśnie ze względu na osobę swego dawnego pedagoga kontrabasiści chętnie goszczą na mikołowskich festiwalach, bo obok Bogackiego często tu występuje w obu swych rolach: solisty i dyrygenta Jurek Dybał. Występ swój Wróbel

i Bogacki zakończyli Duo concertante na wiolonczelę i kontrabas, ale na bis ostatnią część tego utworu w rytmie poloneza powtórzyli... z fortepianem.

Natomiast we wspomnianym kościele ewangelickim II Kwartet smyczkowy a-moll Mendelssohna i najbardziej znany Kwartet Szostakowicza VIII c-moll usłyszeliśmy w rewelacyjnym wykonaniu Lasoń Ensemble. To chyba najbardziej mikołowski zespół, bo w mieście tym mieszka skrzypkowie Krzysztof i Agnieszka Lasoniowie, oraz ojciec Krzysztofa i wiolonczelista Ensemble Stanisława (ten jest bytomianinem) – kompozytor Aleksander.

W świątyni tej wystąpiły też dwa zespoły muzyki dawnej: Bergen Barokk z Norwegii i Collegium Marianum z Pragi. Prażanie, podobnie jak ich krajanie na poprzednich mikołowskich festiwalach – w 2010 Musica Florea, a dwa lata później Collegium 1704 – wykonali utwory swego rodaka Jana Dismasa Zelenki, kapelmistrza muzyki katolickiej w Dreźnie – na saskim dwuwyznaniowym dworze elektora Fryderyka Augusta I i jego syna Fryderyka Augusta II kultywowano także muzykę protestancką. W jakimś sensie w tym repertuarze Cześci trochę wyręczają nas, Polaków, skoro obaj elektorzy byli równocześnie królami Polski: Augustem II Mocnym i Augustem III.

Natomiast występ trzeciego zespołu specjalizującego się w wykonawstwie muzyki dawnej, nagrywającego m.in. dla znanej firmy „Harmonia Mundi” – Ensemble Phoenix Munich, „uloковано” w wyjątkowo pięknym wnętrzu tzw. starego kościoła Św. Wojciecha. Ale tym razem Ensemble Phoenix nie przyjechał z muzyką dawną, lecz z piosenkami amerykańskimi z okresu wojny secesyjnej. Przeważnie wielozwrotkowymi, nawet po kilkanaście zwrotek. Trzeba rzeczywiście dużej maestrii wykonawczej, aby ta powtarzalność zwrotek nie irytowała. I właśnie taką popisali się monachijczycy, a kolejne zwrotki prezentowali w wariacyjnych przeróbkach, co je wyraźnie uatrakcyjniało. Być może rolę „przypomnienia”, gdzie leży siedziba zespołu, miała odegrać w tym zestawie, przepleciona amerykańskimi marszami i chorałami, kolęda „O Tannenbaum”, ale... po angielsku.

Od samego początku mikołowskich festiwalu istotną rolę pełnią w nich recitale organowe na wspaniałe brzmienie instrumentu Bazyliki Św. Wojciecha, zbudowanym z 1862 r. przez organmistrza głuźczyckiego. W tym roku obok występów dwóch wirtuozów: Umberta Salvagnina ze Szwajcarii i Karola Gołębiowskiego – sławnego organisty mieszkającego obecnie w Belgii, wystąpił duet organowy. To dość rzadko spotykany zespół w przeciwieństwie do duetów fortepianowych muzykujących na jednym instrumencie – organy posiadają bowiem zdecydowanie węższą klawiaturę. Utworzyli go dwaj muzycy: Niemiec Reinhard Seeliger działający w Görlitz, a więc bezpośrednio za naszą granicą i Francuz Henri Ormieres z Carcassonne sławnego

ze swych zachowanych w całości średnio-wiecznych murów. Pod ich palcami i... nogami mikołowskie organy zabrzmiały wspaniałym blaskiem, zwłaszcza w utrzymanej w „Bachowskim duchu” Sonacie d-moll mało znanego u nas XIX-wiecznego drezdeńskiego kompozytora Gustawa Adolfa Merkla i zagranej na bis transkrypcji organowej słynnego Alleluja Händla.

W tym roku nie usłyszeliśmy recitalu organowego dyrektora artystycznego Mikołowskich Dni Muzyki Władysława Szymańskiego, profesora i dziekana katowickiej Akademii Muzycznej. Za to mieliśmy okazję oklaskiwać go w innej roli – autora orkiestracji sceny biblijnej „Syn marnotrawny” zapomnianego dziś kompozytora Henryka Opieńskiego (1870–1942). Nawet nie bardzo wiadomo, czy rzecz została wykonana przed wojną. Co prawda Encyklopedia Muzyczna PWM odnotowuje w obsadzie tego dzieła orkiestrę, ale zachował się jedynie tzw. wyciąg fortepianowy. Instrumentacja Szymańskiego jest bardzo, chciałoby się powiedzieć, stylowa, nie roszcząca pretensji do nowatorskich rozwiązań, ale utrzymana w duchu XIX wieku. Tak, jak cały ten utwór, którego chórálne fragmenty przypominają chóry z oper Moniuszki – Opieński był zresztą autorem biografii Stanisława Moniuszki. Nawet fragmenty orientalne – II część kantaty „Na obczyźnie” mówi o synu wędrującym po świecie – jakżeż są odmiennie od orientalnych tematów Szymanowskiego, zresztą wcześniejszych o jakieś 15 lat. Opieński zdecydowanie cofa się tu jeszcze bardziej w muzyczny romantyzm.

Nie sądzę, by przywrócona do życia scena biblijna Opieńskiego zawojowała świat – nadmierny, że „odkurzenie” jej zawdzięczamy Michalinie Growiec z katowickiej Akademii Muzycznej, gdzie też rok wcześniej wykonano ją na dowodzonych przez panią profesor Dniach Muzyki Wokalnej. Ale dla nas jest odkryciem niewątpliwie cennym.

Zazwyczaj utwory, w których bierze udział większa liczba wykonawców prezentuje się na końcu wieczoru. Tym razem organizatorzy woleli nie ryzykować

i po kantacie, którą zaprezentowali soliści i chór Instytutu Wokalno-Muzycznego Akademii Muzycznej w Katowicach oraz Mikołowska Orkiestra Festiwalowa pod dyr. Sławomira Chrzanowskiego, sama już orkiestra wykonała znaną i lubianą V Symfonię B-dur Franza Schuberta.

W „macierzystej” siedzibie chóru – Akademii Muzycznej tradycyjnie odbył się katowicki wieczór mikołowskiego festiwalu. I to wieczór chyba najbardziej oczekiwany, bo z udziałem Wielkiej Ewy Podleś, której towarzyszyła, przepłatając występy solistki głównie uwerturami Rossiniego, Polska Orkiestra Radiowa pod dyr. Łukasza Borowicza. Komplementowanie śpiewu Ewy Podleś właściwie mija się z celem – to niezmiennie prima donna assoluta i to mimo że termin primadonna „przynależy” głównie sopranom, a nie kontraltom. Zachwycała we wszystkich wykonywanych ariach – Glucka, Rossiniego, Donizettiego, Verdiego i na bis Masseneta, ale chyba najbardziej w genialnie lirycznej interpretacji żałobnej pieśni „Ja pojdu po polju” z kantaty Prokofiewa „Aleksander Newski”.

I na koniec o dwu „klamrach” XXIV Dni – inauguracji i finale. Festiwal zainaugurowali dobrze znani mikołowianom od ponad już 20 lat Wirtuozii Lwowa ze swoim założycielem i szefem Serhijem Burko. Lwowiacy towarzyszyli pochodzącemu z Krzemieńca, rodzinnego miasta Juliusza Słowackiego, Olegowi Kaskiwowi w interpretacji Koncertu skrzypcowego Mendelssohna, jednak nie tego sławnego e-moll, ale młodzieżowego d-moll, napisanego przez 13-letniego Feliksa i... zapomnianego potem na wiele lat. Dopiero w 1951 roku odnalazł go Yehudi Menuhin, a w następnym opublikował i pierwszy raz publicznie wykonał. Kaskiw grał go z nut (swoją drogą wspaniale), a więc jeszcze nie włączył do swego „żelaznego” repertuaru. I chyba słusznie. Jak stwierdził proroczco 40 lat temu biograf Mendelssohna – Wilfrid Blunt „Choć utwór ów jest znakomity, jak na dzieło trzynastoletniego chłopca, wątpliwe, czy zdoła się utrzymać w stałym repertuarze skrzypków.” Nic dodać, nic ująć.

Z nastroju „salonowego” Wirtuozii Lwowa przeszli do „melancholii” sławnej Serenady na orkiestrę smyczkową Czajkowskiego, z którą dobrze korespondował zaprezentowany na bis „numer popisowy” Wirtuozów – „Melodia” Myrosława Skoryka, czołowego kompozytora Ukrainy Zachodniej, wychowanka Polaka Adama Sołtysa, który wraz ze swoim ojcem Mieczysławem, także kompozytorem, pozostał po 1945 roku we Lwowie.

Precedensem, ponoć na skalę światową, był fakt, że Wirtuozii Lwowa (11 skrzypków, po troje altowiolistów i wiolonczelistów oraz kontrabasista) grali na instrumentach – na razie wypożyczonych – jednej firmy lutniczej Putsentelas Violin Studio z Morszyna, uzdrowiska u podnóża Karpat. Ta, poniekąd próbna, prezentacja okazała się całkiem udana i dźwięk owej jednolitej grupy smyczków brzmiał w akustyce potężnej mikołowskiej Bazyliki bardzo dobrze.

Na wieczór finałowy przybyła lady Camilla Panufnik, wdowa po Andrzeju Panufniku, którego setna rocznica urodzin przypada 24 września br. Narodowa Orkiestra Symfoniczna PR z Katowic wykonała pod dyr. Jerzego Maksymiuka dwie kompozycje Panufnika – Kołysankę z 1947 roku, oraz poemat „Harmony” z 1988, napisany dla uczczenia 25-lecia małżeństwa z Camillą Jessel.

Solistką wieczoru była znana bywalcom Dni Muzyki flecistka Jadwiga Kotnowska, która zaprezentowała fletową wersję sławnej Fantazji dla szlachcica Joaquina Rodriga. Grała pięknie, ale osobiście wolę gitarowy oryginał. Wieczór ten uwieńczyła NOSPR porywającym, aczkolwiek nie od pierwszej nuty (rzecz zaczynało... dwukrotnie) wykonaniem VIII Symfonii Beethovena.

Panufnika XXIV Dni uhonorowały, 150-lecie urodzin Ryszarda Straussa pominęły. Ale ta sama Narodowa Orkiestra Symfoniczna PR pod batutą swego szefa Alexandra Liebreicha zamknęła sezon (i równocześnie pożegnała się z dotychczasową salą w Centrum Kultury) rewelacyjnym wykonaniem, oczywiście w wersji koncertowej, „ociekającej krwią” opery tego kompozytora „Elektra”. Partię Klitemnstry śpiewała w tej prezentacji bohaterka festiwalu mikołowskiego Ewa Podleś. Przypomnijmy, że dawno temu Opera Śląska wystawiła aż trzy opery Ryszarda Straussa: „Arabelle” (1969 – polska prapremiera), „Kawalera srebrnej róży” (1970) i „Salome” (1978). I to w latach, kiedy sięganie po dorobek twórcy, który nie zdołał odciąć się zdecydowanie od nazistów, niekoniecznie musiało być przyjęte przychylnie przez decydentów. Jeśli dodamy do tego, że obszerną biografię niemieckiego kompozytora pióra Ernsta Krausego przełożył na polski katowicki muzykolog i krytyk Karol Bula, znany także z tekstów publikowanych na łamach „Śląska”, możemy się pochwalić, że w naszym regionie dorobek Ryszarda Straussa zawsze był doceniony.



Wirtuozii Lwowa. Na podium dyrygent Serhij Burko



Kamienica przy ulicy Gliwickiej 15 należy do piękniejszych na Załęskim Przedmieściu. Wyróżnia ją elewacja ze stylowym wykuszem i kilka płaskorzeźb z czerwono zabarwionego porfiru. Nad wysoką bramą czuwają dwa sokoly, urodą przypominające groźne ptaki starożytnych Scytów. Nieco wyżej, między oknami parteru, zawisł sporych rozmiarów medalion z wizerunkiem mężczyzny o mrocznym wyrazie twarzy. Marszczy czoło i przymyka powieki, jego skronie zdobią liście dębu. Powiadają, że to Zygfryd z „Pieśni o Nibelungach”. Kilka metrów dalej z porfirowego reliefu wynurza się smok, z groźnym, kolczastym ogonem, a tuż za wykuszem pierwszego piętra kamienna sowa prostuje skrzydła i rusza na wieczorne łowy. W najwyższą kondygnację, poniżej mansardy, wtuliła się loggia i szereg okien. Choć przykurzone i poszarzałe, wciąż wyglądają tak jak przed stu laty.

HENRYK
SZCZEPAŃSKI

Kamienica pod sokołami

Dawniej, dębowe drzwi tego domu, otwierał portier w liberii. Nad sienią, wysoko, pod sufitem, wisiała lampa elektryczna umocowana w spizowym żyrandolu. O zmroku jej światło wydobywało sztukaterie fantazyjnie wyprofilowanego sklepienia. Potem, już tak jak dzisiaj, wchodząc na półpiętro, otwierało się wahadłowe drzwi wiatrołapu i wspinało na 12 granitowych stopni aby stanąć przed szerokim oknem, którego obramowanie wypełniały czerwone, błękitne i zielone szkiełka witrażu, kolorową po-

świętą rozświetlającego wnętrze klatki schodowej.

Solidnie zbudowana kamienica stanowiła własność Wilhelma Briegera, mistrza budowlanego i właściciela firmy architektonicznej. Należała do najbardziej nowoczesnych w Katowicach. Tak jak większość Niemców, już od początku XX wieku, on także szykował się do wielkiej wojny. W kilku pomieszczeniach przyziemia zaprojektował schrony przeciwlotnicze. Od góry zabezpieczały je potężne żelazobetonowe stropy a skrzydła

drzwi i okien wykonane z masywnej kuloodpornej stali można było ryglować dodatkową zastawą betonową o grubości ponad 20 cm. U sufitu wisiały drewniane koje umożliwiające kwaterunek również nocą. W razie potrzeby schron mógł pełnić funkcję bunkra ze stanowiskiem Maschinengewehr czyli ciężkiego karabinu maszynowego (zwanego „Maximem”) i kilkusobową obsługą strzelecką.

Pięciokondygnacyjna budowla miała apartamenty z zapleczem dla pokojówki, spizarnią i służbówką, a u szczytu ku-

chennych schodów, na poddaszu, pralnię z wielkim kotłem do podgrzewania wody. Była wyposażona w gaz, kanalizację i centralne ogrzewanie. Lokatorzy Briegera mieli do dyspozycji łazienki wyłożone ozdobną glazurą a w nich porcelanowe wanny kąpielowe i bidety. W pokojach i salonach ogrzewanych kaloryferami wciąż były czynne bogato zdobione piece o pięknych kaflach z reliefami w secesyjnym stylu – uroczę pamiętki z początku ubiegłego stulecia. W 1908 roku, ten dom był jednym z najbardziej komfortowych spośród kilkunastu wybudowanych przez Briegera w Katowicach.

W 1914 roku dobiegający już pięćdziesiątki budowniczy, w dwupiętrowym hinterhausie bliźniaczego budynku, leżącego tuż za ścianą pod numerem 17, otworzył Biuro i atelier budowlano-projektowe. Tam w rok później nagle zmarł na zawał serca.

W okresie międzywojennym na podwórzu zajeżdżały wiejskie zaprzęgi i chłopi z sumiastymi wąsami. Załatwiali interesy w wojewódzkim zarządzie Śląskiego Związku Kółek Rolniczych, który biura miał w dawnym atelier Briegera. W głębi, za obszernym dziedzińcem wznosiły się budynki Zakładów Graficznych i Wydawniczych „Polonia”. Przeszły do historii jako prasowe imperium Wojciecha Korfanteo i bastion Chrześcijańskiej Demokracji. Stamtąd, każdego dnia o świcie wyjeżdżały furgonetki z tysiącami egzemplarzy dzienników i tygodników kolportowanych na Śląsku, w Zagłębiu a także w Warszawie, Pradze, Wiedniu i Berlinie.

Apartament na III piętrze

W kamienicy Briegera Czaplowie z dwójką synów: starszym Marianem, wtedy studentem prawa, i młodszym Witoldem, uczniem katowickiego gimnazjum, zamieszkali zimą 1922 r. Tutaj, ich synowie wkraczali w wiek męski. Marian w roku 1925 został absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a jego młodszy brat Witold w tym samym roku uzyskał maturę. Potem studiował na Akademii Medycznej w Poznaniu i w 1937 r. zdobył dyplom lekarza.

Gdy mecenas Kazimierz Czapla wprowadził się do kamienicy na Załęskim Przedmieściu, miał za sobą 52. urodziny. Do historii przeszedł jako adwokat, notariusz, bytomski podkomisarz Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu, patronujący narodzinom Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska i sprawujący nad nią polityczne zwierzchnictwo, ponadto jako polski rządowy Komisarz do spraw Uchodźców ze Śląska, wreszcie – jako pierwszy dziekan Śląskiej Izby Adwokackiej w odrodzonej Polsce.

Już na kilka tygodni przed wybuchem I wojny światowej znalazł się na liście osób szczególnie niebezpiecznych dla państwa niemieckiego, do internowania wyznaczonych w pierwszej ko-

lejności. W czasie weltkriegu był organizatorem tajnych komitetów obywatelskich skupiających rodaków z Górnego Śląska. Nazajutrz po kapitulacji Rzeszy, w Bytomiu powołał do życia Radę Ludową – pionierski oficjalny i niezależny organ samorządowy, strzegący polskich interesów narodowościowych. Rozpoczęła działalność 12 listopada 1918 r. Jego inicjatywa zainspirowała Polaków zamieszkujących Śląsk, Wielkopolskę i Pomorze. W 1922 r. gdy Bytom znalazł się po niemieckiej stronie podzielonego Śląska musiał przenieść się do polskich Katowic, gdzie pracował jako adwokat, notariusz i radca prawny.

Kancelarię miał przy ulicy Warszawskiej a jego salony przy Gliwickiej były domem otwartym dla przyjaciół i dobrych znajomych. O doskonały nastrój gości po mistrzowsku potrafiła zadbać Maria Czaplina, jego uroczą małżonka, hrabianka rodem z Wielkopolski, wychowanka renomowanej pensji w Paryżu. Kazimierz był duszą towarzystwa, żartował, opowiadał anegdoty i śpiewał dźwięcznym tenorem. Ich livingroom – w zależności od potrzeb – dzieliły na dwie części lub łączyły w jedną całość rozsuwane, dębowe drzwi. W centralnym miejscu umieścili portret protoplasty rodu – imię Franciszka Czapli, a obok, węglem malowany, portret pana Kazimierza. Niemal całą ścianę wysokiego na przeszło 3 metry pomieszczenia zajmowała wielka, wieloelementowa szafa gdańska, naprzeciw niej godziny i kwadransy regularnie wydzwaniał ponad stuletni zegar, który wcześniej odmierzał czas w rodzinnym domu dziadków i pradiadków, od pokoleń mieszkających w Chełmnie nad Wisłą przy ujściu Fryby.

Bliskim znajomym Kazimierza był legendarny Ludwik Solski – pierwsza gwiazda polskich scen teatralnych w czasach belle époque i Młodej Polski. Poznali się na początku lat 90. XIX stulecia, gdy Solskiego najgłośniejszo oklaskiwano jako groteskowego Chudogębę w „Wieczorze Trzech Króli”. Kazik był wtedy studentem wydziału prawa uniwersytetu we Wrocławiu i od czasu do czasu robił wypad do Krakowa, aby tam – u źródła, wśród patriotycznych relikwii i w rozmowach z rodakami – krzepić polskiego ducha.

Najstarszą pamiętką mówiącą o tej znajomości, która przetrwała dziesięciolecia, jest gabinetowego formatu zdjęcie Ludwika z roku 1892. Dedykując je młodemu wielbicielowi swego talentu, na odwrocie własnoręcznie napisał: „Panu Kazimierzowi Czapli na pamiętkę miłych w Jego towarzystwie spędzonych chwil przesyła Ludwik Sosnowski Solski art. dram. Kraków we wrześniu 1892”.

Solski osobiście odwiedził Czapłów w ich mieszkaniu na trzecim piętrze. Było to w ostatnich dniach czerwca 1924 r. Artysta pełnił wtedy obowiązki dyrektora warszawskiego teatru „Rozmaitości”. Nad Rawę przyjechał, aby na deskach tuższego „Teatru Polskiego” gościnnie wyreżyserować „Wielkiego Fryderyka” Adolfa Nowaczyńskiego i zagrać w tej

sztuce tytułową rolę. Wspólnie z katowickimi aktorami dał pięć przedstawień. Premiera odbyła się 26 czerwca. Czaplowie oklaskiwali ulubieńca w towarzystwie synów, Mariana i Witolda, a także najbliższych przyjaciół miłośników Melpomeny – lekarza i filantropa dr. Bogusława Parczewskiego, wieloletniego prezesa Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, oraz adwokata Stanisława Kobylińskiego, który jakiś czas potem został wybrany na wiceprezesa zarządu Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach.

W katowickim salonie Kazimierz i Maria przyjmowali wielu przyjaciół z dawnych, bytomskich, a nawet jeszcze dawniejszych, chełmińskich czasów. Najserdecznym wśród nich pozostawał Boguś Parczewski, dawny kolega szkolny, który tak jak oni, z Bytomia przeprowadził się do Katowic i na Teatralnej otworzył gabinet ginekologiczno-położniczy.

W bawialni i gabinecie, zawsze z honorami – najpierw jako prałata, a potem jako biskupa ordynariusza – podejmowali ks. Stanisława Adamskiego. Odwiedzał ich także przed rokiem 1930, gdy był jeszcze kanonikiem poznańskiej kapituły i od czasu do czasu znad Warty wybierał się nad Rawę aby pogwarzyć z przyjaciółmi.

– Babcia wspominała, że jego ekscelencja lubił smacznie podjadać i zawsze na jego przybycie szykowała jakieś nadzwyczajne frykasy – wspomina wnuczka Marii i Kazimierza, pani Barbara Matuszek.

Adwokat i senator RP Stanisław Kobyliński miał kamienicę przy biegnącej tuż za rogiem ulicy Sobieskiego. Zachodził do sąsiadów z żoną i córką Magdaleną. Przyjacielem domu był dr Józef Potyka, popularny działacz chadecki i społecznik. Zaglądali do Czapłów duchowni: ks. Aleksander Skowroński, ks. Brandys i wielu innych luminarzy życia publicznego ówczesnych Katowic. Bywał tu Wojciech Korfanty, wstępował Edward Rybarz. Nie zdarzyło się, aby przyszli tu w tym samym czasie. Prawie śmiertelnie poróżnili się już wkrótce po plebiscycie. Pamiętliwy Wojciech wciąż uznawał Rybarza za persona non grata i przeciwnika politycznego. Tylko Kazimierz trwał z dala od tych nienawiści.

W uroczystościach rodzinnych uczestniczył Tadeusz Czapla, młodszy brat Kazimierza, który wówczas mieszkał w Tarnowskich Górach, gdzie był dyrektorem Spółki Brackiej. Z Chełmna przyjeżdżała ich siostra Irena Gościcka, a z nią – jej mąż i dzieci. Najrzadziej zaglądał najmłodszy z trzech synów Franciszka Czapli, ks. kanonik Brunon Czapla, który wtedy był proboszczem w Subkowach pod Tazewem.

W 1930 r. Kazimierz Czapla zmarł na zawał serca. Do trumny z jego ciałem, wystawionej w salonie, przybywały dziesiątki znanych osobistości. Żegnali zmarłego i składali kondolencje rodzinie. Otaczała go powszechna sympatia i szacunek. Z tego miejsca 9 października 1930 r., w uroczystym orszaku, zmar-

lego przewieziono do katowickiej protokatedry, a później do grobowca na cmentarzu przy ulicy Gliwickiej 32.

W 7 lat później, owdowiła pani Czaplina i jej dwaj synowie ukończyli budowę własnej willi w Brynowie. Niebawem tam się przeprowadzili.

Apartament na II piętrze

Przed wybuchem I wojny światowej u Briegera wynajmował lokal dr Paul Geisenheimer, wtedy jeszcze asesor górniczy i czołowy działacz hakatystów górnośląskich. Mieszkał tu do 1916 roku, kiedy to został awansowany na stanowisko dyrektora Kattowitzer Berg-Und Hüttenmannischer Verein (Górnośląskiego Związku Przemysłowców Górniczo-Hutniczych) i przeprowadził się do Pałacu Goldsteinów przy dzisiejszym placu Wolności.

W okresie międzywojennym ten lokal wynajmował Zygmunt Inwald, jeden z założycieli spółki akcyjnej „Śląski Przemysł Cynkowy – Schlesische Zinkindustrie S.A.” zawiązanej w 1931 roku. W Katowicach, przy ulicy Gliwickiej 15 miała biura a w księgach adresowych występowała pod nazwami: Fabryka „Sendzinski” albo „Sendzimir proc. Lim”. Do niej należały hale produkcyjne w Kostuchnie pod Katowicami. Przedmiotem jej działalności było: „prowadzenie ocynkowni, fabrykacji towarów blaszanych i wszystkich z prowadzeniem takiego przemysłu związanych i pokrewnych interesów, jak również handel takimi towarami.”

W 1931 roku, Inwald, znany wówczas potentat w branży chemicznej i metalurgicznej, dyrektor walcowni i galwanizerni zatrudnił u siebie genialnego metalurga inż. Tadeusza Sędzimir. Obok niego uczestniczył w pierwszych próbach i uruchomieniu historycznego procesu technologicznego, w 3 lata później podziwianego przez prezydenta Mościckiego, który na widok nowoczesnej hali produkcyjnej z niemal bezszelestnie pracującymi walcarkami, zawołał: „To nie walcownia, to sanatorium!”. Sędzimir dla Inwalda pracował do 1935 r. Dzięki niemu, Fabryka znana jako „Śląski Przemysł Cynkowy” zdobyła renomę w sferach przemysłowych i handlowych najbogatszych państw świata. W jej „ocynkowni” została uruchomiona pierwsza na świecie linia ciągłego walcowania na zimno w klatkach wielowalcowych – do niespotykanych wcześniej minimalnych grubości – a także odkrywczego powlekania blach stalowych cynkiem – na skalę przemysłową. Pierwsze partie sędzimirowskiej blachy Inwald sprzedał na pokrycie dachów – najpierw Sukiennic w Krakowie a potem kurii biskupiej w Wilnie. Kolejne przesyłki wyeksportował do Szwajcarii, na zamówienie dekarzy z Zurychu. Jego blacha z etykietą „Królewska” dobrze się sprzedawała na kresach Rzeczypospolitej w: Stanisławowie, Lwowie, Czortkowie, Kołomyi i Kopyczyńcach.

W latach 1931-1935, na II piętrze kamienicy „Pod sokołami”, gdzie znajdowały się biura firmy „Sendzinski”, inż. Sędzimir, coraz większą sławą cieszący się wynalazca, spędzał sporo czasu na rozmowach z akcjonariuszami spółki albo na dyskusjach o udoskonalaniu swoich technologii. W dużym salonie z rozsuwanymi drzwiami odbywały się bankiety, rauty, narady i negocjacje handlowe a w gabinetach przyjmowano gości reprezentujących potentatów światowego rynku blachy i wyrobów metalurgicznych. Byli wśród nich kontrahenci z Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii i z Ameryki. Dyrektor Inwald miał swój gabinet w saloniku z oknem nad grzynszpanową półkopułą wykusza.

W pierwszych dniach okupacji, biznesmenowi udało się wyjechać za granicę i uniknąć holokaustu. Zamieszkał w Szwajcarii a potem w Australii i tam zmarł w 1954 r. Jego jedyny syn Anatol, jako żołnierz Armii Krajowej, walczył i zginął w powstaniu warszawskim.

Firma przetrwała II wojnę światową. W 1949 roku minister przemysłu ciężkiego ustanowił dla niej zarząd przymusowy a w jakiś czas później została upaństwowiona.

Apartament na I piętrze

Fasadę kamienicy „Pod sokołami” wyróżnia nie tylko kolekcja secesyjnych płaskorzeźb ale także subtelna kolorystyka elewacji utrzymana w pastelowych barwach. W dolnej partii, aż do wysokości pierwszego piętra, została obłożona różowymi, szorstko ociosanymi płytkami imitującymi monumentalny cokół a powyżej aż do poddasza, rozjaśnia ją gładka, klinkierowa okładzina w kremowym odcieniu. Cebulasty wykusz przypominający wielkiego żuka wspinającego się po ścianie – wieńczy pokryta grzynszpanową patyną półkopuła wsparta na groteskowych reliefach wyobrażających gniazdko – jedno z wiewiórką chrupiącą orzeszki a drugie z gromadką piskląt otwierających dzioby. Wiewiórka i ptaszki znajdują się tuż nad szerokim weneckim oknem należącym do belétage. Cała kompozycja jest swego rodzaju alegorią wyrażającą męzowską i ojcowską wdzięczność Wilhelma Briegera wobec żony Anny, która urodziła mu troje dzieci.

Pochodziła z katolickiej rodziny Jendrosków. Mieszkała tutaj, do 1936 roku. Potem ostatnie dwa domy kupił od niej żydowski kupiec Szapiro Berliner z Berlina. Przez 21 lat była wdową po ewangeliku Wilhelmie, budowniczym tej kamienicy, w której dorastały ich najmłodsze pociechy – Kurt i Eleonora – po zamążpójściu Anders. Czasem odwiedzał ich Eryk Brieger, syn Wilhelma z pierwszego małżeństwa, w latach 1917-1927 prowadzący własną firmę budowlaną przy ulicy Andrzeja 14.

Jedną ze służących pani Briegerowej była Gertruda Mendra. Za pracę przywę-

drowała z Małopolski. Była dziewczyną o bujnej urodzie i fryzurze, najstarszą spośród dziesięciorga dzieci wiejskiego gospodarza spod Jaworzna. Miała swój pokój w oficynie na I piętrze, tuż za kuchnią i wyjściem na kuchenne schody. Do jej obowiązków należało pranie, sprzątanie, zakupy na targowisku i pomoc w pracach kuchennych. Chwaliła dobroć swojej chlebobawczyni i pracowitość jej męża.

Apartament na wysokim parterze

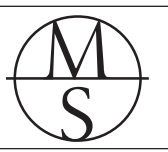
W 1908 roku, pierwszą lokatorką tego mieszkania została Marianna Grünfeld, wówczas już wdowa po Jakubie, słynnym żydowskim restauratorze z Załęża, właścicielu popularnego również wśród katowiczów „Ogrodu pod kasztanami” przez Niemców nazywanego „Grünfeldsgarten”. Jej mąż Jakub był rodzonym bratem Ignaca, najślynniejszego spośród katowickich budowniczych XIX wieku. O szwagierce swego dziadka, jej rodzinie i restauracji, która pamiętała jeszcze czasy arendy pradziadka Peretza Sachsa, pisze dr Walter Grünfeld wnuk Ignaca, we wspomnieniach zatytułowanych „Rückblicke”.

W sąsiedniej kamienicy pod numerem 13, na parterze, w podobnym, równie obszernym apartamencie, dosłownie tuż za ścianą, zamieszkała panna Jenny Grünfeld, córka Marianny i Jakuba. O wygody rodzicielki troszczyła się do ostatnich dni jej życia. Mieszkała tam aż do 1939 roku. Zawsze energiczna i przedsiębiorcza, do końca pozostała osobą niezamężną.

Marianna zmarła w 1911 r.

W okresie międzywojennym apartament wynajmował Leopold Hartwig, który w przyziemiu prowadził sklep spożywczy a w latach 30. ulokował się tutaj tajemniczy i ekstrawagancki inż. Jerzy Pobóg-Krasnodębski, z zawodu chemik-biznesmen prowadzący Centralne biuro karbidowe, oferujące produkt niezbędny do lamp acetylenowych, potocznie zwanych karbidówkami i wtedy znajdujący szerokie zastosowanie w spawalnictwie.

Był jednym z założycieli paramasońskiego „Rotary Club”, któremu przewodniczył senator Jan Jakub Kowalczyk, legendarny redaktor „Górnoślązaka” oraz wiceprezesa w osobach: dr. Henryka Jarczyka i hrabiego Witolda Sągajło z Sosnowca. Klubowym sekretarzem został adwokat Kazimierz Zienkiewicz a w zarządzie znaleźli się: baron Józef Dangel, dyrektor handlowy SA „Huta Pokój” oraz inż. Marian Bogdanowicz, dyrektor Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych. Rotarianinem był także znany architekt inż. Tadeusz Michejda. Raz w tygodniu konferowali w restauracji hotelu „Savoy” przy ulicy Mariackiej. W dobrym tonie było organizowanie przyjęć w prywatnych salonach klubowej elity, do czego znakomicie nadawał się obszerny apartament na parterze kamienicy Briegera.



Olga Boznańska

Idę ulicą w Krakowie i nagle sobie uświadamiam – to tu. Tu był dom i pracownia Olgi Boznańskiej. Ulica Piłsudskiego, dawniej Wolska. Ganek, szmaty, rowerek. Na ścianach brązy, ugry, rude przechodzi w zgaszony oranż. Barwy zupełnie jak z jej obrazów. I oszklona ściana dzielona na kratki – pracownia na ostatnim piętrze. Człowiek dziwi się zawsze w takim miejscu. Jak to? Żadnego znaku, informacji, tablicy: TU MIESZKAŁA I TWORZYŁA OLGA BOZNAŃSKA, czynne 11.00 – 18.00 oprócz poniedziałków. Chodzą ludzie, wsiadają do tramwaju i nikt, nic?

To było wiele lat temu. Nie wiem jak jest teraz, podobno krakowska ASP coś tam organizuje. Ale spłowiałość, zaułkowość, skromność tego miejsca pasuje do Boznańskiej. I może dobrze, że nikt nie wie, oprócz kilku wtajemniczonych.

W Muzeum Śląskim mamy cztery obrazy: „**Portret dwóch dziewczynek**” (1896). Dziewczynki podobne do siebie (chyba siostry) mądre, zamysłone. Wylaniają się z ciemnego tła. Wszystkie w jednej kasztanowej gamie, która przechodzi w głęboką zieleń i czerń. Boznańska lubiła typy rude, tę charakterystyczną jasną, delikatną karnację, która stanowiła kontrast dla ciemnych źrenic. Takiej urody są te siostry, które muszą sobie radzić w trudnym świecie.

Kwintesencję krakowskiej aury możemy odnaleźć w „**Portrecie Heleny Chmielarzykowej**” z 1909. Nawet roślinna makata w tle, ledwie zaznaczona, jest typowo galicyjska. Matrona siedzi, pozuje sztywno, złożyła pulchne dłonie. A za oknem, którego nie widzimy, pierwsze delikatne promienie wiosennego słońca, słychać stukot dorożkarskich kopyt i jest już dłuższy dzień.

Jak tylko Boznańska złapała najważniejszą cechę portretowanej osoby, charakteryzującą ją w największym możliwym skrócie (ten typowy jedyny wyraz danej postaci) oraz uchwyciła właściwą harmonię barw, to nie musiała już malować dalej. Zamierzona niedbałość tła. Ważne są oczy modela, na nich mamy się skupić od razu. Z wyrazu twarzy „**Pani w białym kapeluszu**” (1906) można wysnuć powieść. Jest zdecydowana, namiętna i niezależna. Lekki uśmiech tylko pozornie jest zawstydzeniem. Oczy mówią co innego – znam swoją wartość.

„**Portret rzeźbiarza Jana Szczepkowskiego**” (około 1906). Artysta wpatruje się w nas, ale jest zupełnie nieobecny, myśli o swojej robocie. Muśnięcie tła kilkoma pociągnięciami, z pozostawieniem podobrazia jest właściwym zamknięciem dzieła. To jest magia Boznańskiej. Ona wiedziała, kiedy skończyć.

Boznańskiej nie można pomylić z nikim innym, choć naśladowców było wielu. Pamiętam portrety rektorskie z różnych uczelni malowane miękko w jej manierze. Żadymione sale, grube popielniczki załamujące światło i te obrazy.

Ale Boznańska była jedna.

Już od początku wiedziała kim będzie. Warto zobaczyć jej dziecinne obrazy z klockowatymi domkami i pięknie, bogato malowanym niebem.

MALARSTWO i nic więcej. „Jestem szczęśliwa tylko wtedy, gdy maluję”.

Uczyła się w Monachium. Wtedy w drugiej połowie XIX w. uważano, że jest to centrum malarstwa europejskiego. Bardzo szybko zorientowała się, że uczyć się słabsi od niej. Inna. Jakby w te sosy monachijskie wpuścić światło. Przyćmione, wpadające przez brudną szybę – ale światło. Mieszkania krakowskie dawały taką stumioną aurę. Wiem coś o tym, bo sam mieszkalem w Krakowie i cała moja rodzina jest z tego galicyjskiego kręgu. I w tych zagraconych mieszkaniach były takie zagmatwane uczucia i lęki jak



Olga Boznańska, *Portret dwóch dziewczynek*, 1896 r.

w słynnej „Dziewczyńce z chryzantemami” z krakowskiego Muzeum Narodowego. Dziewczynka wpatruje się w nas, nie jest wesoła i trapi ją dorosły smutek. A ściana za nią to poemat malarski. Dla kompozycji, dla naszej rozkoszy patrzenia cień ścięty na ukos.

Boznańska dobrze wyczuwała tę atmosferę krakowską („Tu wszyscy muszą się martwić”) i uciekała od niej całe życie – po prostu. Mogą być tylko przebłyksi euforii. Przebłyksi w trakcie tworzenia, albo oglądania obrazów.

Boznańska zachwyca. Muszę to powiedzieć. Co zrobić, kiedy zachwyca? To nie tricki malarskie, choć błyszczą oczka i nosy. To rozwiązania malarskie tak trafione, że można podziwiać godzinami.

Fenomen tych obrazów dobrze ujął w eseju pt. „Siostra Prousta” Paweł Taranczewski: psycho-

logia portretowanych postaci wynika z rozstrzygnięć malarskich. Najpierw jest problem artystyczny – zestawienia barw, a z niego jakby mimochodem wylania się prawda o portretowanym.

W późnych portretach postaci ledwie odróżniają się od ciemnych wnętrza. Zupełnie tak, jakby widzieć kogoś (albo ktoś widział się sam!) w zniszczonym lustrze, którego rysy i przebarwienia mają walor malarski.

Napisałem – można oglądać godzinami. Ale właściwie nie. Patrzyć przez chwilę i próbować zatrzymać w sobie. Pracownie Boznańskiej były ponure, zagracone i ciemne. I paryska i krakowska. Ale wpadało światło przez zakurzone szyby, Olga rzuciła się do pracy i malowała okno, kwiatek, fotel. Może w tym siła, może ma wielką siłę – właśnie dlatego, że chwilowe – to światło wpadające przez kratkowane okno, i trzeba je zapamiętać, bo smutek przyjdzie i tak.

Na wymodlonej wojnie

Dziś nikt już nie wie, kim byli w cywilu strzelcy armii austriackiej Otokar Kasalicky i Stanislaus Madej należący do Czerwonego Krzyża. Jak potoczyły się ich losy po zakończeniu wojny? Wiadomo natomiast, że niemiecki sierżant pilot Konrad Kraus poległ na froncie włoskim 18 października 1918 roku. Zostały po nim jedynie zdjęcia, odznaka lotnicza i medal za odwagę i zasługi wojskowe. Z kolei Stanisław Kłakus, mieszkaniec Katowic wcielony do niemieckiego wojska, trafiony odłamkiem artyleryjskim w bitwie pod Sommą w 1916 roku, za udział w akcji otrzymał odznakę „za rany i kontuzje” oraz Krzyż Żelazny. Jego ocalałe odznaczenia wraz z odłamkiem pocisku, który go zranił, można było oglądać – podobnie jak pamiątki po innych żołnierzach – w Muzeum Górnos Śląskim w Bytomiu na wystawie „I wojna światowa i czyn Legionów. Symbole męstwa i chwały”.

Bojowe perypetie wspomnianych wojaków przypominają, jak bardzo krwawą była I wojna światowa (1914–1918), w której zginęło 2,9 mln żołnierzy polskiego pochodzenia. W armii austro-węgierskiej poległo ich 530 tysięcy. Za cara zginęło 220 tysięcy i 110 tysięcy w wojsku niemieckim. Liczne ekspozyty, zgromadzone w bytomskiej placówce muzealnej, oddające grozę wojny to jednak przede wszystkim gorące świadectwa rozbudzenia w owym czasie w Polakach, walczących w obcych mundurach, nadziei na zrzućcenie okowów zaborczej niewoli. Niewątpliwie najsilniejszym przejawem chęci wybicia się na niepodległość był czyn zbrojny legionistów. Dlatego nie dziwi to, że na wystawie zorganizowanej z okazji setnej rocznicy wybuchu wymodlonej przez Polaków Wojny Powszechnej, najbardziej wyeksponowane zostały właśnie pamiątki pozostałe po Naczelnym Komitecie Narodowym i I. Kompanii Kadrowej Legionów Polskich. I trzeba przyznać, że Wojciech Moś, kurator ekspozycji, zgromadził w jednym miejscu niezwykle ciekawe zdjęcia, obrazki, dokumenty i przedmioty udostępnione między innymi przez Muzeum Miejskie Wrocławia Oddział Arsenał, Muzeum Wojska Polskiego z Warszawy i osoby prywatne.

Najwięcej miejsca w muzealnych salach zajęło kilkadziesiąt obrazów z namalowanymi przez legionistów w warunkach

polowych – głównie ołówkami i kredkami – wizerunkami wodzów niepodległościowego czynu, którzy odegrali później tak niebagatelną rolę w dziejach międzywojennej Rzeczypospolitej: Józefa Piłsudskiego, Edwarda Rydza-Smigłego, Kazimierza Sosnkowskiego, Józefa Hallera. Spośród fizjonomii – utrwalonych także na malunkach – zwykłych piechurów i ułanów szczególnie wzrok przyciągały portrety legionowych oficerów, dwa autorstwa Jana Rembowskiego z lat 1917–1918 z podobiznami podporucznika Czesława Makowskiego i chorążego Andrzeja Teslara oraz jeden porucznika Bolesława Huberta namalowany w Piotrkowie w 1915 roku przez Karola Zygmunta Maszkowskiego. Tę wizualną część ekspozycji uzupełniły liczne propagandowe karty pocztowe, będące niekiedy cegiełkami sprzedawanymi w akcjach finansowego wspomagania legionów. Nieco kiczowate, z obrazkami wojska idącego w bój czy ze scenami pożegnań żołnierzy z rodziną, mimo to łapiące za serce, jak chociażby widokówka ułana rozstającego się z ukochaną, opatrzona wierszykiem:

Żegnaj! Niedługo wrócę znów
Już koń po błoni
Rzy – trąbka dzwoni...
– A jeśli padnę, pacierz zmów!

Doskonałym uzupełnieniem sentymentalnych malunków i strof były autentyczne dokumenty, przedstawiające mniej heroiczną rzeczywistość legionowej służby. Świadectwo Komendy Legionów Polskich z oceną celującą wystawione 1 maja 1916 roku w Legionowie dla absolwenta Szkoły Chorążych Legionów Polskich Wincentego Litwinowicza, którego przełożeni zachwalali jako „inteligentnego, solidnego, spokojnego i poważnego” podoficera. Nieco kuriozalne świadectwo Komendy Taborowej Legionów Polskich dla patrolowego Michała Króla, który ukończył 25 marca 1917 roku z oceną bardzo dobrą sześciotygodniowy kurs w Szkole Podkuwaczy – oczywiście zaprzęgowych koni i ułańskich wierzchowców. Całości dokumentalnej dopełniają legitymacje żołnierskie i książeczki zawierające wojskowe regulaminy, modlitewniki czy instrukcje walk na bagnety. O ile sporo wystawionych było w dziale legionowym pamiątek papie-

rowych, to niewiele znalazło się w nim odznaczeń (zastąpiły je artystyczne medale i metalowe plakiety) oraz broni używanej przez legionistów. Uzbrojenie reprezentował zaledwie jeden bagnet austriacki wzór 1867 r. do karabinu Werndi stosowany w formacjach legionowych w 1914 roku.

Nie zabrakło natomiast broni długiej i krótkiej oraz siecznej, w którą wyposażeni byli żołnierze innych narodowości walczących w I wojnie światowej. Oryginalne, wyprodukowane jeszcze według wzorów z końca XIX wieku, niemieckie karabiny Mauser i Mannlicher, rosyjskie marki Mosin, francuskie Berthier a nawet japoński Arisake Meiji wyglądały na wystawie jak nowe. Jak gotowe do użycia były też pistolety parabelum, colt, brownning, mauser, ruby i nagant. Nie zabrakło szabel, bagnatów, kindżałów i okopowych noży. Osobiste uzbrojenie ówczesnych żołnierzy nosiło jeszcze wyraźne znamiona ubiegłego wieku, natomiast zabrakło w muzeum – co zrozumiałe ze względu na rozmiar – nowoczesnej dwudziestowiecznej broni, wprowadzonych wówczas po raz pierwszy na pole walki czołgów, samolotów, karabinów maszynowych. Rzucił się w oczy brak w muzeum choćby jednej maski przeciwgazowej, wszakże masowo zastosowano w tamtej wojnie gazy bojowe.

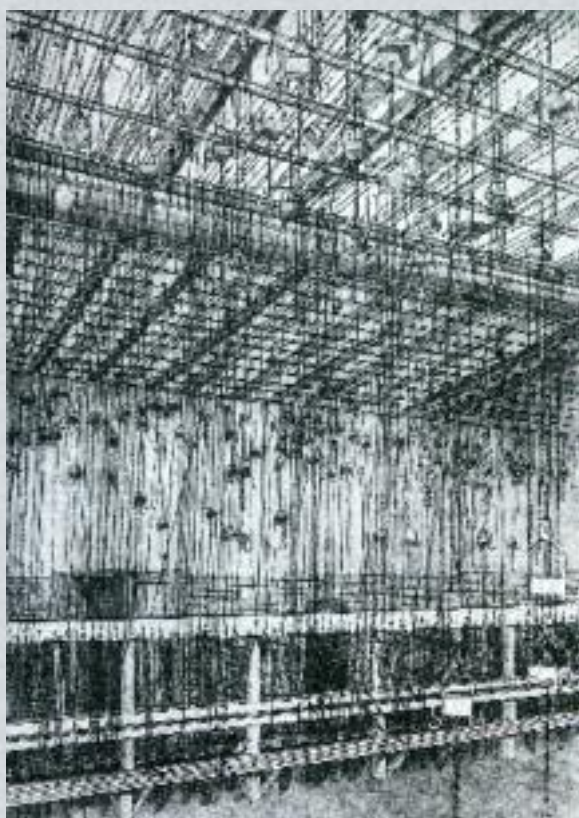
Jak bardzo odróżniali się od siebie w okopach żołnierze walczących armii świadczyła nie tylko broń ale i umundurowanie, co uświadomiły zgromadzone w przeszklonych muzealnych gablotach repliki wojskowych kurtek amerykańskich, angielskich, austriackich, francuskich, niemieckich, rosyjskich, a także hełmy o odmiennym kształcie. Inaczej też nazywały się i wyglądały medale i odznaczenia nadawane żołnierzom za bohaterką postawę. Żelazny Krzyż przyznawano w armii niemieckiej, Order Świętego Jerzego w rosyjskiej, Cesarski Order Żelaznej Korony w austro-węgierskiej. Nie zabrakło tych wysokich i pomniejszych odznaczeń na bytomskiej wystawie. Na pewno wspaniałym dopełnieniem ekspozycji była powieszona na ścianie olbrzymia mapa ukazująca wykresy działań wojennych w Europie i na świecie.



Muzeum Górnośląskie w Bytomiu
**I wojna światowa
i czyn Legionów**



PRACA 2013 ROKU



Weronika Siupka Łaźnia – akwaforta



Związek Polskich Artystów Plastyków
Okręg w Katowicach



Małgorzata Małek W zbożu – olej, płótno



Halina Tymusz Kabaret – olej, płótno



Ewa Zawadzka Materia ciszy 27 – olej, płótno

Pisanie o tegorocznej edycji konkursu „Praca Roku” rozpoczne nietypowo: od tego, czego mi zal, co zostalo zauwazone, a nie zdo-lalo przedostac sie do puli nagrod. Wyjatkowo spora liczba (55) nadeslanych prac ukazala roznorodnosc postaw tworczych slaskiego (katowickiego) srodowiska plastycznego. Baczne oko znakomitych jurorow: malarzy prof. Stanislawy Tabisza rektora krakowskiej ASP i prof. Antoniego Cygana rektora katowickiej ASP, grafika prof. Mariusza Pal-ki – tez z katowickiej ASP, znakomitego rzezbiarza Zyg-
nunta Brachmańskiego oraz grafika i malarza Adama Dutkiewi-
cza – prezesa Okregu ZPAP – wylo-wilo najlepsze dwa obrazy malarskie: Magdaleny Malek „Z zbozu” i Ewy Za-wadzkiej „Materie ciszy 37” i jedna grafike – „Laznie” Weroniki Siupki. Przyznano tez – po raz pierwszy – dodatkowe Honorowe Wyznienie Rektorow Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Otrzymała je Halina Ty-musz za obraz „Kabaret” Ale o nich za chwile.

Nagrodzone prace to swego rodzaju elita wystawy. Ale, co trzeba miec na uwadze, wyloniona z określonej grupy, za zgoda wszystkich oceniaja-
cych. Pozostaja wiec na uboczu tej decyzji osobiste upodobania, ale nie przekonujace na tyle, by zyskac akcep-tacje gremium jurorow. Wszystkie one stanowią entourage dla elity, jej tlo. Cho-
ciaz kilka spozród nich z pewnoscia tą elitą tez moglo by byc. Ale zasady kon-kursu sa jednoznaczne. Dlatego warto pochylic sie nad niektórymi „przegra-
nymi”.

Dla mnie byla to praca – instalacja graficzna Krzysztofa Kuli „Panta Rei 37”. Przypominala trzy krzyze Golgoty, oczekujace na kolejnych lo-trów. U ich stop porzucone przedmio-ty przywo-lujace na mysl czujacy codzien-nosc. Wszystko to oplecione, owinięte obrazami graficznymi, wymagajacy-mi szczegolowego ogladu. Jest w tej in-stalacji jakis cichy dramat, jakies wo-lanie o uwage. Czarno-biale grafiki naniesione na drewniane konstrukcje da-ja ascetyczny obraz naszego „dzisiaj”. Niezwykle intrygujace dzieło, ale bar-dzo skromne, nie absorbujace kolorem, rozmachem, nie swiadczone o znakomitym warsztacie artysty. „Panta Rei 37” jest przemyśleniem, refleksją, próbą dia-logu z rzeczywistoscia.

I dwie kolejne „przegrane” prace: Agaty Sobczyk „To byla Baildona” i Izabeli Kity obraz z cyklu „Robotki ręczone” zatytułowany „Koronkowy nokturn”. Coś łączy te prace – to śla-



Laureatki „Pracy roku 2013” (od lewej): Weronika Siupka, Małgorzata Malek i Ewa Zawadzka z prezesem ZPZP Adamem Dutkiewiczem i komisa-rzem konkursu Teresą Bryning – Kalinowską (druga z prawej).

Foto: Arkadiusz Lawrywianiec

Grand Prix konkursu uzy-skala zwiewna, ulotna, peł-na koloru i subtelnosci roz-malowana „polna”, pełna słońca praca Małgorzaty Malek. Kolejne nagrody tra-fily do Ewy Zawadzkiej (Nagroda Prezydenta Miasta Katowice) – do niedawna wyłącznie graficznej, teraz poszukującej adekwatności swoich artystycznych prze-myśleń w malarstwie, ale zachowującej wypracowaną przez lata geometryczność obiektów, przenikające je perfekcyjne światło, zde-cydowana konstrukcja cało-ści, nadal przywodząca na myśl betonowe (mimo koloru) szare bloki, za któ-

rymi tli się nadzieja, a w szczelinach toczy się zwyczajne życie, którego światło jest jedyną oznaką. To nie jest nostalgiczny Śląsk – to twarda, ćwi-czona przez lata codzienność.

I wreszcie grafika Weroniki Siupki (Nagroda Prezesa ZPAP Okręg Katowice) – od lat podziwianej przeze mnie ar-tystki, od jej pierwszych cerkwii z ogromnymi dachami (takich w stylu łódek i statków Hendermandera), led-wie widocznych w tym masywie ikon i... nie z tej ziemi kóz ze złotymi roga-mi. A potem nadszedł czas „industrial-ny” – bodaj najciekawszy u tej młodej artystki, ale będący konsekwentnie wy-prowadzony z tamtych doświadczeń. Gont przykrywający cerkiew przerodził się w stalowe, precyzyjne konstrukcje opuszczonych hal hutniczych, siłowni, szybów, w pionowo wiszący las łańcu-chów w kopalnianej łaźni. Opustosza-łe miejsca – jak te podlaskie cerkwie, ni-by niepotrzebne, nieużyteczne, a jednak oczekujące na przybycie kolejnej zmia-ny wiernych, górników.

I właśnie „brak” jest elementem, któ-ry łączy te prace – nie ma postaci, ich obecności i istnienia tylko się domy-ślamy – jest dzieło ich rąk (zasiane po-
le, betonowe bryły blokowisk, kopal-nia), ale ludzi – nie ma. I chyba tak jak w naszej codzienności – coraz mniej lu-dzi wokół nas. Są projekty, plany, or-ganizacje, zasoby ludzkie, tylko ludzi brak.

I pewnie dlatego tak bardzo inna w nagrodzonym gronie jest praca Ha-liny Tymusz – jakby wyjęta z innego świata – wyobraźni czy marzenia sen-nego. Lecz i za karnawałową maską, pa-pierowymi wiatraczkami i ptaszkami kryje się rzeczywistość, dość na ogół ka-baretowa. Dziewczyna – kobieta umiej-scowiona w samym środku obrazu przyciąga wzrok swoim wyglądem i delikatnością, a jednocześnie uwodzi, zapraszając do innego wejścia w ten in-ny, dziwny świat.

A królika żał...

skość inna niż wszędzie. Jakaś nostalg-
gia za tym co minione, zakłęta w wy-prężonych, zrobionych na szydełku fi-rankach czy serwetach, za swoistym „rajem utraconym” ale rozumianym jako identyfikacja miejsca – za króli-kiem hodowanym przez dziadków w przydomowej komórce, za dymiącym kominem huty czy kopalni, za halą fa-bryczną – dla tamtego czasu wszystko to oznaczało życie – nieistotne jakie, ale życie. Te same miejsca dziś stoją puste, są rewitalizowane – czy dla tamtych lu-dzi słowo „rewitalizowane” oznacza po-wrót do życia? To nie powrót, ale zupeł-nie inne, obce im życie. Króliki dawno zjedzone, klatki zamknięte, nawet nie ma już tych łąk, na których rosły mle-cze, a i też coraz mniej stołów, bufetów, szafek i okien, które ozdabiały serwet-y, firany i makatki. A wszystko to na-malowane zupełnie odmiennie – z jed-nej strony subtelne ścięgi szydełkowej roboty z miejscami poprzecieranymi nit-
tek, przysłaniają bliżej nieokreślona rzeczywistość, a z drugiej – geometrycz-ne bryły hal, kominów, szarość nieba, ale też zieloność łąk – Śląsk „do wynajęcia”, zatracający swój niegdysiejszy charakter, coraz bardziej upodabniają-cy się do ... właśnie, do czego? Takie same budynki – chociaż technologicz-nie nowoczesne, sformatowane szkarad-ne markety. I ludzie też jacyś tacy sformatowani... A królika żał...

No ale trochę miejsca muszę poświę-cić elicie konkursu. Wszystko co zo-stało zawarte w ramach przemawia na korzyść i uzyskaną taką, a nie in-ną ocenę. Zamysł, warsztat, rozmach, konsekwencja, malarska i graficzna ro-bota – znakomite. Najwyższe uznanie

WIESŁAWA KONOPELSKA



W ochronie przyrody Polska ma stare, królewskie tradycje. Sięgają one czasów Bolesława Chrobrego, który wprowadził ograniczenia w polowaniach na bobry. Współcześnie, bardziej potrzebną niż kiedykolwiek, mądrą politykę ekologiczną państwa, trzeba wymuszać! Dlatego ma ona swoje znaki szczególne. Tym ostatnim w polskiej ochronie środowiska jest ekologiczna karta wolności.

To jej właśnie poświęcone jest „gorące” jeszcze wydawnictwo pt. „Przez ekologię do wolności” – (Ruch ekologiczny a 25 lat przemian). Powstało dla upamiętnienia ćwierćwiecza odzyskania wolnej Polski i roli, jaką w transformacji ustrojowej odegrały formalne i nieformalne organizacje ekologiczne. (symboliczną datą narodzin demokratycznej Polski jest 4 czerwca 1989, dzień częściowo wolnych wyborów do Sejmu).

Wydawnictwo zostało przygotowane z inicjatywy ministra środowiska, przez Fundację Instytut na rzecz Ekorozwoju, pod redakcją dr. Andrzeja Kassenberga.

Największym jego walorem jest nie tyle pierwsza, podjęta próba udokumentowania udziału ruchu ekologicznego w batalii o demokratyczną Polskę (to przecież zadanie dla historyków), co sięgnięcie do żywej pamięci ludzi w nim uczestniczących. Czyli współautorów tej książki.

Każdy z nich zaczynał i działał na rzecz ekologii, wolności – inaczej. Każdy robił swoje. W różnych warunkach i okolicznościach. Spontanicznie. Społecznie i zawodowo. Po obywatelsku.

Poskładane puzzle

Jednak odwołanie się do ich osobistych wspomnień, przeżyć, myśli, zapamiętanych osób i zdarzeń oraz doświadczeń z lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku tworzy obraz niezwyklej, spójnej całości. Takich poskładanych puzzli, które udało się ułożyć w jeden, niezwykle obraz czasu narodzin społeczeństwa obywatelskiego, zmierzającego drogą ekologiczną ku wolności.

Potrzeba było czasu, by móc dziś ten kierunek ocenić. Odpowiedzieć sobie na pytanie, czy niezgoda bardzo wielu Polaków na niszczenie zasobów przyrody, z czasem ich zawodowa i społeczna batalia o powstrzymanie totalnej degradacji środowiska naturalnego, były rzeczywiste ekologicznym zaczynem wolności?

Sygnalizuje to w przedmowie do tej publikacji dr Andrzej Kassenberg, który tę publikację im właśnie zadedykował.

„... Przed rokiem 1989 podnoszenie kwestii ekologicznych było jednym z ważnych przejawów dążenia do niepodległości i wolności Polski. Ekolodzy wiedzieli, jakimi dysponujemy wartościami

„Przez ekologię do wolności”



Fot. Bogdan Kulakowski

Takie zdjęcie spod huty „Bobrek” to przeszłość, ale...

przyrodniczymi, wiedzieli, że należy dostrzec w nich dobro narodowe, dążyć do ich ochrony i przeciwdziałać degradacji przyrody. Czy jednak mieli możliwość przekazać społeczeństwu swą wiedzę? Jak mogli przekonywać, że zanieczyszczenie środowiska oznacza też zagrożenie dla życia i zdrowia ludzi?

W okresie przyspieszonego uprzemysłowienia i wyścigu zbrojeń kwestie ekologiczne nie były przez władze dostrzegane. Co więcej, w systemie socjalistycznym istniała wewnętrzna sprzeczność, która ograniczała możliwość podejmowania prac na rzecz ochrony środowiska. Z jednej bowiem strony państwo miało w nim realizować cele społeczne – w tym także dotyczące dobrego środowiska życia, z drugiej jednak będąc jedynym właścicielem środków wytwórczych – dążyło do maksymalizacji produkcji, także kosztem jakości środowiska przyrodniczego. Przy braku aktywności państwa kwestie ekologiczne podnoszone były przez pojedynczych obywateli czy przez nieliczne grupy...”

Narodziny ruchu

Można powiedzieć – do czasu. Na fali Mzrywu Solidarności w 1980 roku powstaje w Krakowie Polski Klub Ekologiczny. Pierwsza, niezależna organizacja ekologiczna, nie tylko w Polsce, ale w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Dlaczego właśnie tam? Przybliży ten czas, oddana idei ochrony przyrody – Michalina Białecka, dziennikarka.

„...Kraków był miejscem szczególnym, gdzie niczym w soczewce widać było problemy środowiskowe, wynikające z centralnie planowanej gospodarki socjalistycznej „dobrobytu”. Huta Skawina, Huta im. Lenina, będące pomnikami gospodarki socjalistycznej, przez dekady degradowały ekologiczne systemy i rujnowały zdrowie ludzi. Ukrywano wyniki badań i nie przekazywano społeczeństwu wiedzy o negatywnych skutkach funkcjonowania tych zakładów. Powszechna była zatem obojętność nieświadomionego społeczeństwa.

Jednocześnie w tym samym Krakowie pracowali ludzie wierni tradycjom ekologicznym, twórcy prac naukowych z zakresu filozofii przyrody i człowieka oraz ideologii ochrony przyrody...”

O radości z odzyskiwanej wolności i wielkim entuzjazmie ludzi tworzących Polski Klub Ekologiczny, który odważnie rozpoczął kształtowanie polityki proekologicznej państwa w sferze gospodarczej oraz jakości środowiska, pisze na łamach książki „Przez ekologię do wolności” dr inż. Tadeusz Kopta, klubowy ekspert ds. transportu.

Czy ekologia była obecna w kolebce Solidarności – w Gdańsku? Jak postrzegano tę kwestię w niespełna półtorarocznym „karnawale Solidarności”?

Na te i inne pytania odpowiada po latach Andrzej Baranowski, profesor Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej, wybrany na spotkaniu założycielskim prezesem Okręgu Wschodnio-Pomorskiego PKE.

I nie ma wątpliwości, że na przełomie lat 1980/1981... „powszechne było przeświadczenie, że każdy kto chce działać na rzecz zmiany, staje się sprzymierzeńcem wielkiego społecznego ruchu Solidarności. Klub był od początku tym sprzymierzeńcem i w związku z tym nastąpiło swoiste scedowanie spraw środowiska na Polski Klub Ekologiczny...”. W Trójmieście i w regionie był to piękny czas wspólnoty celów, nie zaś formalnej przynależności...

Siła strachu

Narodziny ruchu ekologicznego trafiały u progu lat 80. ub. wieku, w ówczesnym województwie katowickim na bardzo podatny grunt. Katastrofę ekologiczną ludzie tu odczuwali na przysłowiowej „własnej skórze”.

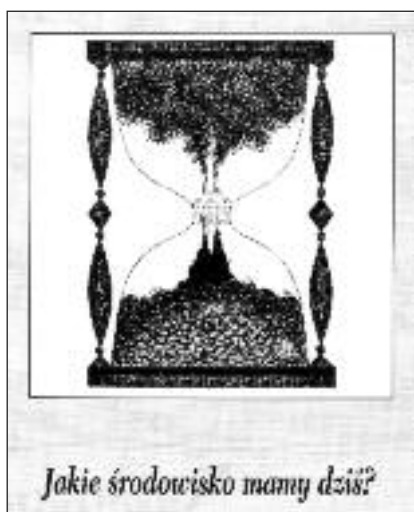
Nie tylko brudne, lecz gęste od zanieczyszczeń powietrze było nie tylko czuć, ale i widać. Tutaj odnotowywano największą w kraju śmiertelność niemowląt. Tutaj dzieci atakowała ołowica. Na śląskich polach i w ogródkach działołkowych rosła zatruta żywność. Badania prof. Mieczysława Chorążego z Instytutu Onkologii w Gliwicach potwierdziły uszkodzenie kodu genetycznego nie tylko u robotników pracujących bezpośrednio przy starych bateriach koksowniczych. Statystyki nie kłamały. Na Śląsku ludzie żyli średnio o trzy lata krócej!

Strach nie miał tu tylko wielkich oczu. Strach ekologiczny na Śląsku był siłą sprawczą dla wymuszania zmiany systemu gospodarczego i rzeczywistych działań na rzecz ochrony środowiska. Wpisała je w swoje działania śląska Solidarność.

Do Polskiego Klubu Ekologicznego – Okręgu Górnośląskiego przychodziło coraz więcej ludzi. Dużo młodzieży, co nas najbardziej cieszyło. Wszyscy chcieli znać tę najbardziej gorzką prawdę! Trudno było ją władzy partyjnej zatrzymać, choć bardzo próbowała.

Jak grzyby po deszczu powstawały wówczas na Śląsku małe i większe niezależne, bo często nieformalne, organizacje ochrony środowiska. Wśród nich m.in.: Śląski Ruch Ekologiczny młodych inteligentów, studentów i robotników; grupa Polskiej Partii Zielonych; Ruch „Wolę być”; Społeczne Towarzystwo Ekologiczne „Pro-vita” przy Polskim Związku Katolicko-Społecznym; ruchy spod znaku św. Franciszka i wiele innych. Pracownia na rzecz Wszystkich Istot, Klub Gaja czy późniejsza Arka trzymają się mocno do dziś.

Nawet stan wojenny niczego w tej ekologicznej przestrzeni nie był w stanie przekreślić. Ziarno wykiełkowało wcześniej! Ludzie informowali się nawzajem. Zaczęły się zmiany. Dziś nie mam wątpliwości. Ekologia była wtedy bardziej na Śląsku obywatelska niż dziś.



Obecnie nie wszystko idzie w dobrym kierunku, o czym piszą na łamach książki „Przez ekologię do wolności” prawie wszyscy jej współautorzy. Dlatego i dziś, ożywczy, merytoryczny ruch ekologiczny jest potrzebny jak... czyste powietrze w Aglomeracji Górnośląskiej czy w Krakowie.

Po to, by pilnować polityki ekologicznej, wypracowanej przy ekologicznym „podstoliku” i zatwierdzonej przy Okrągłym Stole.

Tak wspomina to wydarzenie i ludzi z nim związanych dr inż. arch. Janusz Korbel, współzałożyciel Pracowni Architektury Żywej, zamienionej w 1989 roku w Pracownię na Rzecz Wszystkich Istot.

„Ekologiczny podstolik”

Dzięki prof. Stefanowi Kozłowskiemu poznaliśmy znaczenie ustaleń „ekologicznego podstolika”. „Spośród 27 uzgodnionych postulatów, ten dotyczący planowania przestrzennego, do dzisiaj nie doczekał się realizacji, a Polska jest niestety krajem chaotycznej zabudowy i postępującej degradacji krajobrazów. Chociaż «podstolik ekologiczny» zrewolucjonizował podejście do spraw środowiskowych (np. wpływając zasadniczo na zmiany w prawie, wprowadzając oceny oddziaływania na środowisko, mechanizmy finansowe itp.), to większość idei została z czasem rozmyta w polityce, która na ostatnim miejscu stawia zagadnienia ekologiczne... Przyczyną takiego stanu rzeczy jest ignorancja klasy politycznej w zakresie ekologii...”

Ćwierć wieku po zrywie solidarnościowym zwyciężyło indywidualistyczne myślenie partyjne lub stronnictwo grup interesu. Niechęć samorządów do wiązania sobie rąk miejscowymi planami przestrzennymi oraz niechęć polityków do rozwiązywania problemów ekologicznych i planowania owocują kolejnymi konfliktami”.

Dr Michał Wilczyński, geolog i ekolog, w latach 1991-1995 gł. geolog kraju, wi-

ce minister ochrony środowiska, którego prof. Stefan Kozłowski zaprosił do zespołu solidarnościowego, przygotowującego listę szczególnie ważnych problemów ochrony środowiska Polski, dyskusowanych przy „ekologicznym podstoliku”, tak widzi dziś jego efekty:

„Na początku lat 90. większość postulatów została zrealizowana, wszystkie sprawy interwencyjne zostały załatwione. Niestety, niektóre dobre i potrzebne dla Polski wdrożone już rozwiązania zostały rozmontowane, czego przykładem jest Państwowa Inspekcja Ochrony Środowiska, EkoFundusz. Inne, jak «zlewniowy system gospodarowania wodą» nie zostały doprowadzone do końca, zatrzymując się na poziomie struktury administracyjnej, pozbawionej odpowiednich narzędzi i środków finansowych do ich realizacji”.

„Czyż nie jest zdumiewające, że w drugim dziesięcioleciu XXI wieku toczymy identyczne dyskusje o polityce energetycznej Polski jak 25 lat temu?”

„Od wielu lat politycy i pozarządowe organizacje ekologiczne znajdują się na pozycjach przeciwstawnych. Dialog, debata są w zaniku. Politycy „wiedzą lepiej” i ze sporą dezynwolturą traktują nie tylko organizacje ekologiczne, lecz nawet ekspertów. Ostatnio także pozycja urzędu Ministra Środowiska jest deprecjonowana”.

Nie jest to jedyna taka opinia, zwracająca uwagę na ułomności polskiej ochrony środowiska i demokracji.

Radosław Gawlik, ekolog, aktywny działacz ruchu ekologicznego, poseł czterech kadencji Sejmu, sekretarz stanu w resorcie ochrony środowiska, w rządzie Jerzego Buzka mówi wprost: „polityka polska jest oderwana od potrzeb społeczeństwa, niewrażliwa na postulaty różnych grup społecznych. Partie mają charakter wodzowski, są scentralizowane. Zjawisko pseudokonsultacji społecznych zastępuje autentyczne kontakty. Media są stabilizowane i deformują obraz rzeczywistości; często skupiają się na nieistotnych sensacjach, nie poświęcając czasu antenowego ważnym kwestiom”.

Trudno nie zgodzić się też z Januszem Okrzesikiem, działaczem ruchu ekologicznego, politykiem i samorządowcem. Jego zdaniem bilans ćwierćwiecza wypada jednak zdecydowanie pozytywnie.

„Szczególnie dużo osiągnęliśmy w ochronie środowiska, nieco gorzej wygląda kwestia ochrony przyrody, całkiem kiepsko zazielenienie polityki energetycznej. Tym jednak, co martwi mnie najbardziej, jest kondycja społecznego ruchu ekologicznego. Najlepsze mechanizmy systemowe mogą zawieść bez społecznej kontroli i bez stałego dopływu nowych idei, czyli tego, czym zajmuje się ruch ekologiczny”.

JOLANTA MATIAKOWSKA



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

Zapowiedzi katastrofy dostrzegli jedynie nieliczni; jedynie ci, którzy potrafili czytać między wierszami. Między wierszami rządowych deklaracji europejskich mocarstw, które zdawały się strzec stabilizacji i między wierszami buńczucznych oświadczeń zgłaszanych w imieniu małych państewek, których przeciętny czytelnik codziennych gazet nie byłby w stanie odnaleźć na mapie, tym bardziej że niektóre z nich nie istniały. Jednak o tej porze roku przed stu laty *La belle époque* wyglądała kwitnąco, jak dojrzała kobieta w stylowym negliżu, zażywająca kąpiele morskich i słonecznych w Ostendzie czy w Abacji. Jeszcze w teatrach muzycznych królował Lehar, Gilbert i Sullivan, Offenbach, a nad Brytyjskim Imperium nie zachodziło słońce. Księstwo Cieszyńskie i Galicja były, wraz z Węgrami, północnymi Włochami i innymi zawłaszczonymi terytoriami, częścią habsburskiego świata, do którego odnosiło się określenie „Austria Felix”.

To, co się wydarzyło 28 czerwca 1914 roku w Sarajewie, początkowo potraktowano jako owszem, bardzo poważny incydent, jednak nie przewidywano żadnych dalekosiężnych następstw zamachu na arcyksięcia Ferdynanda. W końcu takie rzeczy już się zdarzały, nawet w szczęśliwej Austrii – cesarzowa Sissy także padła ofiarą zabójcy. Patrząc jednak na sytuację z perspektywy lat, widać wyraźnie, jak wielkie sprzeczności interesów narastały w Europie, w której czujność polityków i społeczeństw uszpięta została przez ponapoleońskie stulecie bez wojen o kontynentalnym zasięgu. Tymczasem front burzowy zbliżał się nieubłaganie. Strzały w Sarajewie okazały się jednak przysłowiowym kamyczkiem, który pociągnął za sobą lawinę. Lipiec był już miesiącem odnawiania starych i pospiesznego montowania nowych sojuszy. Pomruki burzy stawały się coraz wyraźniejsze. Zapanował niepokój i społeczeństwami zawładnęło poczucie niepewności.

Kiedy po stu latach od tamtych wydarzeń spaceruję ulicami Cieszyna i patrzę z wysokości mojego domu na Górkę, bez trudu wyobrażam sobie ludzi gromadzących się przed gospodami i innymi ośrodkami życia publicznego i komentujących rozwój wydarzeń. Tutejsi ludzie zawsze mieli swój pogląd na rzeczywistość, nawet jeśli nie mieli na nią wpływu. Chociaż do pewnego stopnia mieli: przez Niemcy i Austrię przetoczyła się w lipcu tamtego roku fala pospieszenie zawieranych ślubów. Młodzi mężczyźni nie mieli złudzeń – czekały ich dramatyczne miesiące, a może lata. Historia poka-

Cisza przed burzą

Z moich Górek

zała, że ten gorszy scenariusz okazał się prawdziwy.

Jeśli były w Europie jakieś narody, które z nadzieją wypatrywały wojny, która mogłaby zmienić ich polityczne położenie, to byli to m. in. Serbowie, pragnący statusu mocarstwa w bałkańskim mikroświecie, Irlandczycy, pozbawieni od setek lat bytu państwowego, oraz rzecz jasna Polacy, rozdarci pomiędzy trzy zabory. Wojna dla Polski i Irlandii okazała się o wiele łaskawsza, niż dla europejskich potęg: Polacy wybili się na niepodległość, Irlandczycy rozpoczęli wyboistą i krętą „drogę do Dublina”. Anglia i Francja straciły pozycję światowych potęg, Niemcy straciły status cesarstwa i pograżyły się w chaosie i biedzie, Austria także utraciła swoją cesarskość i królewskość i stała się małą drugorzędną europejską republiką. Natomiast Rosja pozostała nadal kolosem, któremu rewolucja przetrzącała gliniane nogi i na podobieństwo Niemiec, terrorem i przemocą odbudowywać miała swoją pozycję. Prawdziwym wygranym okazały się Stany Zjednoczone, które przystąpiwszy do wojny pod sam jej koniec, miały odegrać rolę decydującą i rozpocząć karierę mocarstwa światowego.

Zapewne dla mieszkańców Cieszyna i okolic tylko niektóre z tych faktów miały jakieś znaczenie. Przede wszystkim rozpad Austro-Węgier i utworzenie państwa polskiego oraz czechosłowackiego; to oczywiście. Śląsk Cieszyński znalazł się pomiędzy tymi dwoma państwami i natychmiast stał się kością niezgody. Ten konflikt nie był jednak wyjątkiem w nowej, pohabsburskiej rzeczywistości. Słowacy, nie posiadający wówczas swojego państwa, mieli pretensje terytorialne do Węgrów, Węgrzy do Rumunów i tak dalej. Okazało się, że imperium w stanie likwidacji to nie koniec problemów, ale zamiana starych na nowe. Liczba punktów zapalnych w Europie jakoś nie chciała zmaleć, choć o zakończonej wojnie mówiono, że toczono ją po to, by położyć wojnom kres.

Ci z cieszyńsiaków (i górćzan), którzy poszli do Legionów, mieli przed sobą kolejną wojnę, tym razem na wschodzie. Podział Śląska pomiędzy Polskę a Czechosłowację był jedynie epizodem procesu ustalania granic odradzającego się państwa polskiego. Bitwa pod Skoczowem była ostatnim zbrojnym akordem tego epizodu.

Europa po burzy była odmieniona. Wytyczano nowe granice, zmieniały się ustroje wielu państw. Z powojennego chaosu wyłaniała się nowa moda, odprawiając *La belle époque* do lamusa: moda na jazz, krótkie sukienki, krótkie fryzury, swobodniejsze obyczaje i... dyktatury. Traktat wersalski zadowolił niewielu. Zakończył co prawda wojnę, ale czy jego postanowienia warte były milionów istnień ludzkich?

To wszystko miało dopiero nadejść. Teraz mamy przecież lipiec. Brennica szemerze w dole, a góry na starych zdjęciach nie są, jak dziś, pokryte lasami. Mężczyźni gromadzą się przed gospodą i rozprawiają ze znanstwem o pogodzie. Strzały w Bośni ucichły. Nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Na razie. Tak sobie wyobrażam koniec czerwca i początek lipca 1914 roku w mojej wsi. Cóż innego mi pozostaje? Historia niewiele uwagi poświęca spokojnym chwilom przed burzą. No, bo o czym tu mówić?

Sto lat to kawał czasu. Spojrzenie historyków nabiera dystansu, opadają emocje. Ten dystans z czasem staje się tak duży, że nie bardzo uświadamiamy sobie, jak bardzo tamte dawne wydarzenia wpływają na nasze dzisiejsze życie. Taka myśl mnie niedawno nasza, kiedy wracałem do domu z Częstochowy: przed stu laty, by dotrzeć do moich Górek musiałbym przekroczyć dwie granice – rosyjsko-niemiecką na Przemyśl i niemiecko-austriacką za Pawłowicami. Byłbym cały czas na ziemiach zamieszkałych przez jeden naród, który podzielono na poddanych trzech cesarzy. Dramat. Natomiast nieco operetkowe wrażenie sprawia sentyment, jaki zachował się dla Najjaśniejszego Pana wśród cieszyńsiaków starszej daty. Nie bez kozery przyłgnął doń przydomek „dobrotliwy monarcha”. Co komu jednak szkodzi operetka, zwłaszcza kiedy leje się dobre wino, rozlega się śpiew, a piękne kobiety są w zasięgu wzroku? Ma ona pewien urok pamiętki świata minionego, jednak nie należy się zbytnio do tego gatunku przywiązywać, jako że kontrast pomiędzy światem w nim przedstawionym, a rzeczywistością bywa ogromny. Konfrontacja jest niezwykle przykra, o czym świat miał się przekonać już w sierpniu tegoż, 1914 roku.

Kiedy w jednym z numerów „Polityki” przeczytałem, że w jury „Nagród Historycznych 2014” tego tygodnika zasiada prof. Feliks Tych, natychmiast skonstatowałem: oto nazwisko – pierwotne skrócenie-zdrobnienie greckiego imienia *Tymoteusz* w stanie nienaruszonym! Tak bowiem kiedyś wyglądały odimienne derywaty: *Tymoteusz* – *Tych* jak *Bronisław* – *Broch*//*Brosz*, *Stanisław* – *Stach*//*Stasz*, *Paweł* – *Pach*//*Pasz*, *Pieter* (późniejszy *Piotr*) – *Piech*//*Piesz*, *Wacław* – *Wach*//*Wasz*, *Wiesław* – *Wiech*//*Wiesz*, *Zygmunt* – *Zych*, *Grzegorz* – *Grzech*//*Grzesz*, *Częstobor*, *Częstosław*, *Częstomir* – *Częstoch*, *Lubomir* – *Luboch*//*Lubosz*, *Miecisław* – *Miech*, *Ciechosław* – *Ciech*//*Ciesz*, *Prosimir* – *Proch*//*Prosz*, *Radosław* – *Rach*//*Rasz*, *Sędzimir*, *Sędzislaw* – *Sędzich*//*Sędzisz*, *Sulimir*, *Sulislaw* – *Sulich*//*Sulisz*, *Świętosław* – *Świech*, *Żelislaw* – *Żelech* itp.

Tymoteusz to, oczywiście, forma złożona – składająca się z greckich członów *time* „cześć” oraz *theos* „Bóg”, oznaczająca zatem „kogoś, kto oddaje Bogu cześć, kogoś bogobojnego”. W Polsce znana jest od XV wieku. Związana jest z nią ludowe przysłowie *na święty Tymoteusz (czyli 24 stycznia) kup se capkę, nie kapelus*. Dodajmy, że funkcjonuje też greckie imię *Theotimos* z odwróconą kolejnością członów.

Wracamy jednak do skrócenia-zdrobnienia *Tych*. Nietrudno się domyślić, że jest ono podstawą nazwy miejscowej *Tychy*, oznaczającej pierwotnie potomków człowieka nazywanego *Tychem* (tzw. nazwa rodowa). Jak można przeczytać chociażby w *Słowniku etymologicznym nazw geograficznych Polski* prof. Marii Malec (Warszawa 2003), nazwa pierwotnej osady, własności książąt pszczyńskich, jest wzmiankowana od połowy XV wieku. W XVI stuleciu istniał tu już browar, rozbudowywany w XVII i XVIII wieku, ze znaczną produkcją piwa, częściowo na eksport. Najstarsze zapisy to: *Tichi* 1467, *do Tichow* 1472, w *Tychach* 1545, a także w postaciach zmienionych *Tichau* 1575, *Tychaw* 1654.

W wydanych w roku 1996 *Tychach 1939-1993. Monografia miasta* pod red. prof. Marka Szczepańskiego pojawia się wyłącznie dopełniaczowa forma z końcówką *-ów*: *Tychów*, z *Tychów*, *do Tychów*, nawiązująca do miejscowej tradycji, a i w mediach górnośląskich po roku 1989 ta postać pojawia się konsekwentnie. W skali ogólnopolskiej można również mówić o utrwalającym się zwyczaju posługiwania się takim brzmieniem

Dobrze jednak wiemy, że przez całe lata żywał równorzędny wariant wiódl bezkończówkowy dopełniacz *Tych*: z *Tych*, *do Tych*, owszem – to on zdecydowanie dominował w centralnych i we wszystkich niegórnoślą-

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Potomkowie Tymoteusza – Tycha

skich środkach masowego przekazu, a wydany w roku 1973 *Słownik poprawnej polszczyzny* pod red. prof. Witolda Doroszewskiego i prof. Haliny Kurkowskiej zarejestrował go jako wyłączny. Powtórzyć więc należy, że to dopiero po przełomie roku 1989 nastąpił ostateczny – mam nadzieję – powrót do tradycyjnej formy *Tychów*, chociaż jeszcze *Nowy słownik poprawnej polszczyzny* z r. 1999 pod red. prof. Andrzeja Markowskiego umieszcza ją na drugim miejscu z kwalifikatorem regionalności, na pierwszym miejscu pozostawiając wariant *Tych*. Jan Grzenia w swym *Słowniku nazw własnych* z r. 1998 na pierwszym miejscu wymienia wprawdzie dopel-

niacz *Tychów*, ale z wariantu *Tych* nie rezygnuje!

Ja zaś nie mogę w tym momencie nie powiedzieć, że z punktu widzenia strukturalnego ten ostatni nie jest błędny, system gramatyczny bowiem nazwom typu *Tychy*, *Bojszowy*, *Makoszowy*, *Rydułtowy*, *Żory*, *Maczki*, *Piaski*, *Gołbki*, *Laski*, *Janki*, *Ząbki*, *Marki*, *Piaski*, *Dąbki* oferuje w drugim przypadku albo końcówkę *-ów*, albo postać bezkończówkową i tylko zwyczaj decyduje o wyborze którejś z tych dwu możliwości (*Piaski* np., a jest ich w Polsce kilkadziesiąt, przyjmują więc warianty *z*, *do Piasków*//*z*, *do Piasek*, a na Mazowszu to *i z*, *do Piasek*; w Dąbkach też się słyszy *z*, *do Dąbków* – *z*, *do Dąbek*). Tak się składa, że przytoczone przeze mnie nazwy – z wyjątkiem *Tychów* oraz wariantywnych *Piasków* i *Dąbków* – mają właśnie bezkończówkowe dopełniacze: (*z*, *do*) *Bojszów*, *Makoszów*, *Rydułtów*, *Żor*, *Maczek*, *Gołbek*, *Lasek*, *Janek*, *Ząbek*, *Marek*.

A i w książce Kazimierza Kutza z roku 1999 *Kłapsy i ścinki. Mój alfabet filmowy i nie tylko* znaleźć można postać *Tych* (np. na str. 231: „W latach sześćdziesiątych rodzina przenosiła się sukcesywnie do Tych”). Kiedy o nią znanego reżysera zapytałem, powiedział mi, że w jego rodzinnych Szopienicach była ona w powszechnym użyciu. Widzą zatem Państwo, że owa lokalna tradycja, o której tyle dziś w odniesieniu do *Tychów* napisałem, wcale nie musi mieć wielkiego zasięgu (ileż raptem kilometrów dzieli Tychy od Kutzowych Szopienic?!).

Skoro przywołałem dzisiaj *Nowy słownik poprawnej polszczyzny* pod red. Andrzeja Markowskiego i *Słownik nazw własnych* Jana Grzenia, powiem i to, że oba leksykony polecają tylko formy *tychowianin*, *tychowianka*, *tychowianie*. W tym wypadku moi koledzy zdecydowali się na wybór młodszych wariantów nazw mieszkańców, których zaletą jest to, że zachowują one pełne brzmienie podstawy słotwórczej *Tychy*. Muszę się jednak upomnieć o starszą serię *tyzszanin*, *tyzszanka*, *tyzszanie* – z wymianą *ch* z podstawy słotwórczej na *sz*, bo ciągle ją widzę i słyszę i dlatego traktuję jako równorzędną.

Przykład *tychowian* proponuję natomiast mieszkańcom Nysy. Nie lubią oni brzmień *nysianin*, *nysianka*, *nysianie* – jedynie z punktu widzenia historycznego uzasadnionych (konieczne zmiękczenie przed pierwotnym przyrostkiem *-janin*) – i posługują się postaciami *nysanin*, *nysanka*, *nysanie*. Skoro nie lubicie *nysianina* czy *nysianki* – mówię, wężcie przykład z mieszkańców *Tychów*: skoro oni są *tyzszanami* albo *tychowianami*, to i wy moglibyście być *nysowianami*! Przed wstawną częścią *-ow-*zmiękczenie „s” nie jest konieczne. ■

Czy jest dobry sposób na zainteresowanie dzieci (lokalną) historią? Jest. Należy sięgnąć po znaną w regionie czy mieście legendę lub podanie, następnie przemieszać motywy, swobodnie wikłać wątki, dobrze obmyślić perypetie i gotowe. Można spodziewać się sukcesu, jak w przypadku *Chłopca z Gliwic*, sztuki autorstwa Grzegorza Krawczyka, luźno osnutej na kanwie legendy o bohaterstwie i przemysłowości kobiet, które w czasie wojny trzydziestoletniej uratowały miasto przed protestanckim najazdem. Według podań w 1626 r., kiedy to duński hrabia Ernst von Mansfeld oblegał Gliwice, dzielne kobiety wylały na wspinających się po miejskich murach żołnierzy gorącą kaszę jaglaną, skutecznie uniemożliwiając im zdobycie Białej Bramy.



Fot. z materiałów Muzeum w Gliwicach

Jak dzieci ratowały miasto

TEATR

Przedstawienie zaprezentowano podczas tegorocznej Nocy Muzeów w Willi Caro. Duży udział w przygotowaniu spektaklu m. in. przy produkcji oprawy scenograficznej, budowie lalek miał toruński Teatr Baj Pomorski. Aktorzy wybrani w drodze castingu pochodzili z Wrocławia, Krakowa i Katowic.

Autor sztuki, korzystając z *licentia poetica* i odwołując się do znanego toposu literatury dziecięcej uczynił głównym bohaterem nie dziewczynę, lecz chłopca, zwykłego szewczyka Przemka, który dzięki swemu dobremu sercu może w krytycznej chwili liczyć na pomoc... mrówek, które onegdaj uratował przed okrutnym Mansfeldem.

Z jednej strony nic nowego. Niektóre motywy jakby skądś już znamy. Rzekniesz, autorzy inscenizacji umieszczając, jako element scenografii, napis *nihil novi sub sole* doskonale o tym wiedzieli. Taki autokomentarz wydaje się tu zasadny, bowiem nie o nowe wątki tu chodzi, a raczej o świeże spojrzenie na historię.

Co sprawia, że w chłopcu budzi się bohater, któremu niestraszne są groźby armii najeźdźczej i jej krwawego przywódcy? Może miłość do córki burmistrza, pięknej mieszczki Jadwigi? Prawdopodobnie. Dość, że fortel chłopca ratuje gliwiczankę przed niechybną zgubą, a dzieci zgromadzone na widowni mogą odetchnąć z ulgą, że oto zostało uratowane ich miasto. Zresztą miały w tym niemały udział. Każde z nich wrzuciło do wielkiego garnka warzywo i kaszę, to znaczy drewniane klocki, które wszak tylko z pozoru przypominały drewnianka, w istocie będąc najprawdziwszymi składnikami do przygotowania ukropu. Można by rzec, że aktorzy toruńskiego Teatru Baj, włączając małych widzów w przygotowanie strasznej mamątygi, zilustrowali niejako ów

proces wspólnego mieszania składników, który staje się znaczącym gestem współczesnej sztuki, jako przestrzeni interdyscyplinarnej wymiany. W tym spektaklu scenografia dopowiada konteksty, sprawna i nie nachalna reżyseria sprawia, że akcja toczy się naturalnie i nie przywołuje niepotrzebnych zawiłości, a muzyka przyjemnie buduje atmosferę przedstawienia. To sprawia, że ogląda się go z dużą przyjemnością.

Z drugiej jednak strony można się spierać o sens tego artystycznego zabiegu, polegającego na opowiedzeniu legendy *a rebours*; feministyczna wrażliwość nie pozwala mi pominąć tego aspektu i każe się zastanawiać nad powodami takiej, dość znaczącej, zmiany. Chłopiec zamiast dziewczyny?... Pewne jest jedno, sztuka zakorzenienia dziecko (w zamyśle chyba głównie będące mieszkańcem Gliwic) w tutejszej specyfice miasta, któremu nie szkoda, owe wariacje i luźne skojarzenia, a które (za ich sprawą?) niepostrzeżenie, w świadomości widza, staje się miastem wyjątkowym. A może to wic, mający na celu zachęcenie do lekkiej zabawy formą i przetwarzania źródeł historycznych? Wszakże, jak wieści pod tytuł sztuki, jest to krotchwila teatralna. Wszystkiego po trosze, najważniejsze jednak, że opowieść skłania do rozmyślań i do zadawania pytań.

Przedstawienie zagrane jest żywiłowo, chwilami nawet gwałtownie ale i kunsztownie, co dało efekt w postaci autentycznego zainteresowania dzieci i ich spontanicznych reakcji. Przyjemnie było patrzeć jak śledziły akcję z otwartymi ustami. Niektóre z nich pokrzykiwały, inne dopowiadały kwestie aktorów, a wszystkie były szczerze zaangażowane w spektakl i przejęte. Szczególnie trafiona konwencja komedii dell'arte pomogła w poddaniu się uroko-

wi przedstawienia. Wiele zwrotów akcji, niespodziewanych żartów wywoływało radosny uśmiech na twarzach dzieci.

Na koniec należy wspomnieć o lalkach, które, animowane przez aktorów, od pierwszej chwili przykuwają uwagę publiczności. Oto pacynki ożywają na scenie, a ich poszczególne elementy dołączane są po kolei już na oczach widzów. Daje to wspaniałą możliwość podpatrzenia magii teatru, rodzenia się tajemnicy. Pomyśl bardzo interesujący, jakby zapraszający widza za kulisy, odkrywający mu niektóre sekrety warsztatu.

Zadziwiająco, jak czworo aktorów potrafiło wyczarować świat, który intryguje, i widzieliśmy to – przestrasza. Wszystko razem dało dzieciom możliwość

obcowania ze sztuką, która ciekawi, skłania do pytań, rozpala wyobraźnię.

A potem można było wprost ze spektaklu przenieść się w przestrzeń, o których dopiero co była mowa. Dzieci tak właśnie zrywają się ze swoim miastem, a jeśli dzieje się to poprzez sztukę i wywołane nią emocje, wówczas związek, a może i późniejsza dbałość o przestrzeń będą trwałe i autentyczne. Któż bowiem nie chciałby mieszkać w takim mieście, gdzie działy się rzeczy niezwykłe, gdzie miały miejsce najazdy groźnych hrabiów, pędziły konie, strzelały armaty, a dzielni szewczykowie oraz przemysłne dziewczęta, sprytem i odwagą odpierali ataki najeźdźców?

Muzeum wydało także tekst sztuki *Chłopiec z Gliwic. Krotchwila teatralna, napisana ku ubawieniu i pokrzepieniu Bobaka oraz wszystkich dzieci z Gliwic, lecz nie tylko*. Książeczka jest starannie przygotowana, a przyjemność czytania dopełniają jeszcze ciepłe i radosne ilustracje Dariusza Panasa. Może ona stanowić inspirację do własnych inscenizacji w domu, szkole czy przedszkolu.

Warto było wybrać się na *Chłopca z Gliwic*. We wspomnieniu zostaje żywiłowość inscenizacji i atmosfera jakiejś przyjaźni wobec widza, zaproszenia do korespondencji sztuk i do odkrywania historii.

AGNIESZKA GRZYWACZEWSKA-KURPIERZ

Grzegorz Krawczyk – *Chłopiec z Gliwic*, reżyseria – Ireneusz Maciejewski, scenografia, projekty kostiumów i lalek – Dariusz Panas, muzyka – Michał Kowalczyk. Premiera w Muzeum w Gliwicach 17 maja 2014.

Skąd się wzięły słynne „polish jokes”? Ile w nich prawdy, a ile kłamliwych stereotypów? O wizerunku i problemach Polaków na emigracji opowiada sztuka Davida Ivesa, której polska prapremiera odbyła się w Teatrze Nowym w Zabrze.

Bohaterem tragifarsy *Jasiu albo Polish joke* (w oryginale *Polish jokes*) jest Amerykanin polskiego pochodzenia, który za namową wuja postanawia zatrzeć wszelkie ślady swej „polskości” – ta bowiem stanowi główne źródło jego kompleksów. Proces przeobrażania się Jasia w Johna rozpoczyna się od zerwania więzi z polską rodziną i tradycją, a kończy na zmianie nazwiska i próbie przyjęcia nowej – gwarantującej znacznie większy respekt – irlandzkiej tożsamości. Tło dla poszczególnych etapów „odcinania” polskich korzeni przez

Jasia stanowią opowiedane przez pozostałych bohaterów sztuki „polish jokes” – niechlubne dowcipy o Polakach, wyśmiewające ich domniemaną niezaradność, głupotę i skłonność do popadania w melancholię.

Choć w multikulturowych Stanach Zjednoczonych nie brakuje dowcipów na temat innych grup etnicznych, te wyśmiewające naszych rodaków przez długi czas należały do najbardziej rozpowszechnionych i szczególnie dotkliwych – powielających bowiem stereotyp Polaka jako niespecjalnie inteligentnego, naiwnego nieudacznika. Kto stoi za „polish jokes”? Amerykański reżyser James Kenney w swym dokumencie zatytułowanym *Polack* wskazuje na kilka źródeł dowcipów o Polakach: rywalizację poszczególnych grup etnicznych przybyłych do Stanów Zjednoczonych i ich walka o własne interesy; „polską rodzinność”, która kontrastuje z obrazem niezależnego Amerykanina-zdobycy oraz niemieckich imigrantów, którzy w pewnym stopniu mieli przyczynić się do rozpowszechnienia niepochlebnych informacji na temat Polaków. Inną tezę na temat pochodzenia „polish jokes” wysuwa angielski badacz Christie Davies, wiążąc zjawisko jedynie z obszarem nowego kontynentu i próbami łamania barier pomiędzy narodami. Obecnie z uwagi na polityczną poprawność „polish jokes” zniknęły z dyskursu publicznego, jednakże wciąż mocno zakorzenione pozostają w świadomości amerykańskiej społeczności. Nic dziwnego, że światowa prapremiera sztuki Davida Ivesa (Amerykanina polskiego pochodzenia), która odbyła się w 2001 roku w Contemporary Theatre w Seattle, wywołała spore zamieszanie i protesty ze strony środowiska polskiego. Mimo otwartych listów z żądaniem usunięcia tytułu, *Polish jokes* nie została ściągnięta z afisza i w krótkim czasie pojawiła się również na innych amerykańskich scenach, gdzie wciąż cieszy się dużą popularnością.



Dariusz Niebudek (*Jasiu*) i Anna Konieczna (*Portia*)

Amerykański sen Jasia

TEATR

Choć polska prapremiera tytułu na scenie Teatru Nowego w Zabrze nie wywołała podobnych kontrowersji, na pewno jest to przedstawienie godne uwagi, w dużym stopniu odświeżające wizerunek zabrzańskiej sceny. Nie bez znaczenia jest fakt, iż realizację spektaklu powierzono młodemu twórcom: reżyserowi Maciejowi Podstawnemu oraz jego współpracownikom (Kaja Migdalek – scenografia i kostiumy, Łukasz Zaleski – dramaturgia, Anna Stela – muzyka). Wykreowany przez nich obraz amerykańskiego snu, w którym porusza się Jasiu oscyluje pomiędzy realnością a sennym koszmarem. Tak, jak w sztuce Ivesa, porządku czasu i miejsca akcji mieszają się tu ze sobą – postaci z przeszłości (również te historyczne) powracają, by przypomnieć o wypartej, skrywanej tożsamości. „Polish jokes” w inscenizacji Podstawnego stanowią jedynie tło dla dramatu głównego bohatera – tożsamościowego kryzysu, którego przyczyną nie są złośliwe żarty na temat Polonii w USA, a zwyczajne rozdarcie pomiędzy nowym, pociągającym światem, a tęsknotą za tym, co przypomina o narodowych korzeniach. Choć zabrzańska inscenizacja dość mocno osadzona jest w amerykańskich realiach, sam temat równie dobrze odnieść można do sytuacji polskich imigrantów w innych krajach Europy i Ameryki. Być może poczucie wstydu, z którym na co dzień boryka się bohater sztuki Ivesa, w przypadku innych obszarów geograficznych byłoby mniejsze, jednakże charakter emocjonalnych dylematów pozostaje ten sam.

Jasiu w przedstawieniu Macieja Podstawnego z pewnością nie jest postacią jednowymiarową. Grający go Dariusz Niebudek doskonale obrazuje poszczególne etapy formowania się tożsamości bohatera – wloty i upadki Polaka, który pragnie stać się prawdziwym Amerykaninem. Sytuacje, z którymi się zmagają – w pracy, w życiu prywatnym i rodzinnym – budzą

śmiech, ale i współczucie. Pod serią zabawnych, nieco wynaturzonych obrazków z życia typowego Polish-American kryje się bowiem dramat jednostki, wynikający z ciągłego udawania kogoś innego oraz konieczności dostosowywania się do ściśle wyznaczonych amerykańskich standardów. Dramatyczny charakter walki bohatera ze sobą samym odzwierciedlają słowa piosenek autorstwa Zuzanny Bojdy, dodanych do spektaklu i wykonywanych na żywo przez aktorów:

*Yes yes, ten w lustrze to
naprawdę ja
Tak tak, raz jestem John
raz jestem Jack
Hey hey, in the mirror I can
see my face
Oh oh, raz jestem John,
raz zwykły pies*

Obrazy, za pomocą których buduje reżyser rzeczywistość przedstawioną, od początku do końca mają charakter groteskowego snu, w którym marzenia zderzają się z brutalną rzeczywistością. Kreacji takiego dwubiegunowego świata sprzyja scenografia Kai Migdalek, przedstawiająca ogród z zieloną sztuczną trawą, leżakami, grillem i huśtawką symbolizującą bez troskie dzieciństwo. Ta sama sielankowa sceneria i jej atrybuty w poszczególnych scenach spektaklu zyskują drugie znaczenie – stają się synonimem polskości i inności bohatera, a także tymi elementami, które oddzielają go od amerykańskiej społeczności. Równowaga przywrócona zostaje dopiero w finałowej scenie spektaklu – wienieczy ją powrót do kraju i małżeństwo z Polką.

Choć w zabrzańskim przedstawieniu punkt ciężkości spada na postać Jasia – to w jego głowie bowiem rozgrywa się właściwa akcja tego dramatu – Dariuszowi Niebudkowi wzorowo partnerują pozostali aktorzy: Jarosław Karpuk w roli Wuja Romana, Anna Konieczna jako amerykańska narzeczona Jasia, czy wreszcie Marcin Gawel w roli polskiego imigranta. Wszyscy oni doskonale odnaleźli się w tragifarsowej konwencji narzuconej przez autora sztuki, a wzmocnionej inscenizacyjnymi zabiegami Macieja Podstawnego.

MAGDALENA FIGZAŁ

David Ives *Jasiu albo Polish joke* (*Polish jokes*). Przekład: Daniel Woźniak. Reżyseria: Maciej Podstawny. Asystent reżysera: Łukasz Zaleski. Scenografia i kostiumy: Kaja Migdalek. Światło: Tomasz Ziółkowski. Muzyka: Anna Stela. Teksty piosenek: Zuzanna Bojda. Prapremiera polska: Teatr Nowy w Zabrze, 18 maja 2014 r.

Zbigniew Gruca
(1 lutego 1944
–7 lipca 2014)

Doktor, który leczył się teatrem

Ślązacy mówią o pasjonatach: *mo ptoka*. Zbyszek Gruca, który na Górnym Śląsku spędził większość swego ponad siedemdziesięcioletniego życia, miał wielkiego *ptoka* – był nim teatr.

Fot. Marek Mierzwia



Kochał go nad życie, a aktorów, bez których teatr nie może istnieć – uwielbiał. Bez względu na to, czy spektakl był dobry czy też nie, chwalił ich grę i gdy opadła kurtyna, a z widowni przebrzmiały już brawa, szedł do garderoby, by im osobiście podziękować za występ. Wczesne dzieciństwo spędził w Krakowie. Mawiał o tym mieście z dumą, że jest prawdziwie europejskie, a każdy z teatrów o kilka klas lepszy niż teatry gdzie indziej. Po tym można było poznać, że Zbyszek jest krakusem, któremu przyszło żyć, mieszkać i pracować poza Krakowem.

Właśnie w Krakowie Zbyszek Gruca po raz pierwszy poszedł do teatru. Miał wówczas trzy czy cztery lata, ojciec wziął go ze sobą do Teatru im. Juliusza Słowackiego, bo – jak opowiadał – nie miał co z dziećmi zrobić. Przesiedział wówczas dwie godziny w aktorskiej garderobie. Od tej pory ojciec zabierał go tam regularnie.

Topografię podwawelskiego grodu Zbyszek znał jak mało kto. Kiedy jechało się z nim na spektakl, potrafił tak wybrać trasę, że nie wpadało się w korki. Podobnie było na Śląsku – znał każdą dróżkę, każdy możliwy skrót, wiedział, która ulica jest jednokierunkowa, gdzie można zaparkować bez większego kłopotu, ba... gdzie jest fotoradar i gdzie mogą czyhać chłopcy-radarowcy. Przez wiele lat pełnił ostre dyżury w pogotowiu – często wyjeżdżał do chorych karetką, więc poznał każdą piędź śląskiej ziemi. Podobnie było, gdy się z nim jechało do Opola, Wrocławia, Łodzi, Warszawy, Poznania, Gdańska. Będąc w podróży ze Zbyszkim nie potrzebowałam mapy drogowej, GPS z ciepłym głosem rajdowca, też był zbędny.

Z własnej, nie przymuszonej woli, Zbyszek zaczął chodzić do teatru w 1950 roku. Mieszkał wówczas w Chorzowie, gdzie, w Liceum im. Stefana Ba-

torego, jako siedemnastolatek zdał maturę. Pierwszą sztuką, jaką świadomie obejrzał, byli „Mieszczanie” Maksyma Gorkiego z Lilianą Czarską, Gustawem Holoubkiem, Józefem Parą i Władysławem Woźnikiem. Od tego przedstawienia nie opuścił ani jednej premiery na Śląsku i starał się być na bieżąco z najważniejszymi spektaklami na polskich scenach – jeździł je oglądać po całym kraju, nie przeoczył ani jednego gościnnego występu, które odbywały się na deskach scen śląskich, był czas, że sporo podróżował po Europie i tam też oczywiście najważniejszym punktem programu pobytu był teatr.

W teatrach znali go i traktowali jak domownika. Fotel dla Zbyszka Grucy zawsze się znalazł, bez względu na rangę teatralnego wydarzenia i stan obłożenia widowni. Kiedy ostatni raz odwiedziłam go w jego domu w czerwcu, razem z Markiem Mierzwiakiem z Polskiego Radia Katowice, żartowaliśmy, że powinien mieć w Teatrze Śląskim w Katowicach, do którego miał z mieszkania kilka minut spacerem, tak jak Stanisław Hadyna w amfiteatrze w Wiśle, swój pomnik na widowni. Fotel z rzeźbą jego sylwetki. W ten sposób nie opuściłby żadnej premiery aż do skończenia świata, a teatr godnie uhonorowałby swego najwierniejszego widza i wielkiego admiratora. Zbyszek leżał na tapczanie, uśmiechał się do tego pomysłu, a jego poczciwy Kacper, stary pies o najpiękniejszej i najbardziej pociesznej mordce, jaką widziałam, lizał mu miłośnie dłonie, chcąc odegnąć chorobę, która pozbawiała go już nie tylko sił, a życia.

Zbyszek w ciągu ponad sześciu dekad bywania w teatrze obejrzał około 10 tysięcy spektakli, których dokumentację w postaci programów teatralnych, zgromadził w domu. Jak zbliżał się kolejny miesiąc, na małej karteczce miał już wypisanie przedstawienia, które zamierzał obejrzeć. Średnio oglądał około dwudziestu w miesiącu. Jakaż to była logistyka, by jak najlepiej dobrać terminy i często odległe od siebie miejsca, by zobaczyć jak najwięcej. W czerwcu popro-

sił, by podrzeć przygotowaną wcześniej karteczkę. Nadludzkim wysiłkiem zmobilizował się jednak i obejrzał jeszcze premierę spektaklu „W popielniczce diament” w Teatrze Śląskim w Katowicach, a parę dni później – dosłownie ostatkiem sił – wybrał się z Ryszardem Klimczakiem, szefem dziennikarstwa teatralnego. pl, do Bielska-Białej do Teatru Polskiego na „Ifigenię”.

Leczył się teatrem przez całe życie, a szczególnie intensywnie podczas ponad dwóch lat walki ze śmiertelną chorobą. W wywiadzie dla miesięcznika „Śląsk”, w grudniu 2012 roku, Zbyszek powiedział: „Całe życie wydaje mi się, że jestem w świecie iluzji, a gdzie najlepiej to się sprawdza, jak nie w teatrze”.

Miał lekarską, genialną, pamięć. Nazwaliśmy go chodzącą encyklopedią teatralną – wystarczyło bowiem rzucić jakieś nazwisko – aktora, reżysera, scenografa, choreografa, a potrafił z miejsca opowiedzieć przebieg kariery danego artysty, wymienić najważniejsze role czy też teatralne realizacje. I nigdy się nie mylił – co wielokrotnie miałam okazję sprawdzić. W dodatku tę encyklopedyczną wiedzę okraszał anegdotami i nierzadko pikantnymi szczegółami z osobistego życia danego artysty. Jakież to były opowieści! Gdzież im do paplaniny internetowego Pudelka czy siermiężnej narracji tabloidów.

Znał się od lat z wieloma aktorami i twórcami teatralnymi, przyjaźnił się z nimi, w dowód uznania ich talentu przywoził im marynowane grzybki (zbieranie grzybów było jedną z jego ulubionych aktywności), które wręczał w podzięce za obejrany spektakl. Aktorzy, ale i wszyscy ludzie, których pasją, podobnie jak jego, był teatr i z którymi się przyjaźnił, nazywali go swoim doktorem, bo diagnozował nasze dolegliwości i choroby, leczył nas lub odsyłał do innych specjalistów, a wszystko to organizował tak, że żaden NFZ nie był w stanie swymi procedurami przeszkodzić w udzieleniu osobie potrzebującej bezwzględnej pomocy lekarskiej. Nawet, gdy przeszedł na emeryturę i nie miał już własnego gabinetu, moż-

na go było spotkać w jego dawnej przychodni – „wypożyczał” gabinet na chwilę od kolegi, gdy trzeba było komuś zrobić jakiś mały chirurgiczny zabieg, a potem zalecał terapię... teatrem.

Zbyszek miał biesiadną naturę, choć z wiekiem zapal do biesiadowania nieco przygasł, a z chorobą ustał na dobre. Z figlarnym uśmiechem wspominał czasy, gdy jako ordynator pszczyńskiej chirurgii ścigał do Krakowa w sobotnie wieczory, do Piwnicy pod Baranami, a przyjaciele z utęsknieniem wypatrywali jego przyjazdu, bo zawsze przywoził torbę butelek przedniego alkoholu – dowodów wdzięczności pacjentów.

Lubił się śmiać i żartować. Zawsze powtarzał, że śmiech jest najlepszym lekarstwem, bo życie jest ciężkie, a na troski, które niesie, najlepszym lekiem jest zabawa i oderwanie się w rzeczywistości kreowaną sztuką. Rzadko opowiadał o swej pracy – a przecież jako lekarz napatrywał się na tyle bólu, cierpienia, co nikt z nas, od lat obcował ze śmiercią, która mimo wysiłku włożonego w skomplikowane operacje i długotrwałe leczenie, ostatecznie triumfowała.

Studia medyczne podjął trochę z przekory. Jego ojciec twierdził, że nie da sobie rady, więc mu udowodnił, że jest w błędzie. Zaczynał je w Poznaniu, ale po roku – ze względu na intensywność „studiowania” w gronie artystów – matka sprowadziła go z powrotem do domu i medycynę ukończył na Śląskiej Akademii Medycznej. Podczas biesiad lubił rozprawiać nie o pracy czy polityce, a o podróży, sztuce, muzyce, literaturze. Bo Zbyszek był nie tylko wspaniałym lekarzem, świetnym chirurgiem, ale przede wszystkim humanistą i erudytą – przedstawicielem gatunku polskiego inteligenta, który niestety wymiera. Pozostało po nim katowickie mieszkanie wypełnione książkami – m.in. zgromadził imponującą teatrolologiczną bibliotekę – oraz płytami z muzyką klasyczną – wielka księgarnia znajdowała się o kilka kroków od przychodni, którą przed lata kierował, więc nie było dnia, by do niej nie zaglądał i nie wychodził z kolejną książką czy płytą. Zbierał ikony, obrazy, rzeźbę ludową.

Ostatnie dni Zbyszek spędził w hospicjum. Odwiedzaliśmy go, z bólem patrząc, jak odchodzi. Zwykle trzymałam go za rękę i milczeliśmy, żadne słowa już nie były potrzebne. Jednak podczas ostatniej wizyty powiedziałam mu, że dostałam zaproszenie do Malarni na premierę jednoaktówki „Rajcula warzy”. Ożywił się i z trudem zapytał, kto w niej występuje. Niestety nie dane mi było opowiedzieć mu o wrażeniach po tym spektaklu. Jestem jednak przekonana, że teraz Zbyszek znów będzie oglądał wszystkie przedstawienia – tylko z innej już perspektywy.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

Profesor Józef Świder 1930–2014

25 maja pożegnaliśmy nabożeństwem w Archikatedrze Chrystusa Króla profesora Józefa Świdra – nestora katowickich kompozytorów, wieloletniego profesora kompozycji i kontrapunktu w katowickiej Akademii Muzycznej. Dla nas, jego wychowanków w Uczelni, był ucieleśnieniem tradycyjnego muzyka, dla którego granie, komponowanie, uczenie muzyki było naturalną i dominującą czynnością życiową. Zjawiał się punktualnie w klasie, starannie przegrywał nasze zadania, tu i ówdzie poprawiał, wygłaszając celne uwagi na temat aktualnego stanu rozwoju naszych zdolności. Nie przesadzał w pochwałach, zresztą nasz rocznik nie należał do genialnych. „Gienek Knapik”, „Juliek Gembalski”, to byli jego – starsi od nas o kilkanaście lat – ulubieńcy. Jako dziekan Wydziału Teorii i Kompozycji był sprawiedliwy, studentom „szedł na rękę”, wydział prowadził w stylu dalekim od biurokratycznego. W okresie strajku studenckiego w 1981 i później, w stanie wojennym, po cichu popierał studenckie akty oporu, zresztą bardzo niewinne.

Praca w uczelni była oczywiście tylko częścią zawodowego życia Profesora. Tyle samo czasu poświęcał działalności społecznej – to za czasów jego prezesury w katowickim oddziale Związku Kompozytorów Polskich został zrealizowany pomysł zorganizowania w Katowicach festiwalu muzyki współczesnej (nosił nazwę Śląskie Dni Muzyki Współczesnej). Od młodości był związany z amatorskim ruchem chóralnym, m.in. jako prezes śląskiego Oddziału PZChIO. Komponowanie pieśni dla śląskich zespołów stanowiło główną domenę jego kompozytorskich zainteresowań – oczywiście nie jedyną – tu należy przypomnieć dwie opery i musical, napisane do librett Tadeusza Kijonki, wystawione w latach 70. XX w. w Operze Śląskiej (*Magnus*, 1970, *Wit Stwos*, 1974, *Bal baśni*, 1977), mszę (*Missa in re*) na chór i orkiestrę smyczkową (1990), czy *Legnickie oratorium* na chór i pełną orkiestrę. W obfitym dorobku Józefa Świdra, obejmującym ponadto utwory kameralne i solowe, wyróżniają się jednak zdecydowanie pieśni chóralne. Pisał je twórca dla profesjonalistów i amatorów, odgadując za każdym razem nie tylko umiejętności śpiewaków, ale i ich oczekiwania, jeśli chodzi o dobór tekstów (sporo pieśni – jak np. chyba najczęściej śpiewana *Czego chcesz od nas Panie* do słów Jana Kochanowskiego – powstało do tekstów wielkich polskich poetów; dużą grupę stanowią także utwory do tekstów religijnych – tu absolutnym przebojem jest *Alleluja*) i gatunek ekspresji: bezpośredniej, „swojskiej”. Nie ma chyba dziś w Polsce chóru, który nie miałby kilku pieśni Świdra w repertuarze. Nie ma wątpliwości, że autentycznie trafił z nimi „pod strzechy”, bijąc w tym względzie na głowę Moniuszkę. Tyle że Świder współtworzył osobiście powszechną kulturę muzyczną stojącą nierównie wyżej niż prowincja, którą chciał podbić nasz

MIEDZY NUTAMI



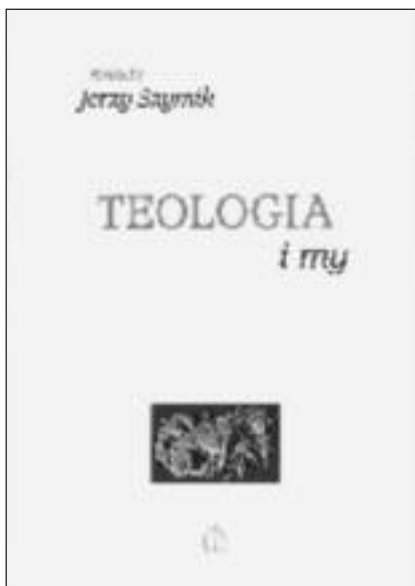
wieszcz z Ubiela. Jej kwitnący stan obecny, to w dużej mierze jego zasługa.

Dni Polsko-Czeskie w „Silesii”

Do Dni Polsko-Czeskich zorganizowanych przez Urząd Miasta Katowic dołączyła się Instytucja „Silesia” trzema koncertami, wypełnionymi całkowicie muzyką naszych południowych sąsiadów. A muzyka ta, mimo wysokiej pozycji, jaką ma w Europie, u nas jest ciągle nieczęsto grana. Nie wiadomo, czemu przypisać fakt, że zupełnie nie grywa się u nas dzieł Janáčka czy Martinu, a i z samym Dvořákem nie jest najlepiej. Czesko-polskie konflikty polityczne dawno ucichły, a muzyki jak nie ma, tak nie ma. Najprawdopodobniej przyczyn trzeba szukać w głębokim XIX wieku, kiedy bliższą znajomość Polaków z muzyką czeską blokowała ekspansywność muzyki rosyjskiej, która znacznie łatwiej zdobywała nasze estrady, wyczerpując nasze zapotrzebowanie na muzykę słowiańską, z drugiej zaś – postawa muzyków czeskich, którzy u nas pracowali. Dobrym przykładem byłby tu kapelmistrz opery warszawskiej z lat 80. XIX wieku Józef Rzebiczek, który starannie wzbierał się przed wprowadzeniem na naszą stołeczną scenę muzyczną oper Smetany i Dvořáka. A potem, kiedy rozszalały się nacjonalizmy, było już tylko gorzej (nie lekceważąc wysiłku kolejnych czeskich dyrygentów działających w Polsce, takich, jak Milan Zuna, który tuż po I wojnie zahaczył i o Katowice, czego skutkiem była tutejsza premiera *Rusalki*).

Popisowa aria z tej pięknej opery Dvořáka zabrzmiała na omawianych koncertach dwukrotnie (w oryginale i transkrypcji). Grano również *Tańce słowiańskie* i inne dzieła człowiego czeskiego mistrza. Trzeci koncert wypełniły dzieła Leoša Janáčka i Bohuslava Martinu. W sumie otrzymaliśmy wartościową panoramę czeskiej muzycznej klasyki, zaprezentowaną w dodatku na bardzo wysokim artystycznym poziomie.

MAGDALENA DZIADEK



Jerzy Szymik: *Teologia i my. Wykłady i homilie, eseje i rozmowy z lat 2003–2013 o miłości i kapłaństwie, o kulturze i Śląsku, o naszych czasach*. Katowice 2014, s. 288, okł. twarda.

„Kocham mój świat i mój czas” – ks. Jerzy Szymik o chrześcijaństwie i współczesności

W najnowszej książce, *Teologia i my*, ks. prof. J. Szymik zaprasza czytelnika po raz kolejny, konsekwentnie i cierpliwie, do rozmowy o sprawie po ludzku i Bosku najważniejszej – do rozmowy o samym życiu, jego sensie, pięknie, trwodze i niepowtarzalnym kształcie. I jak zwykle daje się poznać jako niebывale wnikliwy, czujny, a zrazem głęboko wrażliwy obserwator swojej epoki, a konkretnie jednego dziesięciolecia XXI wieku, lat 2003–2013. Autor proponuje nam bogactwo różnorodności. Od wykładów począwszy (jak choćby tekst znakomitej laudacji wygłoszonej z okazji nadania tytułu doktora honoris causa Wydziału Teologicznego UŚ W. Kilarowi czy też wystąpienie konferencyjne *Teologia, Miłosz, literatura*), poprzez homilie, a na serii kilkunastu fascynujących rozmów skończywszy. Przeważają wywiady przeprowadzane na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia

przez znanych śląskich, i nie tylko, dziennikarzy (m.in. przez S. Babuchowskiego, B. Gruszkę-Zych, D. Lubinę-Cipińską, M. Jakimowicza), które ponownie zostały zredagowane na potrzeby książki. Pierwodruki ukazywały się w rozmaitych piśmiech ogólnopolskich i regionalnych, w czasopiśmie katolickich i świeckich dziennikach (m.in. w „Gościu Niedzielnym”, „Tygodniku Powszechnym”, „Niedzieli”, „Rzeczpospolitej”, „Dzienniku Zachodnim” oraz na łamach „Śląska”).

Uważna lektura kart *Teologii...* pozwoli wydobyc z tekstu paradoksalnie delikatne i silne zarazem tony wyznań osobistych. Wszak autor przekonuje *expressis verbis* „mówię w pierwszej osobie, bo mówię o sobie, nie o kimś innym”. A dzieje się tak zapewne też i dlatego, że wszystko – jak zapewnia w podtytule – dotyczy spraw najwyższej dla niego wagi: miłości, kapłaństwa, kultury, ukochanego Śląska i „naszych czasów”. Mówi więc wprost: „(...) szukam odpowiedzi i rozwiązań... Nie znam większego, skuteczniejszego i czystszy argumentu niż świadectwo. Ono jest zawsze silniejsze niż jakakolwiek perswazja intelektualna”. Proszę się jednak nie obawiać, czytelnik nie zderzy się tu z żadnym, nawet najmniejszym, odcieniem taniego moralizowania. Rzecz dotyczy zupełnie innej postawy kapłańskiej i twórczej. Szymik, można śmiało powiedzieć, jest „teologiem słuchającym świata”. Pełen empatii i współodczuwania, które zakorzenia w tajemnicy i „cudzie Wcielenia”, doświadcza realnej rzeczywistości i ludzi w całej swej codzienności kapłańskiej, naukowej i twórczej. Powiada przecież, że „Bogu i człowiekowi cudownie jest być razem” i jest temu przekonaniu niezwykłe wierny.

Trzeba zwrócić uwagę na dwie pierwszorzędne, w moim przekonaniu, kwestie, które są niezmiernie ważne dla zamysłu prezentowanej książki. W przestrzeni semantycznej jawi się oto prymat patrzenia, przyglądania się i obserwowania świata za pomocą, parafrazując metaforę użytą niegdyś przez ks. Józefa Tischnera, „lunety teologii”. Zaś w płaszczyźnie formy mamy dialog, pewien rodzaj interlokucyjności, obecnej w większości publikowanych wypowiedzi.

Czy zatem teologię i dialog w naszym kontekście łączy jakaś wzajemność, jakaś relacyjność? Zapewne, bowiem to pojęcie „teologia” stanowi jedno z najważniejszych znaczeń w całym dorobku ks. Szymika, przywołuje przecież sensy o wielkim ciężarze gatunkowym. Jak ważne i nośne dla autora to znaczenie wystarczy powiedzieć, że kilka innych wcześniejszych publikacji zawiera w swoim tytule słowo „teologia” (m.in.: *Kocham teologię! Dlaczego?*, *Teologia w krainie pepsy-coli*, *Teologia na początek wieku*, *Akropol z holdy czyli teologia Śląska*, *O teologii dzisiaj*, *Teologia. Rozmowa o Bogu i człowieku czy zapoczątkowana i tworzona w dalszym ciągu trylogia *Theologia Benedicta**).

Czym istnieje zatem teologia według ks. Szymika? W tym miejscu dotykamy sedna, wchodzimy w najbardziej nervalgiczny punkt pisarstwa i myśli autora *Hilasterionu*. Otóż na kartach *Teologia. Rozmowa o Bogu i człowieku* padła znacząca

dla myśli i dzieł Szymika, jego autorska definicja „(...) teologia jest „mową o Bogu/człowieku (Chrystusie)”, czyli też „mową o Bogu i o człowieku (każdym z nas)”, o ich ontycznej i egzystencjalnej relacji. A być mową o człowieku (we wnętrzu mowy o Bogu) znaczy przybrać koniecznie postać dialogu, rozmowy”. I właśnie ów akcent padający na słowo, mowę i dialog jest tu najistotniejszy. Teologia jest rozmową.

Oddana w ręce czytelników książka jest również rozmową o chrześcijaństwie i współczesności, o naszym czasie, o Bogu i człowieku. A jest to tym bardziej wyrażne, że rozumieniu teologii, jej istocie i roli w chrześcijaństwie poświęca Szymik przecież tak wiele miejsca. Powiada, że teologia dotyka „spraw niebывalej wagi”, jakimi są „życie i śmierć”. Owszem, przyznaje bez cienia wątpliwości, jest nauką, ale nauką szczególną, nauką osadzoną na dwóch filarach, obdarowaną jakby dwoma skrzydłami, jakimi są rozum i wiara. Jest nauką, która musi być piękna, bo prawda i piękno potrzebują się wzajemnie, dlatego też Szymik dostrzega i opowiada się za nieprzerwanym dialogiem, rozmową między teologią i sztuką. Sam o sobie powie, że jego miejsce znajduje się „na przecięciu teologii, duszpaństwa i sztuki”, bo „nic nie jest bardziej praktyczne niż dobra teologia”.

Z takiej koncepcji teologii wynika bezpośrednio perspektywa „wymierzania sprawiedliwości widzialnemu światu”. Nie obawiamy się więc zapytać: jaki jest nasz świat, gdy spojrzymy nań oczami Szymika-teologa?

Tytułowy wykład, wygłoszony z okazji Jubileuszu autora podczas Wielkiego Złotu Seminarzystów w kwietniu ubiegłego roku, więcżaznamiennie słowa poświęcone teologii, czyli słowu o Bogu „na tu i teraz”, słowu „dla serca i rozumu”, wreszcie słowu na konkretną „fazę ludzkiego życia”. Takie przekonanie, nie mam żadnych wątpliwości, towarzyszy nieodłącznie dialogowi ks. Szymika, który toczy się w jego twórczości nieprzerwanie, pomiędzy ziemią a niebem. Budowanie pomostów między tymi rzeczywistościami polega na poszukiwaniu możliwych sposobów porządkowania świata i przywracania mu transcendentnego wymiaru. Bywa często, że rzeczywistość XXI wieku przeraża. O zagrożeniach świadczą nader wyraźnie znaki czasu. Wnikliwe spojrzenie autora rejestruje najważniejsze i niebezpieczne zjawiska, które prowadzą wprost do pogardy i odrzucenia Boga i człowieka. Słyszymy zatem o ateizmie jako o największym ludzkim nieszczęściu, o kulcie pychy „czasem przebranej za cnotę”, o technokracji, biurokracji i o „egocentrycznej stronie mentalności współczesnej”. A jednak myli się wielce ten, kto dostrzeże tutaj jedynie doświadczanie życia w jego dramatycznym wymiarze. Batalia toczy się o Transcendencję, bo każdemu z osobna został dany i zadany czas, ten czas, tu i teraz. Innego czasu nie będzie, dlatego powiada ks. Szymik z całą mocą: „kocham mój świat i mój czas” i „w przyszłość patrzę z nadzieją”. I ma rację.

ALEKSANDRA PETHE

Wiersze są trudnym do recenzji tworem, choć winny być uniwersalne w swoim przekazie. Ich treścią są zazwyczaj iskry bardzo intymnych emocji autora, krzesane przez prozę codziennych doświadczeń. Jak wejść w skórę człowieka, który uewnętrznia swoją wrażliwość, tak, by zrozumieć towarzyszące mu intencje i rozzejrzeć się w oglądanych przez niego obrazach? Najprościej chyba wybrać się z nim na spacer.

Spacer to tomik poezji Michała Wrońskiego, opublikowany niedawno przez krakowskie Wydawnictwo Miniatura. Jest zbiorem codziennych obserwacji autora, periodycznie publikowanych na jego facebookowym profilu oraz na blogu *Kraina Zielonego Pojęcia* (www.michalwronski45.blogspot.com).

Aby zrozumieć opowieść autora zawartą w wierszach, zawsze zaczynam od interpretacji tytułu. *Spacer*. Rozumiany dosłownie, jest niespieszną wycieczką niekoniecznie znanymi ścieżkami, okazją do obserwacji otaczającego świata i pełnego odczuwania metafizyki jego zjawisk. Tak zresztą wyjaśnia sens tego tytułu sam autor w wierszu *Spacerowanie*. Wiemy już zatem, że znajdziemy tu wiele odniesień do przyrody, a ci wszyscy, którzy znają twórczość Michała Wrońskiego, słusznie spodziewają się również, wędrowki w daleki nam, lecz bliski autorowi kosmos.

Dla Michała – wiem to, bo zapytałam – taki spacer jest codziennym rytuałem, dokonywanym pod kątem tego, co pojawi się później w opasłym brulionie, czekającym cierpliwie na nocnej szafce na kolejny wpis. Ten wpis z kolei pojawia się najczęściej około 5 rano, tuż po przebudzeniu. Jest czymś w rodzaju echa wczorajszych rozmów, zlepkiem refleksji i – co w spacerze oczywiste – ryśnięciem otaczającej autora przyrody. Bo Michał porozumiewa się z odbiorcą nie tylko słowem. Za pomocą kadrów zatrzymanych okiem niewielkiego aparatu opowiada o drodze, którą codziennie pokonuje. Jest dokumentalistą skrawków przestrzeni, wnikliwym analitykiem zabawnej gry obrazów z naszą ich interpretacją. Pokazuje nam rośliny wyglądające jak ptaki, cienie rzucone na przedmiot, zmieniające jego znaczenie, czy w końcu głębię bezkresnego nieba, wybuchającą feerią zależnych od pory dnia barw. Wszystko to, jak wyjaśnia Michał, jest inspiracją, z której rodzi się kolejny wiersz. Pokłósie tych właśnie krótkich fotograficznych podróży autora znaleźć możemy m.in. w wierszu *Noc*, w którym pisze: „Wieczór kazał mi oddać fotografie które zrobił dzień”.

Dla Michała – 69-letniego poety, prozaika i rzeźbiarza – spacer jest jednak także wędrowką przez życie, a właściwie – w głąb życia, które zapisane jest we wspomnieniach plejadą doświadczeń.

Przez ich pryzmat odczytuje codzienność, poddaje ją filozoficznym rozważaniom i przekazuje w postaci zwięzłego w formie, ale treściwego wiersza. Pisze o tym m.in. w utworze *Wędrujący* (Michał czasem „bywa artystą wędrującym po własnej duszy”, gdzie odnajduje m.in. „pola zapomnianych bitew”).

Zabrakło mi chyba w tym tomiku więcej subtelnych erotyków Wrońskiego, które zdobiły poprzednie zbiory wierszy. Owszem, pojawiają się i one, jak w wierszu, w którym uczłowieczona „Prawie naga arabeska, zwiewna i niebieska tańczyła ze mną zielonym”; w utworze *Tak*, który mówi o niespełnionej miłości, czy w końcu w *Erotyku delikatnym*, pisany z trudem, bo w „żyłach wrze krew”. Nie kobieta towarzyszy jednak autorowi w tych wierszach najczęściej, a „Samotność, która jest zazdrosna (...) chodzi sama do kina i na zakupy”. Wbrew pozorom, nie jest ona jednak bohaterką negatywną, bowiem pozwala autorowi na wewnętrzny spokój, w którym rodzą się jego refleksje. Choć przyznać trzeba, nie zawsze są to przemyślenia wesołe. Jak wykrzyknik postawiony na końcu zdania, tak dobitnie uwiadacznia to ostatni z wierszy zawartych w zbiorze:

Nie pytajcie
Nie mam już marzeń
Chcę tylko dojść do końca
w zdrowiu
(...)

W tomiku odnaleźć możemy również właściwą Michałowej twórczości zabawę słowem. Dobrym przykładem jest tu wiersz zatytułowany *NIC i COŚ*:

Szukając dziury w całym
spotkałem NIC
Powiedziało mi
że tak naprawdę
nie ma żadnego COŚ –
nie istnieje
A NIC króluje we Wszechświecie
czyli
wewnątrz moich atomów
Niczego więcej się nie dowiedziałem

Dopełnieniem treści zawartych w tomiku są ilustracje autorstwa krakowskiej graficzki – Bożeny Kuszilek. Obrazy nieco eteryczne, łączące elementy natury ożywionej i nieożywionej, budzą skrajne uczucia. Czasem spojrzenie w ich głębię rodzi niepokój, innym razem przynosi oczekiwane ukojenie. Ta amplituda emocji ma moc zmiany wymowy wierszy Wrońskiego, które pod wpływem ilustracji mogą zyskiwać inne, niż pierwotnie znaczenie. Takie uczucia towarzyszyły mi między innymi, gdy czytałam wiersz zatytułowany



Michał Wroński: *Spacer*. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2014, s. 143.

Na spacer z Michałem Wrońskim

Tajemnica bycia. Michał opowiada w nim o tym, że „słowa niezamienione zostaną na zawsze w kosmicznej nicości bez czasu”. Zilustrowany jaskrawozielonym liściem uwiecznionym w bryle lodu wiersz, z początku mówiący o niespełnieniu, niesie ze sobą jednak echa nadziei.

Na koniec pozwolę sobie zacytować słowa, które Michał Wroński zadedykował mnie:

Czekając w długiej kolejce
na schodach prowadzących
do mgnienia oka
nie pomyślałem
że będę o tym pisał
na kartce
która przed chwilą
była zupełnie pusta

Traktuję je jak rzuconie wyzwania, Michale. Będę obserwowała moje mgnienia oka, próbując zappełnić nimi własną pustą kartkę.

ADRIANA URGACZ-KUŹNIAK



Janusz A. Włodarczyk: *Obecność architektury*. Wydawnictwo Wyższej Szkoły Technicznej w Katowicach. Katowice 2013, s. 260.

Dla dyletanta- -miłośnika

W którym miejscu pomiędzy sztuką a techniką znajduje się architektura? Jak ją definiować? Gdzie w architekturze szukać wartości humanistycznych? Jak odróżnić ją od budownictwa? Kim jest architekt? Specjalistą czy dyletantem? Czy to rzemieślnik, czy już artysta? Jak rozpoznać kicz w architekturze? Na te i wiele innych pytań z pogranicza teorii i praktyki szeroko rozumianej architektury stara się odpowiedzieć w swoich książkach J.A. Włodarczyk. Ostatnia z nich pt. *Obecność architektury* kontynuuje rozważania podjęte w publikacjach takich, jak: *Oblicza architektury. Próby* (Białystok 2000), *Okolo architektury. Przemysłenia z przełomu wieków* (Białystok 2003), *Prawda i kłamstwa architektury* (Białystok 2009). We wszystkich wymienionych tomach znajdziemy komentarze do zawodowych i artystycznych dylematów projektanta-praktyka, ale także profesora, wykładowcy, który dostrzega głęboki sens swojej pracy. Od początku bowiem traktuje ją jako powołanie, a nie tylko źródło utrzymania.

Profesor Włodarczyk dzieli się przemysleniami, które nakazują mu upominać się o architekturę jak o zapoznaną dziedzinę sztuki, traktowaną na politechnikach jako za bardzo humanistyczną, a na uniwersytetach i uczelniach artystycznych postrzeganą przez pryzmat techniki i nauk ścisłych.

Autor *Archinotatnika. Opowieści o miejscach i stronach* (Katowice 2006) w przystępny sposób przedstawia swoje zdziwienia i zachwyty nad różnorodną zabudową w kraju i za granicą. Z licznych opisów, a także fotografii, które okraszają kolejne publikacje, wyłania się piękno nie tylko Krakowa, Kazimierza Dolnego czy Wrocławia, ale także modernistycznych Gdyni i (Nowych) Tychów. To ostatnie miasto doczekało się osobnej książki pod wymownym tytułem *Pokochać Tychy? czyli Miasto od nowa* (Katowice 2012), gdzie Włodarczyk jako jeden z jego współtwórców snuje – jak sam podkreśla – „opowieść o życiu w architekturze”, łączy prywatne wspomnienia z wiedzą historyczną na temat jego budowy.

Kolejne książki Włodarczyka powstają, by uświadomić, że architektura to byt wielowątkowy i wielopłaszczyznowy, kuszący przez swą niedefiniowalność, a jednocześnie tak bliski, że aż niezauważalny na co dzień. Architektura kojarzy się bowiem z wielkimi dziełami: z wieżą Eiffla, z piramidami i Sfinksem, z Wersalem, Big Benem czy dalekim Tadz Mahalem. Zapominamy, że architektura to nie tylko cuda, perły, ale to także nasze dzielnice, osiedla, domy, kościoły czy szkoły.

Swego rodzaju strategią pisarską autora *Literackiego słownika architektury* (Katowice 2007) jest przeplatanie wiedzy fachowej z subiektywizmem. Wrażenia, opinie, prywatne lektury zajmują dużą część wywodu. Pisanie o budynkach, planach itp. wpisane jest w szerszy kontekst kulturowy, ale także polityczny (m.in. o budownictwie w PRL-u, idei socrealizmu) czy gospodarczy (m.in. o niedostatkach inwestycyjnych). *Obecność architektury* nie jest pod tym względem wyjątkowa, można w niej znaleźć wszystko to, co cenione w pisarstwie Włodarczyka. Żarówno rzutki, eseistyczny styl, mnóstwo nawiązań do literatury jako świadectwa prywatnych lektur (od Mickiewicza, Gałczyńskiego, poprzez Szyborską, Benjamina, aż do Myśliwskiego i Stasiuka), drobne reminiscencje, refleksje o tym, co minione i o tym, co może przynieść przyszłości, a także dyskretne komentarze do wydarzeń aktualnych. Poza tym w najnowszym tomie autor *Architektury szkoły* (Warszawa 1992) zamieszcza tradycyjnie już liczne zdjęcia o znamionach artystowskich, czasem wręcz poetyckich (np. *Rytm poziomu*, s. 260). Fotografowanie jest bowiem ważnym aspektem działalności twórczej Włodarczyka. Od wielu lat odczuwa on swoistą konieczność dokumentowania stanu/wyglądu obiektów architektonicz-

nych. Oczywiście fotografia pomocna jest w pracy zawodowej, tak jak rysunek techniczny czy makietka, ale tu chodzi o coś więcej niż jej zakres praktyczny, usługowy.

Najnowszą publikacją adresowaną jest zarówno dla specjalistów, jak i dla tych, którzy (tu użyję słów autora z jednej z dedykacji) „architekturę postrzegają”, szczególnie zaś dla miłośników-dyletantów, widzianych przez profesora jako amatorów, ale pasjonatów, zgłębiających wiedzę z danej dziedziny, odczytanych, mających szerokie horyzonty. Znajdziemy w książce dwie zasadnicze części – pierwsza *Obecność i nieobecność architektury*, która porusza zagadnienia takie jak „odsświętność i codzienność” architektury, kwestia czasu (kategoria trwałości), kiczu, detalu; oraz druga *W klimacie archinotatnikowym*, nawiązująca nie tylko tytułem do wcześniejszej publikacji pt. *Archinotatnik*. Tym razem Włodarczyk zamieszcza miniatury o miejscowościach lotniskowych na przykładzie Świdra i Podkowy Leśnej, o polskich cmentarzach, a także zaraża urokiem Lanckorony i relacjonuje swoje wrażenia z podróży do Kanady (tu ciekawie wyłuskuje różnice architektoniczne między Halifax, Montrealem a Toronto).

Część pt. *Obecność i nieobecność architektury* wymaga dłuższego zatrzymania, gdyż stanowi rdzeń pewnego rodzaju filozofii jaką wyznaje autor. Otóż dla niego – zgodnie z myślą Witruwiusza – architekt powinien mieć na uwadze trzy podstawowe kwestie: trwałość, piękno i użyteczność, czyli łączyć technikę, sztukę i nauki humanistyczne. Podejście takie pozwala snuć opowieść z licznymi dygresjami, włączając wiedzę z pogranicza różnych dziedzin. Czasem więc Włodarczyk jest teoretykiem literatury, czasem językoznawcą (szczególnie gdy charakteryzuje różnorodne zjawiska, sięgając do korzeni pewnych słów, tłumacząc ich etymologię), czasem muzykologiem, fotografem, nauczycielem, czasem politykuje (np. oceniając 25 lat kapitalizmu), a innym razem wyklada prawo i historię XX wieku. Kiedy na przykład pisze o Gdyni i Tychach znajdzie miejsce, by zacytować Konrada z 3 cz. *Dziadów* Mickiewicza, piosenkę *Szklana pogoda* Lombardu; porówna modernizm z postmodernizmem, opowie o współpracy z żoną i kolegami z biura projektowego czy wypowie się na temat mieszkalnictwa, ekonomii i zjawisk socjologicznych. Tak subiektywnie dobrane uwagi do tekstu głównego potwierdzają, że dla Włodarczyka pisanie o architekturze jest nie tylko dzieleniem się wiedzą i doświadczeniem, ale również zaproszeniem do prawdziwie intelektualnej przygody. Dzięki książkom takim jak eseistyczno-filozofująca seria Janusza Włodarczyka pisanie/czytanie o architekturze nie musi być nudne i tyl-ko akademickie...

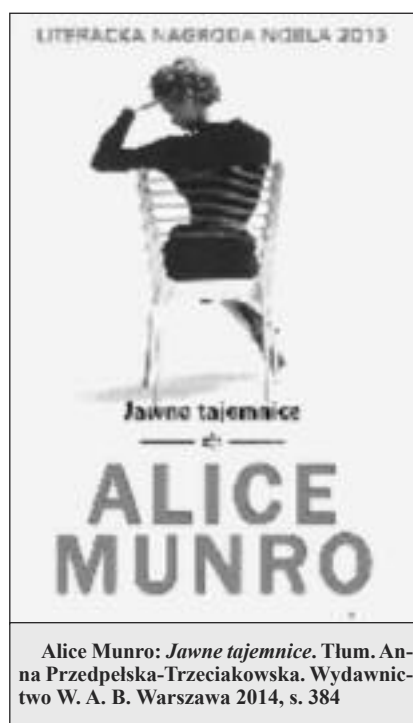
EDYTA ANTONIAK-KIEDOS

Twórczość A. Munro zyskuje coraz większą popularność na gruncie polskim. Oczywiście do tego przyczyniła się znacząco Nagroda Nobla w dziedzinie literatury, którą ta wybitna pisarka otrzymała w zeszłym roku. Obecnie nasi wydawcy wręcz prześcigają się w wydawaniu kolejnych tomów opowiadań „kanadyjskiego Czechowa” – jak czasem niebacznie określa się Munro. Od niedawna możemy sięgnąć po *Jawne tajemnice* – kolejną książkę zeszłorocznej noblistki wydaną w Polsce (na marginesie: ta książka nie jest już najnowsza przełożoną na polski pozycją Munro – ostatnio w naszych księgarniach pojawił się zbiór opowiadań *Księżyc Jowisza* opublikowany przez Wydawnictwo Literackie).

Na *Jawne tajemnice* składa się osiem dość kameralnych historii bardzo luźno połączonych miejscem akcji (małe miasteczko Cairstairs na kanadyjskiej prowincji). Jak to u Munro zazwyczaj bywa, wszystkie dotyczą kobiet, ich relacji z innymi ludźmi oraz prób odnalezienia swojego miejsca w świecie. W utworze *Za daleko*, otwierającym zbiór, bibliotekarka Louisa zakochuje się niejako „na odległość” w młodym żołnierzu, który pisze do niej pełne serdeczności listy ze szpitala. Narastająca fascynacja praktycznie nieznanym mężczyzną będzie miała wpływ na całe późniejsze życie bohaterki. *Prawdziwe życie to*, najogólniej ujmując, opowieść o perypetiach matrymonialnych. W oczach lokalnej społeczności nadchodzące małżeństwo z zamożnym cudzoziemcem, panem Speirsem, jest dla Dorrie prawdziwym wybawieniem – tylko czy przyszła panna młoda jest naprawdę szczęśliwa? Bohaterka *Albańskiej dziewczycy* decyduje się na radykalny krok, który zupełnie odmieni (czy może nawet zrujnuje) jej życie, ale przyniesie choć częściowe spełnienie i samodzielność, niemożliwą w obecności męża i kochanka. Narratorka stwierdza: „Dokonałam rozpaczliwej zmiany w swoim życiu i chociaż codziennie żałowałam, czułam się dumna z siebie. Jakbym wreszcie przyszła na świat w nowej, prawdziwej skórze” (s. 137). Opowiadanie tytułowe traktuje o zniknięciu nastolatki podczas dorocznej pieszej wycieczki młodych dziewcząt – wkrótce to niewyjaśnione zdarzenie obrasta legendą. W tekście *Hotel Jack Randa* porzucona Gail prowadzi ze swoim byłym partnerem wyrefinowaną grę, która nagle przybiera nieoczekiwany obrót. Owdowiała Annie McKillop-Herron z *Postoju w głuszy*, dobrowolnie udaje się do więzienia, przypisując sobie zbrodnię, której prawdopodobnie nie popełniła. Z kolei *Wylądowały statki kosmiczne* dotyczy osobliwej relacji łączącej dosyć bierną i nieco konformistyczną Rheę z nietuzinkową Eunie. Nie są one przyjaciółkami – wspólnotę odnajdują jedynie w osobliwej zabawie, w której wcielają się w tzw. Dwóch Tomów – istoty nieustraszone, zdolne pokonać zło, którego uosobieniem są wyobrażeni przebiegłi i okrutni Bannerszowie. Ostatni tekst w tym zbiorze – *Wandale* – to złożona historia o poszukiwaniu siebie w związkach z innymi, a także o przemocy, nienawiści i ranach, które zadane w dzieciństwie, nigdy właściwie się nie goją.

Opowiadania Munro raczej nie prezentują się imponująco pod względem fabularnym – bo też nie w fabule tkwi ich siła. Wydaje się, że kanadyjska noblistka najlepiej scharakteryzowała swoje piarstwo w wypowiedzi narratorki opowiadania *Meble rodzinne* ze zbioru *Kocha, lubi, szanuje* (Wydawnictwo Dwie Siostry, 2011) – dla niej tworzenie tekstów to rodzaj pracy „przypominającej bardziej chwytanie czegoś w powietrzu niż budowanie historii” (s. 148). Realizację tego swoistego literackiego *credo* można dostrzec w *Jawnych tajemnicach*. Wydaje się, że wszystkie historie składające się na ten tom najtrafniej opisuje słowo „ulotne”. To nie są miniatury z klarowną akcją, pełnokrwistymi, łatwymi do jednoznacznego określenia postaciami czy wyrazistymi puentami. Alice Munro wymaga od odbiorcy nie tylko uwagi, ale i pewnego rodzaju zaufania. Prowadząc czytelnika przez kolejne opowieści mnoży zagadki, rzuca mylące tropy, niewiele wyjaśnia, niczego nie nazywa wprost. Raczej delikatnie szkicuje niż odmalowuje z pomocą pełnej palety literackich barw sceny z życia swoich bohaterów. Niekiedy można odnieść wrażenie, że kolejne akapity niczego nie rozjaśniają – ot, mają miejsce kolejne niewiele znaczące zdarzenia, toczą się długie konwencjonalne rozmowy. Owa prostota jest jednak zwodnicza – między wierszami kryje się ogromne napięcie. Ta niepokojąca proza aż kipi od trudnych emocji. Kolejne akapity odsłaniają (czy może raczej: sygnalizują) cierpienie, poczucie niespełnienia, niemożność ucieczki przed problemami, zazdrość, zagubienie, fascynacje. Tego wszystkiego doświadczają kobiety w *Jawnych tajemnicach*. Munro mówi o tym cicho, jakby mimochodem. Takie ujęcie jeszcze lepiej obrazuje trudną sytuację jej bohaterek, które przeważnie są nieszczęśliwe, choć nie zawsze chcą to sobie uświadomić. Znajdują się pod presją oczekiwań społecznych, tkwią uwięzione w nieudanych i często toksycznych związkach, próbują spełnić swoje marzenia zbyt dużym kosztem, nie potrafią sobie poradzić z dawnymi traumami.

Warto zaznaczyć, że omawiana w niniejszym szkicu pozycja wyróżnia się na tle innych książek Munro. Zazwyczaj te utwory charakteryzuje niejaki brak skomplikowania również pod względem formalnym. Tymczasem *Jawne tajemnice* to swego rodzaju igranie z literaturą – kanadyjska pisarka wypróbowała rozmaite konwencje, raz za razem puszczając oko do czytelnika. *Za daleko* stanowi swoisty literacki patchwork z roz-



Pozornie proste historie

maitych form z zaskakującym finałem (zarazem trzeba stwierdzić, że taka przewrotność nie posłużyła temu opowiadaniu, które wydaje się chaotyczne i nieco przekombinowane). W *Albańskiej dziewczycy* dwie opowieści z zupełnie różnych czasów i światów przeplatają się ze sobą. Na *Postój w głuszy* składają się niemal wyłącznie listy. Z kolei rytm opowiadania tytułowego wyznacza piosenka opisująca tajemnicze zniknięcie młodej dziewczyny. Te i inne zabiegi będą z pewnością sporą niespodzianką dla czytelnika przyzwyczajonego do „klasycznych” opowiadań A. Munro.

Jawne tajemnice to przykład prozy wielowarstwowej. Za, zdawałoby się, niezbyt wyszukany fabułą kolejnych tekstów kryje się bogactwo rozmaitych znaczeń. Zwyczajni bohaterowie okazują się skomplikowanymi psychologicznie, a spokojne życie, jakie prowadzą – pełne tajonych dramatów, trudnych wyborów i obezwładniających frustracji. Warto sięgnąć po tę znakomitą książkę – choć bez liczenia na ujawnienie wszystkich tajemnic wypełniających te opowiadania.

MICHAŁ PAWEŁ URBANIAK

Muzeum Organów Śląskich. The Museum of Silesian Organ. [oprac. naukowe: Julian Gembalski, foto: Janusz Cedrowicz]. Wyd. Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, Katowice 2013, s. 160.

Dość dawno temu odwiedziliśmy Muzeum z red. Beata Tomanek i prof. Maciejem Sablikiem nagrywając materiał do audycji Radia Katowice. Niezapomniane przeżycie. Oprowadzał nas twórca tej placówki, prof. Julian Gembalski, który o śląskich organach (nie tylko tych zgromadzonych w podziemiach katowickiej Akademii Muzycznej) wie wszystko, mało tego – wirtuozowsko na tych instrumentach gra. Bez pośpiechu oglądaliśmy organy, czasem tylko ich fragmenty uchronione od zniszczenia (np. piszczałki), podziwialiśmy także fisharmonie niegdyś tak popularne na Śląsku. I słuchaliśmy Profesora, który o swojej pasji umie fantastycznie opowiadać. Od tej pory kilkakrotnie odwiedzałem Muzeum z moimi gośćmi, którym chciałem pokazać miejsca w Katowicach najciekawsze. Kiedy trafił do mnie wydany niedawno album z fachowym tekstem Gembalskiego i cudownymi zdjęciami Cedrowicza, wszystkie zachwyty odżyły.

Joanna Popanda, Urszula Rzewiczok: Made in Katowice. Wyd. Muzeum Historii Katowic, Katowice 2014, s. 44.

Ten niewielki, ale bardzo atrakcyjnie wydany album jest uzupełnieniem tak samo zatytułowanej wystawy w Muzeum Historii Katowic. Dzięki temu możemy się dowiedzieć, co w Katowicach produkowano od XIX do mniej więcej drugiej połowy XX stulecia. I są to czasem informacje niezwykle, dotyczące np. lokalizacji zakładów przemysłowych, które niekiedy funkcjonowały niemal w centrum miasta. Inna rewelacja to bogactwo i różnorodność asortymentu dóbr na miejscu wytwarzanych. Kojarzmy boguciczką „Porcelanę”, ale mało kto wie, gdzie produkowano u nas rowery (a oprócz nich m.in. gramofony, mandoliny i bałajki i maszyny do szycia). Słynny krem „Nivea” przywodzi na myśl Gliwice, ale miał on również swój katowicki rozdział. Osobną część w publikacji poświęcono usługom i handlowi. Myślę, że informacji z tym związanych w PRL nie puściłaby cenzura, bo drażniłyby niesłychanie mieszkańców. Atrakcją albumiku są archiwalne zdjęcia, ale przede wszystkim reklamowe druki (np. pocztówki) w stylu retro.

Maria Lipok-Bierwiaczonek: Moje tyskie niebo. Fotografia. Wyd. Muzeum Miejskie w Tychach, Tychy 2014, s. 24.

We wstępie do tego niewielkiego albumiku autorka opowiada o swoim zamiłowaniu do fotografowania, potem o pomysłach utrwalania na zdjęciach tyskiego nieba, które było pierwszym elementem pejzażu dostrzeganym z jej mieszkania na jedenastym piętrze. Rzeczywiście, tematem prezentowanych w publikacji prac jest niebo, tyskie niebo – to ważne, bo oprócz błękitu, czasem szarości, różnobarwnych chmur (każda fotografia jest opatrzona informacją w jakim miesiącu została wykonana), w dole widać „kawalek” miasta. Raz są to domy, innym razem – wysokie kominy albo jakieś obiekty przemysłowe, czasem – pola. Uroda tych zdjęć skłoniła mnie do samokrytycznej refleksji, że zbyt rzadko spoglądam na niebo nad swoim miastem, przez co – przywołując Mickiewicza – „takie widzę świata koło, jakie tępymi zakreślam oczy”. Odautorski tekst kończy się zdaniem: *Wystawa fotografii została przygotowana jako symboliczne zamknięcie dziesięciu lat mojej pracy w Muzeum Miejskim w Tychach.* Pani Dyrektor, nie wierzę.

Ginter Pierończyk: Asty kasztana, czyli opowieść o Śląsku niezmysłowym. Wyd. Instytut Śląskiej Godki – Mega Press II, Łędziny 2014, s. 88.

Autor jest emerytowanym górnikiem, który – jak sam mówi – „nie przestał kopać”. Z tym, że już nie fedruje węgla, tylko grzebie w rodzinnych (i nie tylko) archiwach, odnajduje dokumenty i zdjęcia, a wszystko po to, żeby się dowiedzieć wszystkiego o swoich przodkach, o domu, w którym się wychował, o dzielnicy, gdzie wiele lat mieszkał. To „kopanie” sprawiło, że na emeryturze zadebiutował jako literat. Zabawnie opisuje to we wstępie. Kiedy już zgromadził materiały, okazało się, że jego maszyna do pisania jest bezużyteczna, bo już nie ma do niej akcesoriów. Nabyty przypadkowo laptop na początku był torturą, zapisany tekst zniknął bezpowrotnie. Pomogli: córka, zięć i wnuk. Były jeszcze warsztaty literackie z Martą Fox. Ale się uparł, dzięki czemu powstała barwna opowieść o rodzinie, Załężu, skomplikowanych losach Ślązaków, wspaniałych kobietach – babci Wiktorii i Marii Sobczyk-Król, no i oczywiście tytułowym kasztanie. Świetna lektura.

Adam Gawron: Bibliografia polskich wydawnictw zwartych o Ziemi Pszczyńskiej. Tysiąc ksiązek w latach 1612-2013. Wyd. Towarzystwo Miłośników Ziemi Pszczyńskiej, Muzeum Prasy Śląskiej w Pszczyńcu, Pszczyzna 2014, s. 156.

Lubię studiować bibliografie, więc nic dziwnego, że ta publikacja mnie mocno zainteresowała. Jest doкладnie tym, co obiecuje tytuł. Ma układ rzeczowy (zaczyna się od działu „Zagadnienia Ogólne”, w którym wymieniono aż pięć bibliografii wcześniejszych związanych z Ziemią Pszczyńską). Potem mamy m.in. „Biografie”, „Historię”, „Kulturę, naukę i oświatę”, „Literaturę piękną. Teorię literatury”, „Sztukę” i „Książki i czytelnictwo. Biblioteki. Archiwa”. Wykaz tego „tysiąca ksiązek” to jednak nie wszystko. Jest jeszcze aneks: „Bibliografia polskich czasopism ukazujących się na Ziemi Pszczyńskiej (1845-2013)”, który bardzo mnie ucieszył, pokazuje bowiem ogromne bogactwo prasy regionalnej, zajmującej się problemami gminy, powiatu, parafii. Dużo tytułów historycznych, powszechnie znanych, sporo jednak takich, które ukazują się od roku – założony – „1994 – do dziś”.

Zbiór poezji z Łąki. [Wybór i opracowanie: Edward Krzyżanek, Paweł Stanisław Zieburaj]. Wyd. Towarzystwo Miłośników Łąki, Pszczyzna 2013, s. 412.

Od razu zastrzeżenie: to nie jest poezja wybitna. Ale też nie o wartości artystyczne, czy nowatorskie poszukiwania w niej chodzi. Te wiersze, zgodnie z intencjami ich autorów, mają pokazywać piękno krajobrazu (zmienia się, niestety), dokumentować życie codzienne, zwłaszcza to dawne, którego ramy były wyznaczone przez tradycyjny system wartości, zwyczaje, obrzędy, kulturę ludową. Ta książka ma służyć ocaleniu pamięci o pięknym z perspektywy czasu świecie. Wydana została dla specjalnie łączan, Kochających swoje miejsce. Byłem w Łące, poznałem niektórych mieszkańców, zrobili na mnie wrażenie. Oni rzeczywiście znają swoją historię, chcą swoje tradycje kultywować, w dodatku potrafią się organizować wokół różnych inicjatyw społecznych, czy kulturalnych. W ogóle w tamtych stronach można już mówić o społeczeństwie obywatelskim. Wracając do książki – zawiera wiersze Jana Kupca, Stanisława Standury, Rajmunda Standury i Alojzego Gruszki.

Anekdoty

HENRYK BZDOK

Kiedy moja średnia buda organizowała pierwsze po latach spotkanie – mnie tam nie było, widocznie z tą samą pilnością mnie namierzano, z jaką i ja dążyłem do wyników w nauce.

Na kolejne zostałem zaproszony... postanowiłem pojechać.

Może spotkam Mariana, Fryderyka lub Janka czy Reinholda, a może nawet Wernera, Seweryna...

Po 59 latach pojawiłem się w okolicy, która słabo przypominała tą zachowaną w pamięci.

Nawet daleki charakterystyczny widok wapienników przy torach uległ czasowi.

Tam gdzie niegdyś na stoku przed laskiem rozciągało się wielce oryginalne boisko, w którym piłka staczała się naszym w lewo a przeciwnikowi w prawo, ze zmianą po przerwie, stało stabilnie zbudowane małe osiedle.



Osamotnione gmaszysko naszej budy stało teraz w środku pola rozsypanych klocków domów.

Było przed czasem, większość uczestniczyła w nabożeństwie ujętym w programie.

Na placu przed szkołą grupka posiwiatych panów w domyśle też niedgysiejszych absolwentów.

Kiedy doszło do mnie, że byli z rocznika oddalonego od mego o dekadę później, oddaliłem się od nich z komentarzem „smarkacze”...

W tym czasie pojawiła się w szyku marszowych, grupa pomszalna.

Na czele kroczyła Nieustanna Prymuska naszej klasy Iwona.

Zaskoczenie, że ją poznałem i moje rozczarowanie, że nikogo więcej z mej klasy.

Cóż można sobie po tylu latach powiedzieć, jak nie nudząc streścić minione, choć właściwie po co?

Po kwadransie rozmowy, wiedzieliśmy o sobie nieco więcej, tyle że starczy.

Profesor M, brat dwu znanych artystów, ten który wskazał mi kierunek, w którym mogłem zaistnieć, poznał mnie z daleka, uściskał, zamienił parę zdań, że wie od braci co u mnie.

Zacząła się część oficjalna, kolejno przemawiali niedgysiejsi najlepsi.

Mój czas nie miał kontynuatorów, Ci, z którymi jeszcze mogłem zamienić parę tekstów, byli zajęci wygłaszaniem własnych.

Przeważnie chwalili wspominając... Potem zaczęła się część artystyczna, występy aktualnych wychowanków w repertuarze naszej młodości.: – Karuzela, karuzela... Wio koniku... Marynika, Marynika... Halo, kto puka do mych drzwi?...

Brakowało mi tylko tej znanej, pieśni śpiewanej na codziennych apalach porannych.

Zacząłem dojrzywać do zmiany otoczenia.

To był świat, w którym nie miałem nic do powiedzenia, a lubię mieć...

Jeszcze chwila samotności w tłumie, zwrot na pięcie, wyjeżdżam po dwu godzinach pobytu.

Stało się, że podróż do celu o wiele ciekawszą bywa niż on sam... ■

Bywają takie chwile, że zasnąć trudno po przerwaniu śnie. By nie leżeć i dać się porwać nostalgii za mijającą nieubłaganie młodością, mam w zapasie linki do pomysłów i wylizanek...

No to sobie wybrałem temat „Graficy”: imię nazwisko, praca.



W kolejności przypadkowej. Janina Biała, żona Ferdka, linoryty – ptak, kwiaty, słońca,... Marian Malina, postacie we własnej technice – celografii.

Nasuwają mi się wspomnienia z lat siedemdziesiątych, kiedy to Malina z wyboru Jury otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie „Grafika Roku”, po otwarciu kopert jednakże okazało się, że to nie On był autorem nagrodzonej pracy lecz mniej znany grafik Bronisław Jarczok, który chyba jedynie przez tę doskonałą podróbkę, pozostał mi w pamięci.

Roman Starak, proste, bardzo proste, doskonałe... pejzaże linoryty. Jest i ten, no ten, co to jego deski drzeworytnicze, podmalowane wiszą w Wydziale Kultury Urzędu Marszałkowskiego... no, Stefan – od tematyki wiejskiej – Suberlak, z Katowic do Ujsoł uciekł, ale nie z tego powodu Żywiecczyznę do śląskiego potem podłączono. Jan Nowak – fajny starszy kolega, wcześniej asystent u Raka – litografia, orkiestry, clowni, cyrk i muzyka... jeszcze nie śpię, więc i dalej wyszukuję w pamięci – Ryszard Osadczy, ten wybył do Częstochowy, tematów nie pamiętam, snują mi się jakieś kuliste formy, w technice mieszanej. Zygmunt Acedański – szef Oddziału Gliwickiego ZPAP i teść Jurka Sajdaka... linoryty o tematyce historycznej, Joanna Bogusławska i ostre wejście ze swoimi linorytami.

Tadeusz Siara – listy w akwafortcie.

Steller Paweł, od niego winienem zacząć, drzeworyty sztorcowe, portrety, pejzaże.

Kazimierz Moździerz, drzeworyty, ekslibrisy, pogodny bytomski kolega, było że jechaliśmy na Walny Zjazd do Lublina, przed Kazimierzem Dolnym zatrzymał samochód i prosił, by go na tle szyldu miasta sfotografować, by być blisko napisu trzeba go było podnosić, bo był jak Napoleon.

Kazimierz Kandefor – trochę kapral dla młodszych kolegów, ale zyciulwy, linoryty...

Rak Aleksander, „ojciec” całej tej rzeszy, właściwie to pod jego surową ręką wyrosła cała rzesza katowickich grafików, poważny profesor, którego mi się udało rozśmieszyć swoim projektem linorytu o picassowskiej tematyce corridy, „chłopie, ten byk u Was taki mały...” jako emeryt mieszkał niedaleko mego nowego miejsca pobytu, co skłoniło mnie do odwiedzenia go z okazji imienin.

Profesor okazał się bardzo przyjaznym, ten który nas ganił kiedy byliśmy „po piwie”, teraz poczęstował kieliszkiem nalewki, a potem „no to Panowie na drugą nogę”... Wylizczam dalej – Jadwiga Smykowska, dobre drzeworyty, Kazimierz Szoltysek z Zabrze, miedzioryty, i jeszcze ktoś na „S” Szypuła Ferdek – mistrz nie lada, miał poczętki w linorycie, aktualnie tworzy w technice cyfrowej. Jeszcze jeden, mam go na końcu języka, zaczyna się „S”, próbuję Szi... Sze... Szo... Szu... i nie, mam jego twarz pod powieką, no taki niewysoki z białą czupryną włosów, tworzy w metalu... małe cudowne grafiki... dalej nic.

Zaczynam się bać, że to pierwsze objawy...

Pustka, dlaczego nie pamiętam... więc wylizczam dalej – Jan Walałach – drzeworytnik, Franciszek Wyleżuch – linoryt, Stanisław Gawron – akwaforta, i jeszcze jeden w akwafortcie – Tadeusz Zober, a tego na „SZ” dalej nie mogę sobie przypomnieć... mijają bezsenna godzina, gdy naraz, bez fanfar wyświetla mi się nazwisko Szmatoch, Jan Szmatoch.

O, dzięki Bogu to nie Teresina.

Pytacie co to Teresina? Tak mówią moi włoscy Przyjaciele – to samo co Alzheimer, tyle że brzmi znacznie lepiej... ■

Rola bibliotek w ciągu lat ulegała zmianom. Przyczynił się do tego w dużym stopniu postęp technologiczny – upowszechnienie Internetu jako znaczącego medium, pojawienie się nowych – obok książki papierowej – form wydawnictw (publikacje multimedialne, audiobooki, e-booki). Jednak pomimo przeobrażeń biblioteki nie przestały być potrzebne. A książka nadal jest wartością w ich działalności.

Gminna Biblioteka Publiczna w Goczałkowicach-Zdroju została założona w 1948 roku i działała jako punkt biblioteczny w budynku Domu Zdrojowego. Początkowo jej księgozbiór liczył zaledwie 865 pozycji. W 1953 r. na potrzeby księżnicy oddane zostało pomieszczenie w nowo wybudowanej Szkole Podstawowej nr 1. Później bibliotekę przeniesiono do budynku Ochotniczej Straży Pożarnej. Od 1975 r., gdy gminę włączono do Pszczyny, działała jako filia Powiatowej Biblioteki Publicznej w Pszczynie – do 1992 r., kiedy to na nowo powstała gmina Goczałkowice-Zdrój. W tym samym roku – w związku z potrzebami lokalnymi gminy – placówka ponownie została przeniesiona do budynku szkoły i zaczęła funkcjonować jako Gminna Biblioteka Publiczna. W 2001 r. – na mocy uchwały Rady Gminy Goczałkowice-Zdrój – otrzymała status instytucji kultury. Siedzibą goczałkowskiej księżnicy od 2008 r. jest budynek Gminnego Ośrodka Kultury przy ul. Uzdrowskiej 61.

Do zadań Gminnej Biblioteki Publicznej w Goczałkowicach-Zdroju, jako instytucji kultury, należy rozwijanie i zaspokajanie potrzeb oświatowych, kulturalnych i informacyjnych mieszkańców oraz popularyzowanie wiedzy. Działania te nie byłyby możliwe, gdyby nie dotacja Urzędu Gminy oraz wsparcie Biblioteki Narodowej i Fundacji Orange. To dzięki nim goczałkowska biblioteka wzbogaca swoje zbiory o nowości książkowe, a od tego roku – wychodząc naprzeciw oczekiwaniom czytelników – również o audiobooki. Zapewnia także bezpłatny dostęp do szerokopasmowego Internetu, z którego korzysta wielu odwiedzających.

Z okazji obchodów XX-lecia gminy Goczałkowice-Zdrój w 2012 r. biblioteka zorganizowała koncert Grzegorza Turnaua i Jacka Królka *Wieczór piosenek sowich* (realizując



Uczestnicy akcji „Cała Polska czyta dzieciom”

GBP w Goczałkowicach-Zdroju

Biblioteka – lubię to!

projekt współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach osi 4: Leader – Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007–2013).

W 2013 r. uczciliśmy 65-lecie powstania biblioteki. Obchody rozpoczęły „Ogrodowe spotkania z literaturą”, podczas których zaprezentowano inscenizacje fragmentów klasycznych utworów (m.in. *Ani z Zielonego Wzgórza* Lucy M. Montgomery, *Hobbita* Johna R. R. Tolkiena, *Romea i Julii* Williama Shakespeare’a). Występy przygotowała młodzież z Koła Bibliotecznego działającego w bibliotece Gimnazjum w Goczałkowicach-Zdroju, z którym współpracujemy od kilku lat przy realizacji projektu „Gimnazjaliści poznają pisarzy”. Podczas uroczystości Gabriela Placha, wójt Goczałkowice-Zdroju, podkreśliła, że działalność biblioteki wzbogaca życie gminy i jej mieszkańców. Wręczyła również Jadwidze Król, pełniącej funkcję dyrektora placówki od 1987 r., odznakę honorową Zasluzony dla Kultury Polskiej, nadaną przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Punktem kulminacyjnym obchodów był koncert Zbigniewa Wodeckiego.

Gminna Biblioteka Publiczna w Goczałkowicach-Zdroju współpracuje ze wszystkimi placówkami oświatowo-wychowawczymi w gminie, organizując lekcje biblioteczne i spotkania z pisarzami. W księżnicy gościli m. in.: Ewa i Wanda Chotomskie, Marta Fox, Agnieszka Frączek, Beata Ostrowska, Marcin Pałasz, Renata Piątkowska, Joanna Sorn-Gara, Kazimierz Szymeczko.

Ważne miejsce w kalendarzu imprez zajmują obchody Tygodnia Bibliotek. Z tej okazji co roku zapraszamy dzieci z goczałkowskich przedszkoli i szkół. Czeka tu na nie miła niespodzianka – głośne czytanie przez znaną w środowisku lokalnym poetkę i zabawy prowadzone przez pracowników naszej księżnicy. W tym roku, włączając się w tę ogólnopolską akcję promującą czytelnictwo i biblioteki, zorganizowaliśmy również spotkanie autorskie w Szkole Podstawowej nr 1. Uczniowie klas V i VI mieli okazję porozmawiać z Anną Czerwieńską-Rydel, muzykiem, pedagogiem, autorką książek biograficznych dla dzieci i młodzieży, laureatką Nagrody Stowarzyszenia Wydawców Katolickich Feniks (2011). Pisarka przeczytała fragmenty swojej najnowszej powieści *Kryształowe odkrycie* – poświęconej Janowi Czochrałskiemu, wybitnemu polskiemu uczonemu, nazywanemu ojcem elektroniki – i odpowiedziała na pytania publiczności.

Z myślą o młodych czytelnikach prowadzone są także cykliczne zajęcia „Angielski w bibliotece”. Z Gminnym Ośrodkiem Kultury co roku organizujemy Wieczór z Andersenem, Rodzinną Majówkę oraz wiele innych imprez kulturalno-edukacyjnych.

W 2013 r. biblioteka po raz drugi przygotowała wystawę prac artystów malujących ustami i nogami, związanych z raciborskim wydawnictwem „Amun”. Ekspozycja cieszyła się sporym zainteresowaniem. Zwiedzający z niedowierzaniem podziwiali prace twórców, którzy pomimo przeciwności losu potrafią rozwijać swój talent i pasję.

Goczałkowska biblioteka jest w doskonałej formie – coraz bardziej nowoczesna, stała się miejscem, w którym warto być. Dzięki realizacji różnorodnych przedsięwzięć kulturalnych i edukacyjnych dostosowuje swoją ofertę do potrzeb współczesnych odbiorców.

ANNA GRZEGORSKA

Zdjęcie z archiwum GBP w Goczałkowicach-Zdroju



Punktem kulminacyjnym obchodów 65-lecia GBP był koncert Zbigniewa Wodeckiego



Z okazji obchodów XX-lecia gminy Goczałkowice-Zdrój w 2012 r. biblioteka zorganizowała „Wieczór piosenek sowich” z udziałem Grzegorza Turnaua i Jacka Królka

Pamięci Henryka Sławika i Jozsefa Antalla

Pomnik Henryka Sławika (1894 – 1944) i Jozsefa Antalla seniora (1896 – 1974) – bohaterów trzech narodów polskiego, żydowskiego i węgierskiego, wspólnie organizujących pomoc dla Żydów podczas II wojny, zostanie wzniesiony na placu przed Spodkiem, w sąsiedztwie budynku Międzynarodowego Centrum Kongresowego i hali widowiskowo-sportowej „Spodek” – tak zdecydowali katowiccy samorządowcy.

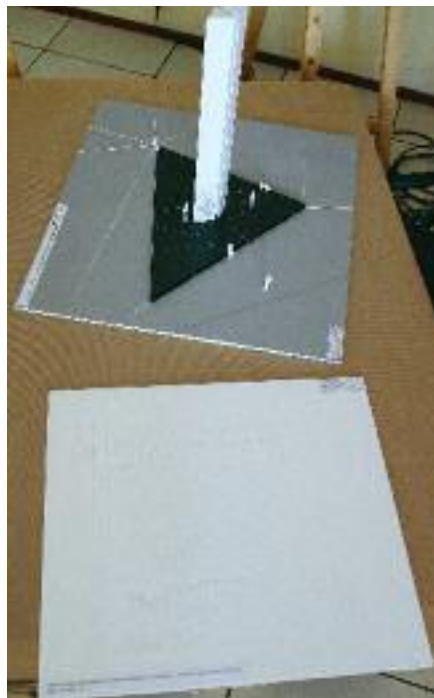
Obie te postaci poprzez swą wieloletnią wspólną działalność, która przerodziła się w przyjaźń na śmierć i życie, stały się współczesnym symbolem przyjaźni polsko-węgierskiej. Miasto Katowice postanowiło upamiętnić tych niezwykłych ludzi i ich czyny, budując ich wspólny pomnik.

Konkurs na pomnik ogłosiło Miasto Katowice. W maju tego roku ogłoszono wyniki. Nadesłane projekty oceniało jury: arch. Jacek Budyn, prof. dr hab. Antoni Cygan – rektor ASP w Katowicach, arch. Ryszard Jurkowski, prof. dr hab. Wincenty Kućma – artysta rzeźbiarz, Michał Luty – wiceprezydent Katowic, arch. Jacek Mroczkowski, prof. dr hab. Grzegorz Oslisło, arch. Jerzy Szczepanik-Dzikowski i prof. dr hab. Jan Tutaj. Przewodniczącą jury była Krystyna Siejna – wiceprezydent Katowic.

Pierwszą nagrodę jury przyznało Janowi Kuce z Katowic oraz Michałowi Dąbkowi z Krakowa. Wy-

różnienie otrzymali Bartosz Majewski i Agnieszka Majewska AMAYA ARCHITEKCI z Katowic.

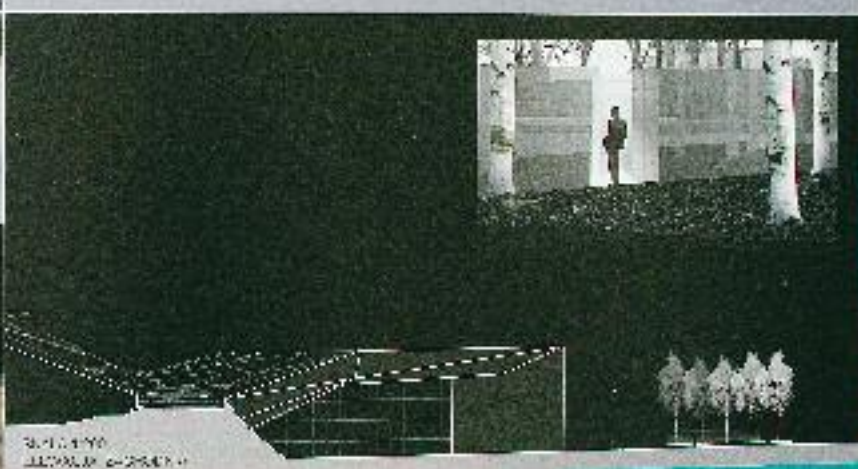
(wk)



▲ Wyróżnienie

◀ I Nagroda

▼ I Nagroda



Zdjęcia: BP UM Katowice



Barbara Kamińska Członek Zarządu Województwa Opolskiego oraz Ryszard Wilczyński Wojewoda Opolski (w środku) otwierają opolskie obchody Święta Wolności.



Biało-czerwone balony na inaugurację Święta Wolności wleciały ku niebu nad Placem Wolności w Opolu.



Konkursy, gry, zabawy dla dzieci i młodzieży prowadził Michał Świtala, aktor teatru Eko Studio w Opolu.



Konkurs zdobienia godła Polski przez uczniów opolskich szkół podstawowych.



Występy artystyczne uświetnił zespół „Shantażyści” laureat przeglądu „Opolskie Szmaragdy”.



OPOLSKIE ŚWIĘTO WOLNOŚCI

W 25. rocznicę wyborów do Sejmu z 1989 roku, Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego wspólnie z Opolskim Urzędem Wojewódzkim i Filharmonią Opolską zorganizował w Opolu obchody tej rocznicy w ramach imprezy „Święto Wolności – Świętem Radości”. W programie dla dzieci i młodzieży szkolnej znalazły się: konkursy, gry, zabawy i nauka piosenki „Kto ty jesteś?” do wiersza Władysława Bełzy oraz występy laureatów przeglądu zespołów artystycznych „Opolskie Szmaragdy”, które przyciągnęły liczne grupy uczniów opolskich szkół. Jedną z atrakcji był również lot biało – czerwonych balonów, wypuszczonych do nieba przez Opolan biorących udział w inauguracji imprezy.

Obchody Święta Wolności zakończył koncert „Wolność Nasza” w Filharmonii Opolskiej, podczas którego Marszałek Województwa Opolskiego Andrzej Buła wręczył odznaki honorowe „Za Zasługi dla Województwa Opolskiego” dla mieszkańców regionu zaangażowanych w działania na rzecz odzyskania wolności. Następnie Filharmonicy Opolscy pod dyrekcją Wiesława Pierogórki wystąpili z opolskimi wykonawcami (Barbara Kurdej – Szatan, Opole Gospel Choir, Krzysztof Puma Piasecki, Anna Świątczak, Jarosław Wasik, Paweł Tomaszewski). Koncert zakończył recital gwiazdy wieczoru – Ewy Bem, po którym komplet publiczności podziękował artystom owacjami.

dks



Koncert „Wolność Nasza” w Filharmonii Opolskiej im. Józefa Elsnera z udziałem gwiazdy wieczoru – Ewy Bem.

Zdjęcia: Łukasz Józwenko

Pałac w Pawłowicach

W tym roku mija 150 lat od wzniesienia pałacu w Pawłowicach (gmina Gorzów Śląski, powiat oleski), którego budowniczym był Fryderyk Wilhelm Konstantyn von Pannwitz, wywodzący się z arystokratycznej rodziny sięgającej korzeniami do średniowiecznej szlachty pochodzącej z Łużyc. Eklektyczny pałac z elementami barokowymi i neorenesansowymi przechodził zmienne koleje losu. W publikacji „Pawłowice – dzieje wsi i pałacu” szczegółowo opisała je Ewa Cichoń dyrektor Oleskiego Muzeum Regionalnego. Po II wojnie światowej w pałacu mieściło się m.in. przedszkole oraz szkoła rolnicza z internatem. Na rozpoczęcie roku szkolnego w 1980 r. po raz pierwszy do pałacu wszedł Benjamin Godyla – uczeń Technikum Mechanizacji Rolnictwa. Zapewne nawet w snach wówczas nie przypuszczał, że ćwierć wieku później przybędzie tutaj, aby zostać jego właścicielem i patronem, który ocali zabytek przed zniszczeniem, bowiem po likwidacji szkoły pałac na kilka lat opustoszał i pojawiło się realne zagrożenie, że pozbawiony gospodarza zamieni się w ruinę, jak wiele innych rezydencji ziemiańskich na Śląsku.

Państwo Ewa i Benjamin Godylowie, prywatni przedsiębiorcy, dzięki swojej ciężkiej pracy i pomysłowości zdołali przywrócić świetność dawnej rezydencji Pannwitzów – zapewne dziś jest jeszcze piękniejsza od tej z 1864 r. Po odnowieniu stanowi modelowy przykład adaptacji zabytkowego pałacu na centrum hotelowo-konferencyjne z wykorzystaniem dotacji unijnych z RPO Województwa Opolskiego na lata 2007–2013. Pałac w Pawłowicach to jedna z najpiękniejszych wizytówek Śląska Opolskiego, wraz z jego otoczeniem jest nie tylko miejscem wypoczynku, rozrywki i zabawy, gdzie powstały nowe miejsca pracy, ale także centrum życia kulturalnego oraz wielu cennych przedsięwzięć lokalnej społeczności. Ogólnopolska Gala Mundurowych Orkiestr Dętych „Złoty Suzafon”, Festiwal Piosenki Religijnej „Barka” zapisały się na stałe do kalendarium wydarzeń kulturalnych regionu. Spośród wielu koncertów, spotkań i konferencji, warto wspomnieć poświęconą funkcjonowaniu prywatnych zamków i pałaców wraz z posiedzeniem senackiej komisji do spraw kultury, którą zorganizował opolski senator Aleksander Świeykowski. Konferencja była ważnym forum do dyskusji na temat problemów prawnych i finansowych, jakie mają prywatni właściciele dużych obiektów zabytkowych. Działalność nowych właścicieli Pałacu w Pawłowicach można podsumować sentencją współczesnego polskiego aforysty Władysława Grzeszczaka „Kto buduje – pracuje także dla swych dzieci, kto buduje dobrze – pracuje również dla swych wnuków, ale kto tworzy – pracuje dla wszystkich przyszłych pokoleń”. Państwo Godylowie budowniczo i mecenasi, tworzą dzisiaj niezwykłą przestrzeń Pałacu w Pawłowicach, gdzie współczesne funkcje biznesowe harmonijnie przenikają się z misyjną działalnością społeczną i dziedzictwem kulturowym dawnej rezydencji śląskiego ziemiaństwa, nad którym wciąż czuwa genius loci.

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

W kręgu kultury kresowej

W ogrodach Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu odbyło się 5. spotkanie organizacji kresowych województwa opolskiego, z udziałem marszałka województwa Andrzeja Buły, członka ZWO Barbary Kamińskiej i przewodniczącego Sejmiku Województwa Opolskiego Bogusława Wierdaka, który otrzymał pamiątkowy medal z podziękowaniami za wsparcie Kresowian wręczony przez prezes Irenę Kalitę, reprezentującą blisko stu przedstawicieli opolskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz innych stowarzyszeń kresowych m.in. z Opola, Nysy, Głubczyc, Kędzierzyna-Koźła, Grodzca, Wójcic, Brzegu i Kluczborka. Podczas biesiady kresowej, której gościem był m.in. prof. Stanisław Sławomir Nicięja grał i śpiewał zespół „Lwowska Fala” ze Lwowa. Imprezie towarzyszyła wystawa „Kresowianie na Opolszczyźnie”, ukazująca fotografie, dokumenty i pamiątki rodzinne Kresowian. Natomiast w Łosiuwie odbył się jubileuszowy X Wojewódzki Festiwal Piosenki Kresowej zorganizowany przez Opolskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne „Teraz Wieś” i Opolski Ośrodek Doradztwa Rolniczego. Na estradzie zaśpiewało ponad pięciuset wykonawców z trzydziestu zespołów (wokalnie-instrumentalnych, dziecięcych i chórów). Uroczystości poprzedziła msza św. w intencji Kresowian, odprawiona w kościele parafialnym św. Jana Chrzciciela w Łosiuwie z kazaniem księdza Grzegorza Kopija.

Benefis Adama Zbiegieniego

W sali odczytowej Muzeum Śląska Opolskiego 90. rocznicę urodzin oraz 70. lecie działalności twórczej świętował Adam

Zbiegieni (ur. w 1924 r. we Lwowie) – żołnierz Armii Krajowej, współtwórca opolskiego środowiska plastycznego i prezes ZPAP Polska Sztuka Użytkowa. Od 1953 r. zamieszkał w Opolu, gdzie pracował jako architekt i prowadził aktywną działalność na niwie kultury. Rok później założył pierwszy profesjonalny związek artystów plastyków na Opolszczyźnie. Był inicjatorem i do dziś jest organizatorem międzynarodowych i ogólnopolskich plenerów malarskich. Za swoje dokonania był wielokrotnie nagradzany i wyróżniany m.in. medalem Gloria Artis, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim, Krzyżem Niepodległości, Odznaką Honorową za Zasługi dla Opola. Benefisowi towarzyszyła prezentacja publikacji „Adam Zbiegieni 70 lat pracy twórczej” oraz wystawa, na której zaprezentowano grafiki, zdjęcia, obrazy i projekty architektoniczne jubilata.

Odsłonięcie pomnika jeńców serbskich

Na starym cmentarzu jenieckim z czasów I wojny światowej w Łambinowicach odbyła się uroczystość wieńcząca prace konserwatorskie przy Pomniku Jeńców Serbskich. Organizatorami przedsięwzięcia byli: konsul honorowy Republiki Serbii Ranko Tomavić, dyrektor Centralnego Muzeum Jeńców Wyjennych w Łambinowicach-Opolu dr Violetta Rezler-Wasielewska, wójt Gminy Łambinowice Tomasz Karpiński, prezes Stowarzyszenia Przyjaciół CMJW prof. dr hab. Danuta Kisielewicz. Uroczystość uświetnił swoją obecnością ambasador Republiki Serbii Radojko Bogojewi. Odsłonięciu pomnika towarzyszyło także otwarcie w opolskiej siedzibie muzeum wystawy poświęconej żołnierzom serbskim w niewoli pt. „Pomerania. Serbscy jeńcy wojenni w II Okręgu Wojskowym Wehrmachtu 1941–1945” przygotowanej przez Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Stargardzie. Po prezentacji wystawy przez jej kuratorkę, Jolanę Aniszewską z Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Stargardzie, ambasador Republiki Serbii, Radojko Bogojewi podziękował Polakom za pielęgnowanie pamięci o serbskich jeńcach wojennych obu wojen światowych.

Jednym zdaniem

■ VIII Międzynarodowy Festiwal Piosenki „Kluczborskie Trele” odbył się w Sali Kameralnej Kluczborskiego Domu Kultury, w programie imprezy odbyły się przesłuchania konkursowe uczestników, koncert gwiazdy festiwalu Anny Jurkiewicz oraz koncert Galowy Laureatów.

■ Podczas Loretańskich Wieczorów Organowych z okazji 750-lecia przybycia Franciszkanów do Głogówka w miejscowym kościele franciszkańskim w trakcie koncertu „Człowieczy los – pamięci Anny German” wystąpili m.in.: A. Garbarek, D. Baran-Blaszczak, M. Duźniak, S. Nowak, J. Żądło, A. Szostak oraz Chór „ALLEGRO” z Tarnowskich Gór.

■ W ramach XI Festiwalu Muzyki Zabytkowych Parków i Ogrodów im. Carla Marii von Webera w kościele katolickim i ewangelickim w Pokoju melomani wysłuchali m.in.: „Koncertu czterech tenorów” z pieśniami i ariami Webera, występu uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej im. Andrzeja Kurylewicza w Namysłowie, koncertu „Chopin – Weber” z udziałem prof. Pawła Zawadzkiego (fortepian), Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Opolskiej im. Józefa Elsnera pod dyrekcją Bartosza Żurakowskiego.

■ W programie „Tygodnia pod Zagłami”, który odbył się w Wojewódzkiej Bibliotece Publicz-

nej w Opolu znalazły się m.in.: spotkanie z Markiem Szurawskim autorem książki „Rejs ku Wywspom Szczęśliwym”, koncert szant i piosenek morskich zespołu szantowego „Shantażyści”, promocja książki „Bujanie w morskiej pianie” Krzysztofa Baranowskiego oraz zwiedzanie wystawy „Na umrzyka skrzyni. Literackie portrety ludzi morza”.

■ 62. Sezon Artystyczny zakończono uroczystością w Filharmonii Opolskiej im. Józefa Elsnera w Opolu koncertem Jeremego Findlay’a (Kanada) oraz Filharmoników Opolskich pod dyrekcją Bartosza Żurakowskiego, którzy wykonali *Koncert wiolonczelowy e-moll op. 85* Edwarda Elgara i *Tańce symfoniczne op. 45* Sergiusza Rachmaninowa.

■ W ramach „II Nocy Opolskich Legend, czyli spotkania ze słowiańską legendą” organizowanej przez Muzeum Śląska Opolskiego odbywały się: prelekcje „Bestiariusz słowiański” Witolda Vargasa i „9 ziół i kwiat paproci w tę jedną noc” Izabeli Jasickiej-Misiak z Uniwersytetu Opolskiego, warsztaty i zabawy (tańce dawne, kolorowanki słowiańskie), koncert muzyki dawnej oraz „Noc Kupaty” – spektakl w wykonaniu Stowarzyszenia Teatr Tańca i Ruchu z Ogniem MANTIKORA na placu przed muzeum.

Zrosnięte z Tychami

Wystawą „Sto lat z życia miasta. Tychy i tyszenie w XX wieku” otwarto dziesięć lat temu swe podwoje Muzeum Miejskie w Tychach. Ekspozycja, przygotowana pod kierunkiem pierwszej dyrektorki Muzeum dr Marii Lipok-Bierwiazczek wskazywała kierunek, w jakim zmierzać będzie nowo powołana placówka kultury. Został on także określony w Misji Muzeum. Napisano: „Muzeum jako depozytariusz pamięci zbiorowej współtworzy tożsamość miasta, angażuje mieszkańców do współpracy w dokumentowaniu jego dziejów oraz w ochronie dziedzictwa kulturowego.”

Po dziesięciu latach tyszenie mogą z satysfakcją powiedzieć, że to jest ich Muzeum. Zaświadcza o tym każda kolejna ekspozycja, a nade wszystko miejsca, które zostały oddane do dyspozycji muzeum. Efektem porozumienia z 2004 roku pomiędzy prezydentem Andrzejem Dziubą a Janem Wistubą reprezentującym Kompanię Piwowarską było Tyskie Muzeum Piwowarstwa (tyskie „Browarium”). W pobliżu, w dawnej suszarni młota swoją pracę rozpoczęli muzealnicy. Imponująco prezentując się „Browarium” mogło być obiektem zazdrości mieszkańców innych miast śląskiej aglomeracji. Wiadomo, że Tychy browarnictwem stoją i to od najdawniejszych czasów. Zatem połączenie tych dwóch elementów było znakiem tymczasem. Dwa lata temu Muzeum otrzymało nowe pomieszczenia w zabytkowym obiekcie z 1906 roku – w pierwszym tyskim magistracie. Przy Katowickiej pozostała jednak nadal sala ekspozycyjna.

Wszystko, co przez pierwsze dziesięciolecie istnienia oferowało tyskie Muzeum tym, którzy tu zjechali – a nie byli to wyłącznie tyszenie – było świadectwem znakomitej znajomości miejsca i ludzi. Wystawy, publikacje, akcje społeczne i edukacyjne, spotkania – wszystko to w znakomity sposób łączyło dzisiejszych mieszkańców miasta z jego przeszłością – niezwykłą i przebogata.

W powszechnym odczuciu Tychy to miasto stosunkowo młode, miasto wysłone, zaprojektowane od początku do końca. I to się zgadza – ale owo projektowanie, powstawanie miasta na – wtedy jeszcze – kreślarskich deskach można pokazać w sposób niezwykły – poprzez wybitnych architektów, którzy tu zjeżdżali, a i często pozostawali, poprzez artystów ślad, lub z tym miastem związanych poprzez świadomy wybór tego miejsca, poprzez niezwykłość, którą dziś zaczynamy cenić. To dlatego przecież powstał szlak turystyczny „Unikatowe Nowe Tychy. Od socrealizmu do postmodernizmu”. Ale o tym, że Tychy nie zaczęły się w XX wieku opowiadała inna wystawa: „Osiem wieków historii Tychów i dzielnic podmiejskich”. Takie ekspozycje są niezwykle ważne dla tych zakorzenionych w tym miejscu: pamiętki rodzinne, fotografie, dokumenty angażują pamięć o często wielopokoleniowych rodzinach, o wydarzeniach wydawałoby się nieistotnych i zapomnianych. Ożywały podczas ekspozycji w Muzeum Miejskim.

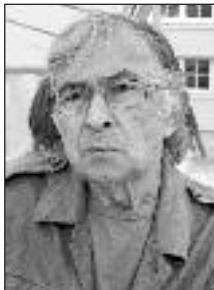
Maria Lipok-Bierwiazczek nieraz odbierała prestiżowe nagrody dla Muzeum, które świadczyły zarówno o wysokim poziomie tego, co oferowało, jak też potwierdzały słuszność obranej przed dziesięć laty drogi. Ale świadczyły też o wyjątkowym postrzeganiu tej ziemi, w którą sama wrosła – czego dowodem była ostatnia, bardzo osobista wystawa jej autorstwa.

Wraz z dziesięcioleciem instytucji, którą zakładała, która była jej dzieckiem, odeszła na emeryturę – z pewnością tylko „administracyjną”. To, co pozostawiła, to znakomity start do kolejnych dziesięcioleci: gesty w ważne wydarzenia, w odkrywanie codzienności – ludzi i miejsc, w splatanie tego co było z czasami nowymi. I nikt i nic nie wydaje się tu archaiczne albo zbyt nowoczesne – jak niegdyś w wielopokoleniowej dawnej tyskiej rodzinie.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Prof. Zbigniew Pieczykolan (1943 – 2014)



Fot. Z. Sawicza

26 czerwca 2014 roku odszedł wybitny, wielokrotnie nagradzany grafik, projektant, malarz, plakacista i liternik. Wieloletni pedagog i prorektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie Wydziału Grafiki w Katowicach a następnie ASP w Katowicach, kierownik Katedry Projektowania Graficznego, kierownik Pracowni Literatury i Pracowni Zespołowej.

Uprawiał malarstwo, rysunek, grafikę użytkową. Był uczestnikiem ponad stu wystaw krajowych oraz wystawach plakatów za granicą, m.in. we Francji, Szwecji, Niemczech, Finlandii, Indiach, Japonii, Rosji, w Chinach, Egipcie, Iranie. Na swoim artystycznym koncie miał około 30 nagród i wyróżnień – w konkursie na plakat m.in. III nagroda w międzynarodowym konkursie „30 Rocznica Zwycięstwa nad Faszyzmem”, wyróżnienie w międzynarodowym konkursie na plakat olimpijski „Moskwa '80”, udział w ogólnopolskim Biennale Plakatu w Katowicach, salonach plakatów w Warszawie.

Prace swoje wystawiał podczas międzynarodowych biennale plakatów w Warszawie, Meksyku, Lah-ti, Ningbo, podczas Triennale plakatów w Toyama, Mons, brał udział w międzynarodowej wystawie „Fax Art” – Ogaki. Kilkakrotnie nagradzany w konkursie malarskim „Bielska Jesień”.

Po śmierci prof. Zbigniewa Pieczykolana pisał prof. Marian Osliślo, „Szczególnie upodobał sobie literę kreśloną i malowaną z gestu. Często też pracował z literą, układem typograficznym uzyskaniem ze składu ruchomego. «Czarna sztuka» powstająca w drukarniach, zecerami i gisernikami cenil niezwykle wysoko i tę miłość do litery, kaligrafii i typografii przekazał całej rzeszy swoich studentów.

A trzeba wiedzieć, że w niewielu polskich uczelniach w drugiej połowie XX w. projektowano kroje pisma, tak jak w Katowicach, u profesora Pieczykolana!

(...) Wychował kilka pokoleń grafików, projektantów, którzy na podobój świata wyruszyli wyposażeni w wiedzę i doświadczenie zdobyte w Pracowni Profesora. Pracownia Zespołowa, którą przez lata kierował, stanowiła bowiem w latach 80. i 90. ubiegłego wieku wyjątkową i oryginalną ofertę na naszym rodzimym rynku edukacyjnym w zakresie nauczania sztuki projektowej i grafiki. (...)”

Jerzy Lewczyński (1924 – 2014)

Urodzony w Tomaszowie Lubelskim, zmarł 2 lipca 2014 r. w Gliwicach. Jeden z najwybitniejszych polskich artystów fotografików, członek Gliwickiego Towarzystwa Fotograficznego (od 1951) i Związku Polskich Artystów Fotografików (od 1956). W latach 80. i 90. minionego stulecia wielokrotnie wchodził w skład Rady Artystycznej ZPAF. Międzynarodowa Federacja Sztuki Fotograficznej przyznała Jerzemu Lewczyńskiemu honorowy tytuł ARTYSTA FIAP – AFIAP (1963).

Jednym zdaniem

■ W Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich odbywał się z okazji Dni Miasta „Wieczór w Muzeum”, a w jego programie znalazły się m. in. wystawa historyczna „Siemianowiczanie w polskich silah zbrojnych na frontach II wojny światowej”, wystawa fotografii Remigiusza Miklaszewskiego, koncert Józefa Skrzeka i spotkanie z autorami Siemianowickiego Roku Miasta Muzealnego.

■ Jarosław Kitlala (baryton) – absolwent Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie śpiewu prof. Jana Balarina, wystąpił w koncercie z cyklu „Portret młodego artysty” zorganizowanego przez Instytut Promocji i Upowszechniania Muzyki „silesia”.

■ W Muzeum Archidiecezjalnym mistrzów baroku – utwory Pergolesiego, Vivaldiego i J.S.

Był absolwentem Politechniki Śląskiej w Gliwicach. W latach 1957-1960 wraz ze Zdzisławem Beksińskim i Bronisławem Schlabsem był członkiem nieformalnej grupy fotograficznej. Zaprezentowane w 1959 roku na „pokazie zamkniętym” prace uznano za brutalne i antyestetyczne, nazywając je „antyfotografią”.



Fot. Z. Sawicza

Z czasem skoncentrował się na działaniach określanych mianem „archeologia fotografii”, polegającej na wykorzystywaniu w swoich dziełach prac innych autorów, zapomnianych i zniszczonych reprodukcji, odnajdując w nich symbol sponiewieranej przeszłości.

Swoją twórczość prezentował m.in. na wystawach „Fotografia subiektywna” (1968) i „Fotografowie poszukujący” (1971), „Stany graniczne fotografii” (1977). W latach 1988-1993 był wykładowcą Wyższego Studium Fotografii ZPAF w Warszawie. Autor *Antologii fotografii polskiej 1839-1989* (1999) – pierwszej w historii fotografii polskiej.

20 lat temu sformułował ostatecznie teoretyczną koncepcję „archeologii fotografii”, nad którą pracował od końca lat 60. Zajmował się także historią fotografii i krytyką oraz publicystyką związaną z fotografią.

W latach 80. i 90. oraz na początku XXI wieku tworzył prace komentujące specyficzną polską rzeczywistość. Odkrył trzy niezwykle cenne archiwalne zbiory: zdjęcia XIX-wiecznego fotografa i podróżnika z Gliwic Wilhelma von Blandowskiego, Józefa Eisenbacha – aptekarza z Sanoka fotografującego w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku oraz Feliksa Lukowskiego, dokumentującego zamojską wieś w czasie II wojny światowej.

Prace powstałe stosunkowo niedawno, zwykle ksrograficzne reprodukcje różnych dokumentów – niemalże utopijna próba zapisania rzeczywistości w najdrobniejszych jej przejawach także są kontynuacją postawy artysty. Tym próbom towarzyszyło przekonanie Jerzego Lewczyńskiego o bezwzględnej konieczności promowania fotografii.

W 2007 roku otrzymał Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, a także Nagrodę im. Katarzyny Kobro.

Prace Jerzego Lewczyńskiego znajdują się w zbiorach Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Narodowego we Wrocławiu, Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, Muzeum w Gliwicach, Muzeum Folkwang w Essen czy Musée de l'Elisée w Lozannie, archiwum Fundacji Archeologia Fotografii. Twórczości artysty została poświęcona m.in. monografia Wojciecha Nowickiego „Jerzy Lewczyński. Pamięć obrazu”.

Wydarzenie Muzealne Roku 2013

Na konkurs wpłynęło 47 zgłoszeń z 18 muzeów województwa śląskiego. Nagrody Marszałka za Wydarzenie Muzealne Roku przyznawane są w 4 kategoriach: wystawy, publikacje książkowe, dokonania z zakresu inicjatyw edukacyjnych oraz popularyzacji dziedzictwa kulturowego (w tym wydawnictwa multimedialne), dokonania z zakresu konserwacji.

W kategorii „Wystawy” nagrodę otrzymało Muzeum Miejskie w Tychach za wystawę „Dostał Jacek elementarz... Szkolnictwo w Tychach w XX wieku”. Wyróżniono Muzeum w Gliwicach za wystawę „Naturalista, czyli Wilhelm von Blandowski w Australii”, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu za wystawę „Zapomniane nekropolie” i Muzeum Miasta Jaworzna za wystawę „Wincenty Drabik – teatr malarski”.

Bacha prezentowali: Anna Leńiewska (sopran), Anna Borucka (mezzosopran) i Robert Marat (klawesyn), natomiast cyklu „mistrzowskie interpretacje” wystąpił Wojciech Świata, wykonując utwory fortepianowe Schumanna, Chopina i Liszta.

■ W Galerii Foyer Teatru Śląskiego gościli prace malarskie Krystyny Jasińskiej – absolwentki krakowskiej ASP w Pracowni Rafała Pomorskiego, autorki licznych wystaw indywidualnych w kraju i za granicą.

■ W trakcie Pikniku Artystycznego w Koszcinie odbyło się uroczyste otwarcie zespołu parkowo-palacowego – siedziby Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” po zakończonej rewalizacji – Festiwalu Muzyki Świata „Ogrody Dźwięków” odbywał się w katowickim ki-

W kategorii „Publikacje książkowe” nagroda przypadła Muzeum w Gliwicach. Projekt wydawniczy „Blandowski”, zaś wyróżnienia Muzeum Zamkowemu w Pszczynie za: Jan Kruczek „Kusze i ich twórcy”, Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie za: Janusz Spyrna „Utracony świat Żydów na Śląsku Cieszyńskim”, Muzeum Śląskiemu w Katowicach – Krystyna Pieronkiewicz-Pieczko, Małgorzata Paul: „Lale, misie, koniki... Zabawki w zbiorach Muzeum Śląskiego w Katowicach”.

W kategorii „Dokonywania z zakresu inicjatyw edukacyjnych oraz popularyzacji dziedzictwa kulturowego (w tym wydawnictwa multimedialne)” nagrodę otrzymało Muzeum Górnos Śląskie w Bytomiu za projekt edukacyjny „Etnografika”, zaś wyróżnienia: Muzeum Śląskie w Katowicach za projekt edukacyjno-popularyzatorski „Dopiszmy się do historii. Społeczna akcja pozyskiwania obiektów do nowej siedziby Muzeum Śląskiego w Katowicach”, Muzeum Miejskie w Tychach za projekt edukacyjny „Klub Południk” i Muzeum w Gliwicach za projekt edukacyjny „Kibicujemy emocjom”.

W kategorii „Dokonywania z zakresu konserwacji” nagrodzono Muzeum „Górnos Śląski Park Etnograficzny w Chorzowie” za projekt: Konserwacja malowanej szafy ludowej ze zbiorów Muzeum „Górnos Śląskiego Parku Etnograficznego w Chorzowie” wraz z wydarzeniami towarzyszącymi: wystawą „Malowane meble ludowe” i sesją konserwatorską „Tajemnice starej szafy. O konserwacji mebli”. Wyróżnienie otrzymało Muzeum Śląskie w Katowicach za projekt: Konserwacja Torzy ze zbiorów Muzeum Śląskiego Katowicach.

Ustanowione w 2006 roku Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego za Wydarzenie Muzealne Roku przyznawane są za najwybitniejsze osiągnięcia z zakresu działalności muzealnej w województwie śląskim dla podkreślenia wagi ochrony i upowszechniania dziedzictwa kulturowego.

Tegoroczna uroczystość odbyła się w Muzeum w Sosnowcu.



Fot. Tomasz Zuk/BP

Nagrodę odbiera dyrektor Muzeum Miejskiego w Tychach dr Maria Lipok-Bierwiazonek

Sybilla dla Muzeum w Gliwicach

Najbardziej prestiżowe wyróżnienie, jakie w Polsce przyznać można instytucji muzealnej, to nagroda w Konkursie na Wydarzenie Muzealne Roku Sybilla. Konkurs, organizowany przez Narodowy Instytut Muzealnictwa i Ochrony Zabytków pod patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego ma honorować najwybitniejsze i najbardziej nowatorskie inicjatywy z zakresu wszystkich dziedzin działalności muzealnej. Do tegorocznej, XXXIV jego edycji zgłoszono rekordową liczbę 250 projektów. Spośród nich jury, w którym zasiadli wybitni przedstawiciele świata kultury i nauki, wybrało finalistów. W kategorii Wystawa przyrodnicza wyróżnienie zdobyła ekspozycja Naturalista, czyli Wilhelm von Blandowski w Australii, która w Muzeum w Gliwicach prezentowana była pomie-



Fot. Muzeum w Gliwicach

Dyrektor Muzeum Grzegorz Krawczyk odbiera wyróżnienie.

noteatrze „Rialto”, a złożyły się na niego koncerty Dagadano, Canzoniere Grecanico Salentino, Kapeli ze Wsi Warszawa i Antonia Castrignano.

■ FALE. Subiektywna historia polskiego street artu – wystawa w Muzeum Śląskim stanowi podsumowanie ponad dwudziestu lat istnienia street artu w Polsce.

■ W czasie VII Tyskiej Nocy Muzealnej, w sali ekspozycyjnej Muzeum Miejskiego w Tychach przy ulicy Katowickiej 9, zwiedzającym udośćpionna zostanie wystawa „Sztuka ludowa i naiwna ze zbiorów Muzeum Miejskiego w Tychach”

■ Galeria „Ciasna” w Jastrzębiu-Zdroju oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszają na wystawę fotografii „24 części” Katarzyny Lata-Wrony.

dzy wrześniem a grudniem 2013 roku. Uroczysta gala konkursu Sybilla, podczas której wręczono nagrody i wyróżnienia, odbyła się 14 maja w Pałacu Króla Jana III Sobieskiego w Wilanowie. Gliwicka wystawa wieńczyła wieloletni interdyscyplinarny projekt, który nasze Muzeum rozpoczęło w 2010 roku. Jego celem było przywrócenie – po prawie 150 latach – pamięci o gliwickim odkrywcy, fotografie i badaczu. Wilhelm von Blandowski to postać ważna dla co najmniej trzech krajów: Polski, Australii i Niemiec.

Ludziki Lucika, czyli opowieść o człowieku

W Muzeum Śląskim można oglądać do 28 września br. w Galerii Sztuki Pogranicza wystawę malarstwa artysty nieprofesjonalnego – Władysława Luczińskiego. O malarzu mówi się, że to „malarz ludzików”. Artysta pochodzący z Rudy Śląskiej jest bowiem twórcą charakterystycznych obrazów, których rzeczywistość



Władysław Lucziński, „Lapacze”

komponuje za pomocą drobnych postaci ludzkich sprowadzonych do prostego znaku graficznego.

Władysław Lucziński urodził się 30 maja 1933 roku w Kętach koło Andrychowa. Po okupacji skończył szkołę i rozpoczął pracę w zawodzie nauczyciela. Uczęszczając na zajęcia Studium Nauczycielskiego, zetknął się po raz pierwszy z twórczością artystyczną: nowo odkryta pasja wybuchła w nim do tego stopnia, że zaczął organizować zespół plastyczny przy Zakładowym Domu Kultury kopalni „Bielszowice”. Maluje dużo, a tematyka prac jest zróżnicowana: znajdujemy tu hałdy, kminy czy inne elementy charakterystyczne dla terenów kopalni, a także portrety, pochody sztandarów, prace o tematyce religijnej czy historycznej.

Ludzikiem odwołuje się Lucziński do obserwowanej przez siebie rzeczywistości i ludzi: „Gdy jadę do Katowic – piszę – to muszę przechodzić przez centrum i to mnie przeraża. Ten szary tłum, tylko kolorowy, gdzieś się spieszy, gdzieś dąży, potracając się nawzajem. Nikt nikogo nie zauważa i ja także nie zauważam pojedynczego człowieka, chociaż czasem wpada mi w oko ktoś charakterystyczny, ale to tylko przelotne wrażenie, pozostaje ruchomy tłum jak lawina, piękna, ale niszcząca wszystko, co się na jej drodze ukazuje, pomimo sprzeciwu jednostki, która nie nie znaczy”.

Artysta maluje Śląsk, ale nie tworzy dokumentu małej ojczyzny czy konkretnych znanych mu osób. Jego ludzik staje się symbolem nieokreśloności i nijakości.

Tyskie niebo Marii Lipok-Bierwiazonek

Moje tyskie niebo to tytuł wystawy fotografii autorstwa Marii Lipok-Bierwiazonek, byłej już dyrektor Muzeum Miejskiego w Tychach. Wystawą tą Maria Lipok-Bierwiazonek zebrała się z tyszanami i przyjaciółmi Muzeum Miejskiego w Tychach w związku z przejściem na emeryturę.

Na wystawie znajdują się fotografie z lat 2004–2014. Autorka utrwaliła na nich pejzaż nieba, jaki rozciąga się z okien jej mieszkania na jedenastym piętrze.

Maria Lipok-Bierwiazonek urodziła się w Mikołowie, od 1958 roku mieszka w Tychach. Ukończyła etnografię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, w 1984 roku uzyskała tytuł doktora nauk humanistycznych z socjologii. Po studiach pracowała w Śląskim In-

stytucie Naukowym w Katowicach, potem dwa lata jako nauczyciel geografii w Szkole Podstawowej nr 19 w Tychach. W 1985 roku podjęła pracę w świeżo restytuowanym Muzeum Śląskim w Katowicach, od podstaw tworzyła w nim Dział Etnografii, którym kierowała przez 19 lat.

Od 1996 zabiegała o utworzenie muzeum w Tychach i opracowała jego koncepcję programową. Od maja 2004 roku pilotowała prace przygotowawcze zmierzające do jego otwarcia. 1 grudnia 2004 roku została dyrektorem Muzeum Miejskiego w Tychach.

Autorka wielu wystaw zrealizowanych w Muzeum Śląskim w Katowicach i Muzeum Miejskim w Tychach oraz licznych publikacji poświęconych dziedzictwu kulturowemu Górnego Śląska, m.in. książek *Przy śląskich drogach. Kapliczki i krzyże przydrożne na Górnym Śląsku* (Katowice 1998), *Świat najbliższy. Szkice antropologiczne o Górnym Śląsku, tradycji i kulturze* (Tychy 2008). Współautorka: monografii Katowic, Tychów, Wilanowic, Bierunia, tomu *Ziemia przyszyńska* (Katowice 2007), dzieła *Historia Górnego Śląska* (Gliwice 2011), książki *Profesor Kazimierz Wejchert. W stulecie urodzin* (Tychy 2012).

Autorka koncepcji szlaku miejskiego *Od socrealizmu do postmodernizmu. Unikatowe Nowe Tychy i przewodnika po szlaku* (2011).

Laureatka Nagrody Prezydenta Miasta Tychy w dziedzinie kultury (2005), Nagrody im. Karola Miarki (2005), Nagrody im. Wojciecha Korfa (2010). Odznaczona Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi (1989, 2004) oraz odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej (2006).

Wystawę można będzie oglądać do września 2014 roku.



M. Lipok-Bierwiazonek, „Moje tyskie niebo”, fotografia

Akwarele Zofii Szoty

Zofia Szota jest sosnowiczką, ale od wielu lat mieszka i pracuje w Katowicach. Jest absolwentką Papieskiej Akademii Teologii w Krakowie i Podyplomowych studiów muzealnych z zakresu historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Od ponad 20 lat pracuje w Muzeum Historii Katowic jako kustosz Działu Fotografii. Jest autorką wielu wystaw i publikacji, które powstały w oparciu o materiały archiwalne jak i prace współczesnych artystów fotografików.

Jej pasją jest również malowanie. Od czasu studiów powstają akwarele, pastele, obrazy w technice olejnej i temperze (ikony).

Te subtelne, delikatne, ulotne i „uduchowione” akwarele Zofii Szoty pokazała galeria Miriam w Tychach.

Zofia Szota jest autorką kilku wystaw indywidualnych, które prezentowała w galeriach m.in. Katowic, Bielska-Białej, Wrocławia.



■ *Historia PRL-u w plakacie* – to tytuł wystawy w Muzeum Górnos Śląskim, która została przygotowana w rocznicę wydarzeń 1989 roku.

■ *Kolory miasta w sztuce nieprofesjonalnej* – wystawę towarzyszącą Art Naif Festiwal w Katowicach Niskowcu, można oglądać do końca sierpnia w Muzeum Górnos Śląskim w Bytomiu.

■ Również do końca sierpnia w Muzeum Górnos Śląskim w Bytomiu można oglądać wystawę „Stary Bytom” przygotowaną z okazji 760. rocznicy nadania Bytomowi praw miejskich.

■ Finał V edycji „Straszaków Śląskich” odbył się w Miejskim Domu Kultury Południe w Katowicach-Kotuchnie.

■ Malarstwo Piotra Murawy było prezentowane podczas wystawy „1+1[8x1]” w Górnos Śląskim Centrum Kultury w Katowicach.

■ Centrum Scenografii Polskiej Oddział Muzeum Śląskiego zaprasza na wystawę prac Bohdana Cieślaka, laureata Nagrody Kapituły Artystycznej Miasta Poznania oraz „Żelaznej Kurtyny” w Legnicy, artysty który swoje prace realizował na deskach najlepszych polskich scen, m.in. Teatru Polskiego w Poznaniu, Teatru Współczesnego w Szczecinie, Teatru Studio w Warszawie, Ośrodka Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu, Polskiego Teatru Tańca w Poznaniu, Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy.

■ Wykład pt. „A każdy wiersz ten miałem w dłoni...”, czyli co nam pozostało z XIX wieku” wygłosił w Muzeum w Chorzowie dr Jacek Kurek.

■ Galeria „Ciasna” w Jastrzębiu-Zdroju zaprasza na wystawę fotografii „Było, minęło... i zapomniano – fotografia bułgarska (Klub „Prubada” z Burgas) lat 80. i 90.”.

Pożegnanie Bogusława Kabaty

W niedzielę 22 czerwca w wieku 79 lat zmarł w Krakowie Bogusław Kabata, były przewodniczący Rady Miejskiej w Sosnowcu, wieloletni dyrektor IV LO im. Stanisława Staszica w Sosnowcu, wychowawca wielu pokoleń sosnowiczian. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie w 1957 r. uczył kolejno w Szkole Podstawowej nr 20, później w Szkole Podstawowej nr 11 w Sosnowcu a od 1964 r. związał się na 15 lat z II Liceum Ogólnokształcącym im. Emilii Plater, skąd przeszedł do pracy w Kuratorium Oświaty w charakterze wizytatora i metodyka nauczania historii. Od 1979 r. do 1992 r. był dyrektorem IV LO im. St. Staszica w Sosnowcu. Po pożegnaniu się z pracą pedagogiczną poświęcił się służbie samorządowca, był przewodniczącym (II i IV kadencji) i wiceprzewodniczącym (III kadencji) Rady Miejskiej w Sosnowcu. Był wielokrotnie nagradzany i odznaczany m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotą Odznaką Zasłużonego w Rozwoju Województwa Katowickiego, Nagrodą Ministra Edukacji Narodowej oraz kilkakrotnie – Nagrodami Inspektora Oświaty i Wychowania. Podczas sesji RM 29 maja br. otrzymał Odznakę „Zasłużony dla Miasta Sosnowca”. Pogrzeb Bogusława Kabaty odbył się 26 czerwca na Cmentarzu Komunalnym przy ul. Wojska Polskiego w Sosnowcu.

Często spotykałam się z Bogusławem Kabatą w sosnowieckim urzędzie, mimo że tematem naszych rozmów były bieżące problemy miasta, każda jednak wizyta zaczynała się od kilkunastominutowych (czasem dłuższych) wspomnień z „Platerki”. Wprawdzie profesor Kabata mnie nie uczył, ale był tak charyzmatyczną postacią w szkole, że wracając pamięcią do murów mojego liceum, nie sposób o nim nie myśleć, zwłaszcza że dzielnie towarzyszył nam podczas zimowisk w Szczyrk, usiłując zapanować nad naszym znacznie silniejszym zainteresowaniem „Marią” niż lamaniem nart na stokach. Przyjaciel mojego wspaniałego i niezapomnianego wychowawcy (niestety już nieżyjącego) profesora Franciszka Zbiega, zrzucił na te kilkanaście dni maskę srogiego belfra i niejednokrotnie przymykał oko na nasze „narciańskie” fajfy.

W Teatrze Zagłębia nie opuścił chyba żadnej premiery, znał wszystkich aktorów, choć trzeba przyznać, że nie krył swoich czasami krytycznych uwag, czynił to jednak z ogromnym szacunkiem dla twórców. Zawsze elegancki, uśmiechnięty, pełen życzliwości...

Był wspaniałym nauczycielem, będzie mi tych spotkań bardzo brakowało.

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Wybitny „czterdziestolatek”

13 czerwca Wydział Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego świętował czterdzieste urodziny. Zanim jednak „zamieszkał” w komfortowej sosnowieckiej „Żylcie” tułał się przez 8 lat między budynkami dawnej Szkoły Górniczej przy ul. Szkolnej, później na krótko „zakotwiczył” w budynku przy ul. Partyzantów w Sosnowcu (obecnej siedzibie ZUS), dopiero w 1982 r. zagościł w 100-metrowym wieżowcu, zagospodarowując 20 pięter. Jak przystało na naukowców zajmujących się m.in. historią Ziemi, budynku strzeże 6-metrowy tyranozaur, potwór sprzed 60 milionów lat, który stał się nie tylko „maskotką” wydziału, ale i ulubieńcem mieszkańców Sosnowca.

Dostojny czterdziestolatek (WNoZ) szczyty się supernowoczesną infrastrukturą badawczą, kształci 974 studentów studiów licencjackich i magisterskich oraz 65 słuchaczy studiów podyplomowych i doktoranckich, a jego mury opuściło już 8796 absolwentów. W 1991 r. wydział uzyskał prawo doktoryzowania i zdążył już wypromować 204 doktorów.

W bieżącym roku akademickim w ocenie parametrycznej jednostek naukowych WNoZ otrzymał kategorię A. Natomiast w rozstrzygniętym ostatnio przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego konkursie, prestiżowy status Krajowego Naukowego Ośrodka Wiodącego (KNOW) w naukach o Ziemi uzyskało Centrum Studiów Polarnych, które tworzy wydział, wspólnie z Instytutem Geofizyki Polskiej Akademii Nauk i Instytutem Oceanologii Polskiej Akademii Nauk. Centrum posiada największy w Polsce potencjał naukowy w zakresie badań polarnych i dysponuje unikatową, nowoczesną aparaturą. Prowadzi badania w takich dyscyplinach jak: geografia, geologia, geofizyka i oceanologia.



Fot. Agnieszka Sikora

Jednym zdaniem

■ 4 czerwca w Sali Koncertowej w Sosnowcu odbył się koncert chóru mieszanego *Cantores Carvatan* i Wokalnego Zespołu Muzyki Rozrywkowej *I To Się Ceni*.

■ 9 czerwca w Energetycznym Centrum Kultury na zamknięcie sezonu artystycznego 2013/2014 wystąpił Kwartet Malgorzaty Łazowskiej w miniaturze instrumentalno-wokalnej zatytułowanej „Wiosna i miłość”.

■ 17 czerwca w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu, w ramach cyklicznych spotkań

Siewierska atrakcja

Lato sprzyja „wypadom za miasto”. Warto odwiedzić gościnny i jakże pięknie odrestaurowany Siewierz. Urokliwy rynek w niczym nie przypomina „zajeżdżanego” jeszcze do niedawna przez pędzące tiry i niekończące się sznury samochodów placu a kto dawno nie odwiedzał stolicy Księstwa Siewierskiego, zaniemówi wstępując na wybrukowany dziedziniec zamku biskupiego. Widok z wieży szlacheckiej



Zamek biskupi

niejednego zachwyci a w zrewitalizowanych piwnicach na stałej ekspozycji, stale wzbogacanej, można prześledzić dzieje jurajskiej warowni. Wprawdzie już pojawiły się narzekania, że zbyt szybko i ochoczo wpisano obiekt na listę zabytków jako trwałą ruinę, co uniemożliwia dokonanie pełnej rekonstrukcji (widać przykład zamku w Bobolicach zachęcił do takich przedsięwzięć) ruiny są niezwykle urokliwe a ich największym atutem pozostaje (przynajmniej na razie) autentyczność, może więc niech tak zostanie.

Kolejny sukces Teatru Zagłębia

Jury XIV Festiwalu „Dwa Teatry – Sopot 2014” przyznało telewizyjnej realizacji „Korzeńca” aż trzy nagrody, otrzymali je: Marcin Koszałka za zdjęcia, Remigiusz Brzyk za scenografię i Edyta Ostojak (wyróżnienie aktorskie) za rolę *Ester Plawner*.

Natomiast w 20. edycji Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej Teatr Zagłębia jako jedyny z województwa śląskiego zakwalifikował się do finałowej dwunastki, a Edyta Ostojak otrzymała wyróżnienie za rolę *Migawki* w spektaklu „Najmniejszy bal świata” Maliny Prześlugi w reżyserii Anety Gluch-Klucznik. Konkurs, został powołany przez ministra Kazimierza Dejmka w 1994 roku, organizowany jest przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego.

Serdecznie wszystkim gratulujemy, pani Edycie Ostojak szczególnie!

Biblioteka Seniorom i nie tylko... świętowano 110. rocznicę powstania Chóru „Lutnia” działającego przy Bazylice Katedralnej w Sosnowcu.

■ 18 czerwca w kinie „Nowość” w Będzinie odbył się *Wieczór Filmów Zagłębiowskich*.

■ 24 czerwca na Boisku Sportowym „Przeznacza” w Okradzionowie odbyła się impreza plenerowa pod nazwą „Noc Świętojańska”, jej organizatorem był Pałac Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej – Świetlica Środowiskowa w Okradzionowie.

Katharsis na scenie tak małej...

Prawdopodobnie nie jest możliwe przeżycie katharsis podczas prezentowania w naszych czasach antycznej tragedii. Początkowo nic nie zapowiadało, aby ktokolwiek mógł doznać wrażeń grozy, a następnie wyzwalającego oczyszczenia także w czasie premierowego spektaklu „Ifigenii” Eurypidesa w reżyserii Pawła Wodźnińskiego 31 maja br. na Małej Scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej.

Na kilka minut przed końcem przedstawienia skupieni wokół centralnie ustawionej sceny widzowie usłyszeli dźwięk telefonu komórkowego. W pierwszej chwili wydawało się, że sygnał z komórki jest integralną częścią przedstawienia. Nowoczesny reżyser kazał bowiem posługiwać się aktorem zarówno starożytnymi glinianymi tabliczkami, jak i komputerami, z których dochodziły przeróżne dźwięki, także bardzo wrzaskliwe i ostre. Powoli jednak uwaga publiczności zaczęła skupiać się nie na artystach, lecz na pewnym starszym jegomościu, który wyjął w końcu komórkę z teczki i usiłował ją wyłączyć. Gdy wydawało się, że dopiął swego, komórka ponownie zadzwoniła. Starszy człowiek próbował wtedy wetknąć ją do przepastnej teczki, którą zawinął w sweter. Hałas próbował zmniejszyć przytulając kłopotliwe zawiniątko do ciała, a później pochylając się do kolan i przygważdżając do ud. Wszystkie jego heroiczne próby kończyły się jednak klęską. Widzowie już zupełnie przestali zwracać uwagę na aktorów i skupili się na dzielnym starszuszku. Ileż autentycznej trwogi było w jego ruchach! Pomyślałem: – Kiedyż nastąpi oczyszczenie?

Ratunek przyszedł z sąsiedztwa. O katharsis postarała się siedząca w pobliżu dżentelmena z komórką teatrolożka Magdalena Legendź. Gdy telefon zadzwonił po raz czwarty, stanowczym tonem poprosiła starszuszka o wyjście z sali. Wyszedł skulony, ściskając zawiniątko z rozdzwonionym telefonem. Kroczył tak, jakby go już nie było widać. A jednak został wyzwolony! Po trwodze i grozie przeżył oczyszczenie o charakterze leczniczo-terapeutycznym. Magda Legendź wprowadziła antyczną miarę do współczesnej inscenizacji antycznej sztuki, która z tych miar rezygnuje. Karykaturę zyskał za to ideał współczesnictwa, a nawet współtworzenia spektaklu przez widzów. Na miejscu twórców teatru już nie tęsknilbym do niego.

JAN PICHETA

BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

Na granicy rozpoznawalnego

Pomiędzy 14 października 1958 a 23 czerwca 2014 r. rozpostarło się twórcze życie prof. Jagody Adamus. Urodzona w Bielsku-Białej artystka studiowała w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Grafiki uczyła się pod kierunkiem prof. Jerzego Grabowskiego, malarstwa – prof. Stanisława Fijałkowskiego, a rysunku – profesorów Andrzeja Gieragi i Leszka Róźgi. Od 1989 r. uczyła malarstwa, rysunku i historii sztuki w Zespole Sztuk Plastycznych w Bielsku-Białej. Od 2000 r. wykładała malarstwo, rysunek i historię kultury w cieszyńskim Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Swe prace prezentowała m.in. w Kanagawie (Japonia), Alicante (Hiszpania), Pescarze (Italia), Tuzli (Bośnia i Hercegowina), Londynie, Paryżu, Toronto. Otrzymała Grand Prix II Ogólnopolskiego Konkursu Malarskiego „Triennale z Martwą Naturą” w Sieradzu w 2001 r., pierwszą nagrodę VII Ogólnopolskiego Biennale Małych Form Malarskich w Toruniu (2007), nagrodę prezidenta Bielska-Białej „Ikar 2008” za całokształt działalności w dziedzinie kultury.

– Trudno w twórczości Jagody Adamus, wychowanki uczelni kultywującej twórczą myśl Władysława Strzemińskiego, znaleźć wypowiedzi wyrażone językiem zimnej geometrii. Inspirowała ją bogactwo całego kulturowego dziedzictwa, przede wszystkim malarstwa, ale także literatury, wierzeń, tradycji religijnych i myślenia filozoficznego. Na drodze sztuki podejmowała osobistą refleksję dotyczącą fundamentalnych problemów istnienia. W życiu i w sztuce szukała harmonii – powiedziała o niej dyrektorka Galerii Bielskiej BWA Agata Smalcerz. O jej dziełach tak opowiadał Roman Maciuszkie-wicz: – Malarski świat wylania się na tych obrazach powoli, niejednoznacznie i enigmatycznie. Definiuje się na granicy rozpoznawalnego, jest kuszący, a równocześnie niepokojący w swoim niedopowiedzeniu.

Na swoim terenie

27 czerwca w Galerii Bielskiej BWA, Starej Fabryce – oddziale Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej, salach Zamku Sułkowskich, galerii fotografii B&B oraz Fundacji Centrum Fotografii otwarto wystawy III Bielskiego Festiwalu Sztuk Wizualnych 2014. Zaprezentowano dzieła artystów środowiska bielskiego – począwszy od malarstwa i rzeźby w drewnie i metalu, rysunku, grafiki i plakatu poprzez fotografię, ceramikę i tkaninę, a na wideo, filmach, obiektach, instalacjach i performansach skończywszy. Festiwal wyróżnia szeroka formuła uczestnictwa, prezentacji i konfrontacji postaw twórczych,

Jednym zdaniem

■ Podczas uroczystej gali w Wilanowie 14 maja Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej otrzymało wyróżnienie w ogólnopolskim konkursie pn. „Sybilla” 2013 za wystawę „Od sukna po jedwab – stroje ludowe ze zbiorów Muzeum w Bielsku-Białej”.

■ 28 maja Bielskie Centrum Kultury obchodziło 25-lecie istnienia.

■ Podczas Dni Bielska-Białej (30 maja – 1 czerwca) przed białkim Ratuszem z koncertem wystąpił m.in. Jose Feliciano.

■ 31 maja na deskach Małej Sceny Teatru Polskiego odbyła się premiera „Ifigenii” Eurypidesa w reżyserii i scenografii Pawła Wodźnińskiego.

■ Cieszyńska Spółdzielnia „Parostatek”, Teatr Polski w Bielsku-Białej, projektant Tomasz

a także otwarcie dla artystów nieposiadających dyplomu Akademii Sztuk Pięknych. Widzowie uznali poziom za bardzo wysoki. Niektóre realizacje przewyższają nawet prezentacje znanego biennale „Bielska Jesień”. – Wielką wartością festiwalu jest napływ młodych artystów, zwykle świeżych absolwentów Akademii Sztuk Pięknych, którzy mają możliwość debiutu na „swoim terenie”. Okazuje się też, że talent w obecnych czasach ma okazję objawić się nie tylko na studiach – powiada kuratorka ekspozycji i dyrektorka GB BWA Agata Smalcerz. Dyrekcja BWA postarała się o nagrody dla autorów najciekawszych prac. Otrzymały je Teresa Gołda-Sowicka i Tamara Berdowska. Czwórkę artystów uhonorowano zaproszeniem do wystaw indywidualnych w bielskich galeriach sztuki – BWA, B&B oraz powstającą właśnie Galerii ZPZP. Swe prace zaprezentują tam Karina Czernek, Piotr Targosz, Łukasz Karkoszka i Joanna Zochowska. Ekspozycja potrwa do 24 sierpnia.



Teresa Gołda-Sowicka, „Zmienność”, 2014

Godzina miłości

Urodzona w 1978 roku w Lizbonie portugalska artystka Patricia Corrêa dzieli obecnie swój los między Kraków i Bielsko-Białą. Dlatego podczas otwarcia III Bielskiego Festiwalu Sztuk Wizualnych zaprezentowała performans – integralną część eksponowanej na wystawie instalacji artystki pt. „Maria”, w skład której wchodzi także fotografia i wideo. – „Maria” odnosi się do historii życia babki artystki, jej przeżyć z okresu dojrzewania. W swoim performansie Patricia nawiązała do najlepszych tradycji tej dziedziny sztuki, m.in. Mariny Abramović – stojąc przez ponad godzinę z uniesionymi w górę rękami i trzymając zsyte nicią serce. Artystka zgłębia delikatną istotę czasu na podstawie wspomnień i fragmentów własnego życia – metafor nieuchwytności i trwania – powiada kuratorka festiwalu Agata Smalcerz.



Patricia Corrêa, „Maria”, performans

Augustyniak, firmy Marbet i Pajak Sport w Bielsku-Białej otrzymali w czerwcu nagrody specjalne w konkursie „Ślaska Rzecz” organizowanym przez Zamek Cieszyn.

■ 13 czerwca w DK w Hałcnowie odbył się XV Ogólnopolski Festiwal Piosenki Aktorskiej Dzieci i Młodzieży „Spiewanko”.

■ W lipcu i w sierpniu w bielskim Klubie Nauczyciela swe prace fotograficzne i poetyckie wystawiają Krystyna Krzyżanowska-Nastulczyk i Wiesław Korzonkiewicz.

■ Od 11 lipca do 5 września galeria ROK w Bielsku-Białej wystawia malarstwo na szkłe Marty Walczak-Stasiowskiej i Zdzisława Walczaka.

Fot. Archiwum GB BWA

Fot. Justyna Lebaqđ

Na teatr marsz!

Jakie jest miejsce teatru w życiu współczesnego człowieka? Czy w natłoku atrakcji wciąż zajmuje pozycję ważnego medium i przestrzeni szczególnej? Czego oczekują studenci i jakie wybierają formy własnej twórczości? Takie pytania towarzyszyły organizatorom Marszu na Teatr! I Artystycznej Wiosny Studentów (27–29 maja). Pomysł profesor Anny Wypych-Gawrońskiej, prorektor ds. promocji AJD oraz przewodniczącej Rady Programowej Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, spotkał się z wielką przychylnością dyrektora teatru Roberta Dorosławskiego. Celem festiwalu była promocja artystycznych działań studentów, a także propagowanie kultury teatralnej wśród społeczności akademickiej.

W ciągu trzech dni studenci wypełnili budynek przy ulicy Kilińskiego jako publiczność, jako artyści, a także obsługa medialna – reprezentanci specjalności dziennikarskiej Instytutu Filologii Polskiej AJD przeprowadzili wiele interesujących rozmów z aktorami, reżyserami, by jeszcze bardziej zbliżyć się do teatru, a plastycy ozdobili wnętrza swoimi pracami. Oczywiście, największym atutem Artystycznej Wiosny Studentów była możliwość wystąpienia na profesjonalnej scenie. Skorzystało z tego wiele grup o różnym stopniu zawodowości, związanych na co dzień zarówno z Politechniką Częstochowską, jak i Akademią. To dowód, że miłość do teatru istnieje ponad podziałami.

Teatr im. Adama Mickiewicza przypomniał dwa spektakle ze swojego repertuaru, „Stachurę” oraz „Amazonię” Michała Walczaka. Postawił na współczesne teksty i nowoczesne rozwiązania teatralne, by przekonać, że scena nie służy jedynie do wystawiania lektur szkolnych. Dobór repertuaru potwierdzał również strategię programową teatru – liryczną oraz nieco eksperymentującą.

Studentów reprezentowali na scenie – Teatr Politechniki Częstochowskiej „Trybik”, studenci Instytutu Muzyki, SKT na Jana, Częstochowski Teatr Tańca Włodzimierza Kucy, Teatr z Ducha Wzięty wraz z zespołami T3 i Synergia, a także koncert Adama Regiewiczza i jego przyjaciół, dyrektora Instytutu Filologii Polskiej AJD. Był również slam poetycki, przygotowany przez Rafała Sambońskiego i Michała Wilka, studentów polonistyki; nagrody ufundował JM Rektor AJD.

Rozmowy studentów z ludźmi teatru odbywały się na scenie *Histrion*. Młodzi dziennikarze pytali o pasje i plany zawodowe, ale również o nieco bardziej prywatne sprawy, by ujawnić odmienne definicje teatru swoich gości, ich wrażliwość oraz preferowaną estetykę. Nad grupą dziennikarską czuwała dr Elżbieta Wróbel, a studentem kooptynatorem i gospodynią spotkań była Katarzyna Kowal. Młodych wspomógł Robert Dorosłowski, który rozmawiał z Andre Hübnerem-Ochodlo i Maciejem Pótorakiem, pracującymi nad adaptacją „Hamleta” Williama Szekspira.

Studenci, którzy uczestniczyli w trzyczonowym Marszu na Teatr, na pewno nie żalowali, choć może zabrakło im nieco otwartości na nowe doświadczenia. Większość wybrała z programu to, co znała i chciała zobaczyć raz jeszcze. Można mieć nadzieję, że w przyszłym roku marsz będzie jeszcze bardziej liczny zarówno w grupie artystów, jak i publiczności.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Taniec to także sztuka zabawy

Jedną z atrakcji Marszu na Teatr! był spektakl przygotowany przez Częstochowski Teatr Tańca Włodzimierza Kucy *Kochankowie dnia – historia jednej fotografii* (premiera 26 kwietnia tego roku). Na scenie spotkali się przedstawiciele różnych środowisk: piosenki Jacques’a Brela, Charles’a Aznavoura i Edith Piaf śpiewali Iwona Chołuży (Teatr im. Adama Mickiewicza) oraz Marian Florek (Teatr Rozrywki w Chorzowie), a z najstarszą grupą tancerzy Teatru (m. in. Bazyliem Ogińskim czy Piotrem Majerem) wystąpili też amatorzy, miłośnicy tańca, na co dzień m.in. pracownicy Politechniki Częstochowskiej, którzy z wielkim wdziękiem udowodniali, że taniec może być pasją i zabawą bez względu na wiek, a obecność na scenie nie musi korzystać się z konkursowym perfekcjonizmem.

Po raz pierwszy tancerze Włodzimierza Kucy zatańczyli do muzyki na żywo (grali – Mieczysław Hłond, Eugeniusz Marszałek, Andrzej Młodkowski, Andrzej Wardęga) i z zadania wywiązali się znakomicie. Reżyser podkreślał, że jest to nie lada wyzwanie, wymagające precyzji zarówno od muzyków, jak i śpiewających, gdyż bardzo łatwo zaburzyć rytm, a to w tanecznych układach zbiorowych grozi katastrofą.

Spektakl w scenerii paryskiego lokalu, pod wieżą Eiffala opowiadał o różnych obliczach miłości. W szczególności piosenki kończyły się błyskiem lampy i trzaskiem aparatu fotograficznego, by przypomnieć, że również one utrwalają emocje i unieważniają czas, ale tylko pod warunkiem pełnego zaangażowania kolejnych wykonawców. Tak powstał bardzo przyjemny w odbiorze spektakl, doceniony przez zgrupowaną publiczność. Na zakończenie reżyser tradycyjnie ukłonił się przede wszystkim swoim aktorom, by podziękować im za trud kolejnego występu.

Oczarowania teatralne

W czasie podróży na tegoroczny Międzynarodowy Festiwal Sztuki Lalkarskiej do Bielska-Białej teatr z Pforzheim/Enzkreis (Alice Therese Gottschalk, Raphael Mürl, Frank Soehnle) zaprezentował w Częstochowie przedstawienie *Gabinet osobliwości sztuki – Rozważania o zdumieniu*. Na festiwalu zostali wyróżnieni nagrodą specjalną, co potwierdziło ich kunszt i doskonały warsztat.

Przedstawienie nie budowało fabulę, zwracając uwagę widza na wirtuozerię lalkarzy. To może trochę utrudniało odbiór przynajmniej młodszemu widzowi, choć poszczególne scenki trzymały w napięciu i budowały relacje między „postaciami” a publicznością. Był to również pokaz iluzji teatralnej, gdy animowane kukiełki nabierały życia, „opowiadając” o sobie i swoich emocjach. Autorzy spektaklu kategorią centralną uczynili zdumienie i zaprezentowali ją na wielu poziomach. Gabinet osobliwości to przecież jedna z form teatru jarmarcznego, polegająca na wystawianiu na ogląd publiczny rozmaitych dziwolągów i cudów natury, by zadziwić widzów światłem i jego nieprzewidywalnością, a także zaspokoić ich ciekawość. Ale gabi-

Jednym zdaniem

■ Zagrali: MDK – Jerzy Polomski; plac Biegańskiego – Monika Brodka oraz Krzysztof Zalewski w ramach Red Bull Tour, Muniek Staszczuk i Shambo; carpe Diem – Bajzel; Muzyczne Klimaty – Krzysztof Szcieranski.

■ W MGS-ie prezentacja książki Magdaleny Grzebalkowskiej o Zdzisławie i Tomaszu Beksińskich *Beksińscy. Portret podwójny*; na spotkanie był obecny Piotr Dmochowski.

■ W ROK-u wystawa dr. hab. Jerzego Piwońskiego *Fotografia inscenizacyjna*, potem fo-

net osobliwości sztuki stawał się jednocześnie traktatem na temat możliwości warsztatowych, a zdumienie pojawiło się również u znawców teatru i jego miłośników.

Częstochowa utrwalona na taśmie

Dwa wydarzenia filmowe budujące tożsamość miasta współorganizował w ostatnim miesiącu OKF „Iluzja”. Najpierw 25 maja z okazji 140. rocznicy urodzin Antoniego Dezyderiusza Fertnera odbył się pokaz filmów z jego udziałem, a projekcję międzywojennej twórczości poprzedził film biograficzny *Demon komizmu. Antoni Fertner*, zrealizowany w 1987 r. przez Tadeusza Pawłowicza i Zbigniewa Wawera dla II Programu TVP.

Natiemiasz w połowie czerwca odbył się I Festiwal Filmów Dokumentalnych im. braci Krzemińskich *Moja mała Ojczyzna*. Pierwszy częstochowski film nakręcili wprawdzie już w 1898 r. francuscy filmowcy (na taśmie uwieczniono przede wszystkim Jasną Górę), ale największe zasługi mają w tej dziedzinie Władysław i Antoni Krzemińscy, którzy przyjechali do naszego miasta w 1909 r. i dzięki aparatowi projekcyjnemu braci Lumière stali się kronikarzami miasta: utrwalili pożar zapalczarni (1912), otwarcie szpitala na Zawodzie (1913) czy przejazd pociągu ze szczytkami J. Słowackiego (1927). Nakręcili około 40 filmów i prezentowali je w kinoteatrze „Odeon” przed właściwym seansem.

Dwudniowy festiwal podzielono na kilka paneli: *Częstochowa przedwojenna* (tu wyświetlono pięć zachowanych filmów Krzemińskich, a w rozmowach uczestniczył m. in. Stanisław Janicki, popularyzator starego kina), *Częstochowa wielokulturowa*, *Częstochowa powojenna* oraz *Częstochowa twórców i artystów*.

Spotkanie zorganizowali studenci i pracownicy Wydziału Filologiczno-Historycznego AJD, Urząd Miasta, OKF „Iluzja” oraz Krzysztof Kasprzak (Kas Film). Wzięli w nim udział również znani częstochowianie oraz ich rodziny: Zygmunt „Muniek” Staszczuk, Janusz „Yanina” Iwański, Piotr Machalica, Zbigniew Myga, Artur Barciś, Sabina Lonty oraz Stanisław Krzemiński, syn Antoniego Krzemińskiego.

Jazzowe delicie

Już po raz 10. odbywał się Hot Jazz Spring Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego, zorganizowany od 30 maja do 1 czerwca przez Polskie Stowarzyszenie Jazzu Tradycyjnego oraz Filharmonię Częstochowską. Spotkanie rozpoczęła parada orleańska, która ruszyła z placu Biegańskiego do gmachu filharmonii. Tu odbyła się większość koncertów: *Swing, swing, swing* z udziałem Filipa Wojciechowskiego (fortepian), Pawła Pańty (bas), Pawła Dobrowolskiego (perkusja), Gary’ego Guthmana (trąbka), potem kolejno występowali Donna Brown & The Gospel Pearls oraz Siergiej Wowkotrub Gipsy Swing Quartet, Kwartet Tomasz Kudyka, Old Timers oraz Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski. Koncertom towarzyszyła wystawa Ewy Misiak *Obrazy niemalowane*.

W tym roku nie odbywał się konkurs dla młodych jazzmanów. Honorowego Świngującego Kruka otrzymał Jan Kudyk z Krakowa, założyciel Jazz Band Ball Orchestra, który wystąpił wraz z kwartetem syna Tomaszka.

Podczas festiwalu przedstawiono również projekt pomnika Louisa Armstronga przygotowany przez Jerzego Kędziórę. Pomysłodawcy marzą, by stanął on przy filharmonii. Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski zapowiada zbórkę pieniędzy w zabytkowym tramwaju.

tografie Bernarda Bava *Kopalnie świata*; w OPK *Okolicie fotografii* Wojciecha Prażmowskiego, a następnie przekrojowa wystawa twórczości Tomaszka Sętowskiego; w CPM-ie *Wystawa zbiorowa* Małgorzaty Rozenau.

■ Prezydent Krzysztof Matyjaszczyk wręczył Grzegorzowi Skowronkowi, Tomaszowi Sętowskiemu oraz Piotrowi Machurze z firmy Deltim statuetki Promotora Częstochowy.

■ W plebiscyie na człowieka 25-lecia zwyciężył Muniek.



Art Noif Festiwal ArtJarmark



Tegoroczny ArtJarmark w Nikiszowcu tonął w słońcu, było kolorowo, gwarno i... smacznie. Ponad sto stoisk kusiło rękodzielcami. Piękne obrazy, wielobarwne kompozycje, nie zabrakło także leciwych oleodruków. Stoły ugięły się pod atrakcyjną oryginalną biżuterią, wyrobami ceramicznymi, elementami dekoracyjnymi, zabawkami. Motyw kota królował niepodzielnie, nawet pierniki przybrały niecodzienne kształty. Pod arkadami (i nie tylko) prezentowali swoje prace artyści-pasjonaci z Grupy Janowskiej a z Centrum Zimbaro można było wyjść w koszulce ozdobionej sitodrukiem. Najmłodszy łamał pędzle na ożywianiu swych marzeń i pod okiem Jarosława Kassnera (szkoda, że tak mało było obrazów mojego ulubionego malarza) współtworzyli instalację legendarnej kolejki Balkan. Rynek rozbrzmiewał muzyką. Na estradzie gościli: Elwry z Lipin, Yurodivi, Tomek Bienek i przyjaciele, Łukasz Nyc, Nivel, tegorocznym motywem przewodnim była muzyka bałkańska. Jedni znużeni (po walce o stolik) mogli rozkoszować się znako-



mitymi kołoczami śląskimi, inni sznił chleba z tustym. ArtJarmark jest imprezą towarzyszącą Międzynarodowemu Festiwalowi Sztuki Naiwnej. Wprawdzie

to dopiero siódme spotkanie na rynku w Nikiszowcu, a jednak trudno już sobie wyobrazić to magiczne miejsce bez kwiecistych stoisk.

(MS)

Nie pamiętam wystawy, podczas otwarcia której byłyby takie tłumy jak 13 czerwca w katowickiej Galerii Szyb Wilson na starcie VII Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Naiwnej – bardziej znanego jako Art Naif Festiwal. Świadczy to o naszej wielkiej tęsknocie do radości, szalonych kolorów, piękna, prostoty i prawdy...

Pokopalniany szyb jest miejscem wyjątkowo pasującym na prezentację takiej właśnie twórczości, niedaleko stąd działała (i nadal działa, choć troszkę dalej) legendarna Grupa Janowska i jej wielcy mistrzowie zapisani na trwałe w historii polskiej sztuki, porównujący szaloną wyobraźnią malarz-wizjoner Teofil Ociepka, najweselszy z wszystkich, odczarowujący śląską szarówkę kolorami Paweł Wróbel, posługujący się charakterystycznym konturem, lubiany i szanowany Ewald Gawlik, ciągle jeszcze mało doceniony Paweł Stolorz, czy wreszcie tworzący do dzisiaj najznamienitszy piewca górniczej tradycji, wierny czciciel świętej Barbary i wielbiciel najpiękniejszego miejsca na Śląsku – Nikiszowca – Erwin Sówka.

Art Naif Festiwal to wyjątkowy w skali światowej (już nie europejskiej) przegląd sztuki intuicyjnej, naiwnej, radosnej, niedzielnej... Nigdy nie napiszę prymitywnej, dawniej nie raziło określenie malarz-prymitywista, ale dzisiaj, kiedy panoszą się i rozpychają różnej maści prymitywy, często „wykształceni” – razi. Przegląd światowych dokonań nieprofesjonalnych twórców z 34 krajów potrwa do 14 sierpnia. Każdy z nich stara się nam pokazać najlepiej i najszczerzej jak potrafi piękno rodzinnych stron i swoje marzenia. Tego nie można przegapić.

Oczywiście w Wilsonie wśród ok. 1500 prac dominuje tradycyjnie malarstwo, ale zarówno rzeźba jak i ceramika są licznie prezentowane. Wielu spośród 250 artystów pojawiło się na wernisazu. Były uściski, uśmiechy, miłe słowa, wymiana poglądów, niemało zawiązało się serdecznych znajomości... Ponieważ główną część tegorocznej ekspozycji poświęcono sztuce Bałkanów (Serbia i Chorwacja) spotkanie wzbogacił pozytywną energią zespół muzyczny Propabanda, grający utwory inspirowane ludową muzyką bałkańską. Mimo niewłaściwego nagłośnienia (za duża dawka decybeli) – pomyłono salę wystawową ze stadionem – dopiero z pewnej odległości dało się odnajdywać w burzy dźwięków lubiane melodie. Zanim przejdę do bardzo subiektywnego przeglądu najciekawszych prac, pragnę złożyć wyrazy uznania sprawczyńi, duszy i sercu tego artystycznego wydarzenia, prezesse Fundacji Eko-

VII Międzynarodowy Festiwal Sztuki Naiwnej w Polsce



Fot. Witold Kociński

Tu wszystko jest dozwolone

-Art Silesia i dyrektorze festiwalu Monice Pacy, która świetnie radziła sobie z obowiązkami gospodyni w tym nieprzełiczonym tłumie.

Trudno nie zgodzić się z tym, co pisze w katalogu Jelena Anđelković Grašar – historyk sztuki z Belgradu: *Sztuka naiwna przedstawia dziś pewien szczególnie kierunek w twórczości współczesnych artystów i można powiedzieć, że w udoskonalaniu sposobu wypowiedzi, działalności wystawienniczej i szerokim odbiorze nie ustępuje instytucjonalnej sztuce akademickiej. I jeszcze jedno zdanie warte przytoczenia: Tu wszystko jest dozwolone (oczywiście „na scenie zwanej sztuką naiwną” – przyp. WK), każdy język jest zrozumiały, a wspólne treści i sposób ujęcia postaci, które górują nad morawskim pejzażem lub krajobrazem Podraviny, uświadamiają odbiorcy, iż w centrum każdego dzieła sztuki znajduje się człowiek i artysta – rejestrator całego piękna świata, w którym żyje, w którym śni lub który przywołuje z przeszłości.* Grašar pisze o „cechach szczególnych sztuki naiwnej na obszarze byłej Jugosławii”, ale za cytowane słowa doskonale charakteryzują sztukę intuicyjną na całym świecie.

Wśród takiego ogromu łatwo się pogubić, ale odnalazłem artystów, do których prac chcę wracać. To Mile Davidovic (Serbia) śmiało używający jaskrawych barw i jego odpoczywająca pod słonecznikami chłopska para (kobieta oczywiście odpoczywa... pracując), Dražen Tetec (Chorwacja) – piewca idyllicznego, odchodzącego w niepamięć wiejskiego życia. Trudno się nie uśmiechnąć przed rozkwitonymi drzewami, ptakami niczym samo-

loty, kurami tej samej wielkości co konie na obrazie Milorada Nikolicia (Serbia). Przyciągają uwagę miejskie pejzaże Zeljka Hudka (Chorwacja) – ileż tam się dzieje! Spadające z nieba na parasolach aniołki (Alessandra Placucci – Włochy) to propozycja ilustracji do bajki, którą sami sobie musicie opowiedzieć. Taras Romanyuk (Ukraina) uczynił z ram swoich fantastycznych kompozycji integralną część artystycznej wizji. Dzieła z Tanzanii po raz pierwszy prezentowane na festiwalu wyglądają jakby wyszły spod jednego pędzla... Różnią się barwą i podpisami autorów: Steven Lewis, Noel Kapanda, Muhamed Ali Slyd... Mój ulubiony obrazek przyjechał z Argentyny, jego autorką jest Laura Vidra. Roztańczone pary, orkiestra w altanie i niebo koloru, którego nie potrafię opisać. Zima na obrazie Odile Bron (Francja) to sentymentalny powrót do czasów dzieciństwa. Marie Jönsson-Harrison z Australii ukazała zwiariowane szaleństwo letniego wypoczynku. Trudno nie wspomnieć o ulubienicy ubiegłorocznej publiczności – tym razem fioletowa Sema Çulam (Turcja). No i Polacy: tajemniczy i nieco chagallowski Jarosław Kassner i konsekwentnie trzymający się znakomicie wypracowanego malarskiego przekazu Krzysztof Webs a także Krzysztof Szala, którego koty i koguty są najsympatyczniejsze na świecie. Kącik, który zagospodarował Krzysztof Patejuk każe się zatrzymać na dłużej a jego niebieski anioł z kotem jest rewelacyjny. Dobrych rzeźb w tym roku jest sporo (Józef Szypuła, Andrzej Wojtczak, Eugeniusz Zegadło, Jan Żandarowski, Józef Marciniak), ale ceramiczne koty Michała Kaczmarka są najładniejsze!

Tegoroczną wystawę wzbogaciły ekspozyty z zbiorów Muzeum Narodowego w Kielcach (m.in. słynni twórcy: Adam Zegadło i Tadeusz Żak). Pokazano również dzieła ze zbiorów Wojewódzkiego Domu Kultury w Kielcach (Mariusz Świerczyński, Zdzisław Błosiński, Mirosław Żak). Jest więc wszystko co najcenniejsze w dorobku polskich rzeźbiarzy ludowych. Kolekcja Działu Plastyki Nieprofesjonalnej Muzeum Śląskiego jest uważana obecnie za najlepszą w kraju. Stoi przed wielką szansą bogatej ekspozycji w nowym gmachu. Czekamy z niecierpliwością. Na Art Naif Festiwal MŚ przygotowało pokaz prac niepowtarzalnego, znakomitego specjalisty od ludzików – Władysława Luczińskiego, ale to całkiem inna opowieść. Na koniec miłośnikom kotów polecam wędrowkę wśród prac ukazujących te sympatyczne zwierzęta – jest ich naprawdę dużo.

WITOLD KOCIŃSKI



Muhamed Ali SLYD /Tanzania/



Laura Vidra /Argentyna/



Dražen Tetec /Chorwacja/

Galeria
Szyb Wilson
**ART NAIF
FESTIWAL**



Luciana Mariano /Brazylia/



Krzysztof Szala /Polska/

Silesianka poleca!

Wydawnictwa
Biblioteki Śląskiej



B
Biblioteka Śląska



Osoby zainteresowane zakupem wydawnictw
Biblioteki Śląskiej prosimy o kontakt
tel. +32 208 37 03 / fax: +32 208 37 20
e-mail: elwi@bs.katowice.pl

www.bs.katowice.pl